

MAZURSKIE UROCZYSKO TO IDEALNE MIEJSCE DO PRACY.

ADAM WĘGŁOWSKI



UPIERZ

BEZ LUDZI. TYLKO CO BĘDZIE, GDY NAGLE POJAWI SIĘ NIEPROSZONY GOŚĆ?

ADAM
WĘGŁOWSKI
UPIERZ



Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1. Strzelba na pająki

Rozdział 2. Kwestionariusz Prousta

Rozdział 3. Dziedziczny lęk z przeszłości

Rozdział 4. Minotaur

Rozdział 5. Gierki

Rozdział 6. Człowiek pomyłka

Rozdział 7. Pajęczyna strachu

Rozdział 8. Gość w dom

Rozdział 9. Muśnięcie ciemności

Rozdział 10. Hak

Rozdział 11. Daimonion Julii

Rozdział 12. Przed północą

Rozdział 13. Tropy

Rozdział 14. Folie à trois

Rozdział 15. Zmory

Rozdział 16. Krew nie woda

Rozdział 17. Wśród nocnej ciszy

Rozdział 18. Uroczysko

Rozdział 19. Agnieszka

Rozdział 20. Ciuciubabka

Rozdział 21. Dwa samochody

Rozdział 22. Ostatnie cięcie

Rozdział 23. Byle do świtu

Rozdział 24. Droga do zatracenia

Rozdział 25. Nowy dzień

Przypisy

Redakcja
Adam Podlewski

Korekta
Małgorzata Podlewska

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Marcin Labus

Zdjęcia wykorzystane na okładce
© Attila/Pexels

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Adam Węglowski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83290-67-6



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

PROLOG

Jej dzień wydawał się długi i trzymał w napięciu. Noc przyszła zaś nagle, cicha i ciemna. W leśnej głuszy ciężko się poruszać i trudno liczyć na pomoc. Jej telefon nie ma zasięgu. Jej krzyku nikt by nie usłyszał. Nikt w tym mikrokosmosie nie zwróciłby uwagi na wrzask, dźwięk nie znaczyłby więcej niż pohukiwanie puszczyka albo rechot żab w okolicy moczarów przy jeziorze.

Uruchamia latarkę w telefonie komórkowym, by chociaż na moment objąć snopem światła ciemną ścieżkę wśród pięknie pachnących, ale ponuro wyglądających lip. Wydaje się, że ich konary poruszają się nad nią jak nogi wielkiego pająka. Gałązki krzewów chwytają jej ubranie, smagają po udach. Światło z gwiazd i księżyca nie wystarcza, by iść pewnym krokiem i nie wejść w bagno. Nie jest kotem, potrzebuje latarki. Na moment, bo komórka może paść w każdej chwili. Ile tam baterii zostało? Cztery, pięć procent? Pasek wskaźnika jest tak wąty, że niemal niedostrzegalny.

Myśli, że polana jest tuż, tuż. Tak zapamiętała z poprzedniej wizyty, gdy już zaczęła rozumieć, co się wokół dzieje. Dzięki kolejnemu błyskowi światła z latarki dostrzega wypatrywaną łąkę. Zza wysokiej trawy widać zarys ponurej, tajemniczej budowli, wyglądającej jak piramida ze ściętym czubkiem.

„No, to jestem prawie na miejscu. Oby tylko w tej trawie nie siedziały żmije” – myśli kobieta i wyciąga zza pasa siekiere o szerokim ostrzu. Podchodzi do żelaznej kraty zamontowanej na zawiasach pośrodku frontowej ściany. Skrzydła bramy wcześniej spinała kłódka, lecz teraz nie stanowi już problemu. Kobieta wkłada siekiere z powrotem za pas, chwyta kraty i rozwiera wejście do grobowca.

Znów potrzebuje więcej światła. Podnosi komórkę i rusza, bardziej na pamięć, niż posługując się zmysłami. Wie, co jest w środku tego mauzoleum. Stoi tam niski katafalk, a na nim licha, rozlatująca się trumna z naruszonym wiekiem. Przez jej uszkodzone, częściowo powyrywane deski, widać ludzką głowę, a właściwie niewiele więcej niż czaszkę, opiętą zmumifikowaną, prawie

przezroczystą skórą. Na jej szczycie pozostało siwe kłębowisko włosów, niżej pomarszczone czoło, a u dołu rozwarta szczęka z rzadkim uzębieniem.

W baterii zostało już tylko trzy procent energii, ale kobieta musi choć na chwilę oświetlić pomieszczenie, żeby zsunąć wieko.

Teraz nastąpi najtrudniejszy moment. Wcale nie dlatego, że kobieta ma odegrać spektakl, w który nie wierzy. I nie dlatego, że brzydzi ją myśl o tym, co ma zrobić. Po prostu niezmiernie trudno jest przymierzyć siekierą i uciąć głowę człokowi wciśniętemu w ciasną, zabytkową trumnę. Potrzebuje jednego dobrego cięcia. Do tego zaś niezbędne jest światło z padającej komórki.

Nastawia latarkę.

Uderza siekierą.

Udaje się za pierwszym razem, aż sama się dziwi.

Wzdycha. Potem chwytą czerep za włosy i przenosi w nogi trupa, obute w jakieś rozpadające się kamasze pozbawione już podeszew. Następnie wyjmując ciężący jej przez całą drogę kawał cegły i wciska między zęby truposza. Ma dwa procent energii i dwie ostatnie czynności do wykonania.

Wbija długi nóż kuchenny w klatkę piersiową trupa. Ostrze wchodzi gładko, jakby to nie było prawdziwe ciało, a tylko jakiś styropianowy fantom, kukła z *papier mâché*. Dociska ostrze tak, żeby przesywa umarlaka na wylot i wbija się w spód trumny. To może mieć znaczenie.

I na koniec najprostsza rzecz. Kobieta wyjmując foliową torebkę wypełnioną ziarnkami maku. Rozsypuje je wokół katafalku. Również to trzeba zrobić starannie. Jeden procent energii. Komórka zaczyna wydawać ostrzegawcze dźwięki.

Kobieta zastanawia się, co pomyśleliby ludzie, którzy zobaczyliby ją przy odprawianiu tego pradawnego rytuału? Czy zapytaliby, jak dała się opanować temu szaleństwu? Może wzięliby za obłąkaną? Lecz przecież wcale nie uważa, że ten rytuał ma sens. Wierzy tylko, że musi go odprawić, by koszmar wreszcie się skończył.

– Widzicie, zrobiłam to – szepcze, zadowolona z siebie. – Widzicie?

GODZINA 8:01

Mija minuta po tym, jak zadzwonił budzik. Nie w komórce, a taki prawdziwy, jeszcze z czasów PRL, z Bolkiem i Lolkiem na cyferblacie. Po tej minucie lekko zaspana Julia jest już na nogach. Biegnie truchtem do łazienki. Cicho zamyka za sobą drzwi.

Zrobiła tam sobie schowek, w którym trzyma testy. Jej mąż Roman o niczym nie wie, nie musi wiedzieć. Zresztą i tak jeszcze śpi. Zwykł chować się pod poduszką przed upiornie terkoczącym dzwonkiem budzika, całkiem jak w dzieciństwie. „To nie postacie z kreskówki powinni na nim narysować, tylko Hitlera” – powtarzał gniewnie, jeszcze głębiej wtulając się w miękką puchową poduchę, pachnącą proszkiem do prania. Na wakacjach postanowił nie wstawać przed dziewiątą. Wczasy to wczasy, nawet jeśli trochę udawane, i jakaś taryfa ulgowa musi być, bo inaczej człowiek zwariuje. Dlatego Roman nie zerwie się wcześniej, nawet jeśli się zanosi na to, że będą mieli w swojej mazurskiej chacie ważnego gościa.

Na razie dla Julii co innego jest istotne. Plastikowy prostokąt z literkami C i T przy miarce na kilka kropli płynu. Niezguła Roman kiedyś pomylił to, jak w dowcipie, z testem na covid. Julia nie wyprowadzała męża z błędu. Nie tłumaczyła, że tym razem chodzi o to, czy zapłodnione jajeczko zagnieżdżyło się w endometrium macicy. I dbała, żeby Roman nie widział jej przy robieniu testu – jeszcze pomyśli sobie, że przez kwarantannę pomieszało się zonie w głowie i dlatego bada się codziennie na obecność koronawirusa, nieważne, czy trzeba czy nie.

To jest jej sprawa. Skoro sam Roman nigdy nie wypowiedział się jednoznacznie i nie umiał zdecydować się na dziecko, to Julia zdecyduje za niego. Ma już trzydzieści pięć lat, więc to praktycznie ostatni dzwonek. Akurat mocno odbili się finansowo. Pomimo narastającego kryzysu mają w swojej branży perspektywy. Prawdopodobnie nie będzie już w ich życiu i karierze lepszego momentu. Owszem, generalnie wokół nie dzieje się dobrze, świat jest na krawędzi wojny, jednak nigdy nie było, nie ma i nie będzie tego nieomal mitycznego idealnego momentu na dziecko.

Przez pierwsze dni tutaj, na Mazurach, kochali się bardzo często. W dodatku z entuzjazmem i nie tylko dlatego, że Julia myśli o dziecku. To odosobnienie na mazurskim uroczysku po prostu dobrze na nich działało. Przynajmniej na początku. Odprężyli się, oczyścili umysły. Wprawdzie po tygodniu wróciły stare nerwy i piętrzące się obowiązki

związane z nowym projektem, ale dobre i to. „Trzeba widzieć szklankę do połowy pełną, a nie w połowie pustą” – powtarza Julia.

Teraz chciałyby zobaczyć na plastikowym prostokącie jedną kreskę przy literce C i drugą przy T. Kręci się niespokojnie, skulona na porcelanowym tronie w łazience. Minęło dziesięć dni od ich pierwszego razu tutaj, więc może już...?

Niestety. Test uparcie pokazuje tylko krechę przy C. To zaś oznacza kres marzeń o maluchu, przynajmniej dzisiaj. „Jeśli nie teraz, to może jutro lub pojutrze – pociesza się Julia. – To dziecko w końcu do nas przyjdzie, na pewno”.

ROZDZIAŁ 1

STRZELBA NA PAJĄKI

Roman Falk z zadowoleniem wciąga zapach rozchodzący się po strychu z cynamonowych kadzidełek i rozgląda się dookoła. Lekko pochyla przy tym głowę, żeby nie uderzyć się w sufit. Sto lat temu nie budowano domów z myślą o dwumetrowcach, a już na pewno strychy nie były przystosowane do takich wielkoludów jak Roman. Nawet bawełniana czapeczka nie ochroniła mężczyzny przed kilkoma guzami. „Ciężko jest chodzić w pozycji człowieka niosącego na plecach chrust” – narzeka w myślach. Pociesza się jednak, starannie obmacując głowę, że nawet jeśli zadrapał się do krwi, to na szczęście czapeczka jest czerwona i dość gruba. Plama nie będzie się mocno odznaczać. A dzięki temu żona nie zacznie mu wytykać, że znowu był nieostrożny i kawał z niego łamagi. Nie lubi tego. Zresztą komu takie zrządzenie by się podobało?

Falk siada w bezpiecznym miejscu: na dużej drewnianej skrzyni przy ceglanym kominie, z dala od nisko umieszczonych grubych, ciężko ciosanych drewnianych pławi i kleszczy dachu. Z zadowoleniem stwierdza, że całe pomieszczenie wygląda na wysprzątane i czyste, jak obiecano. Co mogło stać na półkach, zmieściło się na półkach, a rzeczy uszkodzone i te o większych gabarytach trafiły do pudeł. Chata, chociaż przebudowywana, była jednak czyjś domem przez pokolenia, więc nawet wysprzątany strych tak naprawdę wygląda na składowisko rupieci, zapomnianych pamiątek i zgoła niepotrzebnych akcesoriów. Bo komu dziś przyda się poniemiecka maszyna do robienia kielbasy, aparat do otwierania konserw lub zardzewiała wyciskarka do owoców? Oczywiście, o ile nie zamierzasz otworzyć muzeum. Roman nie miał takich planów. Był tu gościem. Kimś specjalnym.

Ściany zostały niedawno wybielone. Nie wypatrzył śladu brudu nawet za malowaną skrzynią (służącą chyba dawno temu do przechowywania panińskiego posagu), na której przysiadł. Najważniejsze jednak, że nie zauważył śladu

pajęczyn. Gdyby spalone kosmate paskudztwa biegały wokół tego badziewia poupychanego na półkach i w kartonach, byłoby tutaj nie do wytrzymania. Roman jest w stanie znieść widok krwi, nieraz był świadkiem usypiania chorych zwierząt, bez mrugnięcia okiem zabijał wigilijnego karpia, jednakże pająki od dzieciństwa budzą jego obrzydzenie. Potrafi znieść tylko malutkie egzemplarze oraz długonogie kosarze. Tyle że te drugie w zasadzie nie są pająkami. Śmieszają Romana, bo wydają się strasznie niezgrabne („Całkiem jak ty” – powiedziałyby pewnie Julia). Gdzie im do takich paskudztw jak kątnik, krzyżak, sidlisz piwniczny czy zyżuś tłuścioch. Tych „koleżków” na szczęście tutaj nie ma. Na dodatek jest jasno. Przynajmniej dopóki przez wymyte okno schludnego poddasza chaty wpada odpowiednio dużo słońca.

Krótko mówiąc: pełna kulturka. Zadbany stryszek. Składzik, z którego z chęcią się korzysta. Lecz skrywa on również pewną tajemnicę. Zamknięta jest w malowanej skrzyni, na której przysiadł Roman. To analogowy telefon. Aczkolwiek nie z tarczą z numerami, bo taki zabytek w ogóle już nie znalazłby zastosowania i nie zadziałał. To telefon na przyciski, odrobinę nowocześniejszy. Na tyle jednak sfatygowany i stary, że sprawia wrażenie rówieśnika Romana. Wygląda jednak na sprawny. Ma kabel z odpowiednią wejściówką na końcu. Wystarczy znaleźć w domu kontakt, podłączyć aparat, i już można dzwonić. To o tyle ważne, że chata leży na uroczysku, poza zasięgiem telefonii komórkowej.

– Niebywałe, że są jeszcze takie miejsca w Polsce – mruczy Roman.

Aparat jest czerwony. Ponoć różowy lepiej odstraszałby pająki – tak jak zapach cynamonowy – ale trudno. Kolor jest przypadkowy. W sumie jednak pasuje, ponieważ to z założenia telefon alarmowy. Na wypadek jakiegoś (odpukać) nieszczęścia. Roman nie zamierza brać takiej ewentualności pod uwagę, bo jeszcze nigdy na wakacjach nie przytrafiła im się żadna sytuacja awaryjna. Ba, Julia nawet nie wie o istnieniu tego czerwonego aparatu. „Chyba wybaczy mi taką małą tajemnicę? – pociesza się Falk. – Nie wywali mnie na tydzień z sypialni za spiskowanie za jej plecami”.

Dopóki nic się nie dzieje, aparat leży spokojnie, zamknięty w skrzyni jak w trumnie. Roman natomiast zatrzymuje wzrok na innym przedmiocie. Ten zaś wisi nad półkami pełnymi boćków, krów i innych zwierzątek wykonanych z kasztanów i żołądzi, na lewo od dość obrzydliwego wypchanego rysia, wyglądającego, jakby się kulił ze strachu. Ów przedmiot to dubeltówka.

Roman zastanawia się już od paru dni, czy jest prawdziwa. Trochę dziwne, żeby ktoś zostawiał w domku letniskowym broń palną. Przecież na takie rzeczy trzeba mieć pozwolenie. Więc może jednak to tylko replika? Tyle że dubeltówka daje się otworzyć, lufy nie są zaczopowane. Roman nie ma pojęcia o strzelbach, jednak po swoich amatorskich oględzinach broni nie wyklucza, że jest autentyczna i sprawna. A jeśli tak faktycznie jest, to czy na strychu są też schowane naboje? „Może pozostały gdzieś w tych pudłach? – rozmyśla mężczyzna. – Na pewno są w którymś kartonie. Na bank”.

Większość ludzi nieobeznanych z bronią pewnie poczułaby się nieswojo, wiedząc, że pod ich dachem znajduje się strzelba z ostrą amunicją. Jednak Roman nie wygląda na przestraszonego. Wręcz przeciwnie. Wydaje się dziwnie podekscytowany, jakby owej broni rzeczywiście potrzebował.

Dochodzą go głosy z parteru domu. Podniesione, szybkie, wręcz natarczywe. To jego żona Julia i ich gość. „Alex przez iks” – jak usłyszał przy powitaniu Roman. Ta ekscentryczna postać przyjechała tutaj w imieniu opiniotwórczego portalu plotkarskiego – z którym menedżerka małżeństwa Falków, Agnieszka, ma dobre układy. Cel: przeprowadzić rozmowę z Julią. Głównie z nią, chociaż kilka słów będzie miał do dodania także Roman. Lecz to żona jest teraz najważniejsza, ona jest twarzą projektu, ona stawia kolejne kroki na drodze do wielkiej kariery. A jeszcze niedawno... Kto by pomyślał? Państwo Falkowie wydawali się wszystkim dookoła parą dziwaków, a tutaj takie zaskoczenie.

Lecz tego, co osiągnęli, trzeba za wszelką cenę bronić. Dlatego Roman potrzebuje strzelby i nabojów. Jest podminowany.

– Alex przez iks. Szkoda, że nie Asteriks – mruczy pod nosem. – Skąd też Agnieszka wytrzasnęła tę dziwną postać? Z liceum? A może z zoo?

Ich gość jest szczupły, ma długie pofarbowane na granat włosy i jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu. Ubrany jest w szeroką czarną koszulkę bez żadnego widocznego logo i wytarte granatowe dżinsy, z grubym łańcuszkiem na klucze zwisającym ze szlufki aż do kieszeni. Na nogach ma ciężkie glany o grubych podszwach, dodające mu centymetrów. Na dobrą sprawę trudno powiedzieć, jakiej płci jest Alex przez iks. Roman bierze komórkę i wyświetla sobie serię zdjęć, jakie zrobili przed domem z ich gościem.

– Faktycznie, nie zgadniesz – mamrocze pod nosem z zafrasowaną miną. – Takie czasy. – Jednak Roman nie ma z tym problemu. Uważa, że daleki jest od

uprzedzeń – w przeciwieństwie do wielu swoich starszych kolegów. Nigdy nie był samcem alfa, w pracy nie czynił koleżankom niestosownych uwag i propozycji, a nad współpracownikami nie starał się dominować.

Od broni, a nawet od paintballa, trzymał się z daleka. Aż do teraz. „Takie czasy”. Bo od lutego, od ataku Rosji na Ukrainę, wszystko się zmieniło. Jedni – określający się jako umiarkowani optymiści – mówili, że grozi nam tylko nowa Jałta. Inni – uchodzący za umiarkowanych pesymistów – że to powtórka z Hitlera. Czas zweryfikował te obawy i nastawienia. Dziś optymiści i pesymiści mówią już o zupełnie innych perspektywach. Nikt jednak nie jest wolny od niepokoju.

„Albo sprzedajemy wszystko i uciekamy do Nowej Zelandii, albo przyzwyczajamy się, że żyjemy tutaj na beczce prochu” – powiedział Romanowi dwa miesiące temu pewien kolega stojący w kolejce przed urzędem, by wymienić paszport, tracący niebawem ważność. „Demokratyzacji Rosji chyba nie dożyjemy, tam łykają propagandę jak pelikany”.

Począwszy od końca lutego, czterdzieści milionów ludzi nad Wisłą nagle skupiło się na polityce międzynarodowej. Polacy zaczęli śledzić doniesienia z frontu, informacje o kolejnych sankcjach, plotki o spiskach na Kremlu, przemówienia Zeleńskiego, słowa Bidena, telefony Macrona, dreptanie w miejscu Niemców, milczenie Merkel, kłamstwa Ławrowa, obstrukcję ze strony Węgier, manewrowanie Turków i kalkulacje Chińczyków... A zarazem okazali się raptem skłonni do takich wyrzeczeń, jakich nikt wcześniej nie brał pod uwagę. Naraz przypomnieli sobie język rosyjski, nazwy miast i rzek na wschodzie, geografie Ukrainy. Stali się fachowcami od energetyki, a nawet od broni: samolotów, dronów, czołgów, artylerii, broni przeciwlotniczej i przeciwpancernej. „Tak jak za Małysza wszyscy znali się na skokach narciarskich, a za Świątek – na tenisie – utyskiwał Roman. – Po Smoleńsku na lotnictwie, a podczas pandemii na szczepionkach”. Falk narzekał na rodaków, jednakże on również się zmienił. Obrazki z frontu sprawiły, że dopuścił do siebie myśl o wzięciu w ręce broni. Tak działał strach.

Sam nie mógł w to uwierzyć, ale widok spanikowanej żony, przeglądającej Internet ze wszelkimi objawami FOMO^[1], był dla niego szokujący. „Dziwnie zaczęłam funkcjonować. Do późna śledzę newsy, w nocy nie potrafię normalnie spać – przez ten cholerny ból gardła, co godzinę muszę je przepłukać, coś wypić albo wziąć tabletkę. Późnym rankiem półprzytomna wchodzę do Internetu, żeby

sprawdzić, czy Charków broni się nadal. Zaczynam popadać w pesymizm” – napisała podczas kolejnej kwarantanny w cholernie długim SMS-ie do siostry. Julia, niczym masochistka, przypominała sobie dzień w dzień nagranie z YouTube z Putinem z 2010 roku, gdy na imprezie charytatywnej śpiewał „Blueberry Hill” dla zachodnich gwiazd. Były tam Sharon Stone, Goldie Hawn i Monica Bellucci. Byli Kevin Costner, Alain Delon, Gerard Depardieu, Kurt Russell i Vincent Cassel. Brakowało tylko Stevena Seagala.

Na kwarantannie Julia czuła bezradność, a wraz z nią także Roman. Mogli tylko słać pieniądze na akcje charytatywne, podczas gdy tylu ludzi wokół angażowało się w bezpośrednią pomoc. „To było nie tylko szlachetne, ale także dawało tym aktywnym osobom większy psychiczny komfort, nie ma co ukrywać. Czuli, że zachowali, jak to mówią nastolatki, RiGCz^[2]” – powtarzał Roman (choć nie był pewien, czy użył slangowego młodzieżowego określenia poprawnie i czy w ogóle można je stosować na poważnie, bez cienia ironii). Dlatego, gdy tylko kwarantanna się skończyła, sami Falkowie również zaangażowali się w pomoc. A w głowie Romana jeszcze intensywniej zaczęły krążyć myśli o broni. O tym, by chronić siebie, Julię i innych. Nie zdradził tego przed żoną, chyba za bardzo się wstydził. I obawiał się jej reakcji. No bo jak to? On, zawsze śmiejący się z małałatów biegających po lasach z imitacjami karabinów, miałby teraz się do nich upodobnić? Roman odpychał więc od siebie tę uporczywą myśl. Jednak wróciła teraz, w domku na Mazurach.

Nabita strzelba przydałaby mu się nie na „Asteriksa”, lecz na innych gości – nieproszonych, wprowadzających zamęt w sielskie życie w chacie na uroczysku. „Pytanie tylko, gdzie mogą być te cholerne naboje?” Nie, Roman nie ma żadnych morderczych zamiarów: po prostu do odstraszenia wspomnianych niechcianych gości na podwórzu najbardziej przydatny jest huk wystrzału. Co to za goście? Tacy, którzy nie noszą butów. A jest ktoś taki? Owszem, dziki. O ile uznamy, że to właśnie one podczas nocnego zerowania są w stanie tak uszkodzić rowery, że te nie nadają się do użytku. Roman nie jest tego pewny, ale ze strzelbą poczułby się znacznie pewniej.

Falk powtarza sobie, że zdąży jeszcze spokojnie poszukać nabojów, bo do zmierzchu zostało mnóstwo czasu. Trzeba tylko sprawnie uporać się z wizytą „Asteriksa”. I zachować zimną krew. Alex przez iks nie może nabrać podejrzeń, że cokolwiek zakłóca ich sielskie wakacje. Jeszcze wyszłoby z tego nie wiadomo co

w artykule. „Wiadomo, jak działają plotkarskie portale. Tylko czekają, żeby podchwycić jakąś pierdołę, zrobić z igły widły i puścić w eter. A ty potem musisz się tłumaczyć z jakichś rozdmuchanych banialuk – duma Falk. – Wszystko musi wyglądać tak, jak sobie wcześniej zaplanowaliśmy z Agnieszką. Nie można zmarnować naszego wysiłku włożonego w cały ten biznes”.

A jaki jest plan? Najpierw Alex przez iks zada kilkanaście pytań z tak zwanego kwestionariusza Prousta (Roman zastanawia się, ilu z internautów zagląających na strony o celebrytach w ogóle wie, kto zaczął Proust). Potem obejrzy, jak w praktyce wygląda ich „cudowne” życie na wakacjach w mazurskim domku nad wodą. Tu, gdzie telefony komórkowe nie mają zasięgu, o Internecie można tylko pomarzyć, lecz nikt się tym nie przejmuje, bo – przynajmniej w teorii – można cały dzień pływać w jeziorze i uprawiać seks na trawie, pod lipami i płaczącymi wierzbami. Falkowie opowiedzą, jakie to dla nich inspirujące i magiczne, a później... Później zapadnie zmierzch.

Roman przysiada na schodkach na strych i słucha odpowiedzi na pytania z kwestionariusza Prousta, jakby miał się z nich dowiedzieć czegoś nowego o własnej żonie. W międzyczasie połyka wielkie kęsy pachnącego rogalika, obficie posmarowanego masłem i przykrytego grubym plastrem żółtego sera.

GODZINA 12:21

Kobieta w kościelnej ławie spogląda na swój staromodny zegarek o tarczy przypominającej kształtem serce. Lecz przecież i bez tego wie, która jest godzina: w kościele właśnie skończyła odmawiać modlitwę na Anioł Pański. Marylka bardziej więc spogląda na cienki, pozłacany łańcuszkowy pasek zegarka, wpijający się jej w przegub. To coraz częstsze, zwłaszcza gdy ręce spuchną jej po robocie. A narobiła się dzisiaj przy wypiekach. „Chyba muszę iść z tym do lekarza – myśli, oglądając rękę. – Czy to nie jaka choroba? A może tylko metryka, jak to mówią? Starość nie radość”.

Czasomierz ma jeszcze po mamie. Drugiego takiego paska nie dostanie, nie chce nic zmieniać. Czuje się z nim jak dama. W istocie Marylka mogłaby uchodzić za sobowtóra królowej Elżbiety II, tylko jest od niej prawie czterdzieści lat młodsza. Czyli wygląda jak brytyjska władczyni w dniu ślubu księżnej Diany z księciem Karolem. Nawet ma podobne zamięlowanie do kolorowych kapeluszy. To częsty temat w rozmowach Marylki z koleżankami. Takie porównania bardzo jej schlebiają. „Tylko ciekawe, czy królowa kiedykolwiek ugniatała ciasto? – zastanawia się Marylka. – Czy czuła się kiedyś zajechana jak koń po westernie?” Z tym westernem to oczywiście przesada, kobieta prędzej porównałaby siebie do konia uwiecznionego przed pokoleniami na ścianie jej kościoła – z podpisem po niemiecku, znaczącym podobno: „Ja, koń Jakub, przyciągnąłem większość kamieni na budowę tej świątyni”.

Podobno, bo Marylka niemieckiego nie zna. Kto by tam w jej dzieciństwie uczył się języka wroga! Na saksy też nie wyjeżdżała za Odrę, więc taki argument, by uczyć się języka, też odpadł. A z tymi nielicznymi turystami z Niemiec, którzy się tu zapuszczają, zawsze idzie się dogadać – nawet na migi. Żadni już dziś z nich wrogowie. Marylka bardziej obawia się armii Putina z obwodu kaliningradzkiego. Wojna, rosnące koszty życia, niepewna zima, pogarszające się zdrowie i coraz większe zmęczenie – Marylka nie ma zbyt wielu powodów do radości, nie ma wielkich nadziei i marzeń.

„Dobrze, że chociaż kościół mamy piękny” – myśli sobie. Rozgląda się z dumą po zabytkowym wnętrzu, jak niemal codziennie. Drewniany sufit, kolumny i balkony naokoło są prześlicznie zdobione: wyrzeźbione, z wymalowanymi roślinnymi motywami. Na panelach widać sceny z życia Jezusa. Nawet żyrandole, przypominające koła od wozu, są prawdziwymi dziełami sztuki.

„Szczęściarze z was, że macie taki kościół. To prawdziwa Kaplica Sykstyńska Mazur. Wspaniale, że ją tak pieczołowicie odnowiono” – powiedziała Marylce para turystów, którym od prawie dwóch tygodni wozi swoje wypieki. Kobieta uśmiechnęła się wtedy z dumą, chociaż korciło już ją, żeby odpowiedzieć, że tym pięknem jeszcze nikt się nie najadł. Ot, choćby Boguszowa, która siedzi w kościelnej ławie razem z Marylką, a swój stary dom oddała na turystów. Minęło parę lat i z pieniędzy nic nie zostało. Dlatego Marylka piecze też co nieco dla jej dzieciaków, za darmo. I modli się codziennie, żeby turystów – pomimo kryzysu – nie zabrakło.

ROZDZIAŁ 2

KWESTIONARIUSZ PROUSTA

Alex wie, że ma rozmawiać z kobietą, która wymyśliła i zaprojektowała grę – a właściwie całą rodzinę gier. Nazwała ją „Wilki i czaszki”, ponieważ akcja toczy się w kwaterze Hitlera, w Wilczym Szańcu, oczywiście podczas II wojny światowej. Planszówka, od której się zaczęło, bardzo się udała. Zebrała kapitalne recenzje. Pokochali ją zarówno fani historii, jak i wielbiciel kryminałów, opowieści szpiegowskich czy nawet przygód z dreszczykiem. Zainteresował się nią również poważny wydawca gier komputerowych. Przygotował wersje elektroniczne na komórki, konsole i komputery osobiste, które – wedle pierwszych recenzji i doniesień testerów – mają potencjał, by odnieść na świecie sukces. Może nie na miarę trzeciej części „Wiedźmina”, ale niewątpliwie imponujący, zwłaszcza jak na adaptację gry planszowej. Wydawca zaprojektował nawet gogle z wirtualną rekonstrukcją Wilczego Szańca, w których można zwiedzać zachowane ruiny kwatery Hitlera. To się nazywa promocja!

Nie koniec na tym. W kilku miastach Polski na licencji „Wilków i czaszek” powstają także escape roomy, pokoje zagadek. Ba, kilka stacji telewizyjnych zgłosiło się z propozycją zrobienia serialu na kanwie scenariusza gry... „Może marka «Wilki i czaszki» kiedyś będzie tyle warta, co «Dungeons & Dragons»? Może za ileś lat powstanie na Netfliksie serial, w którym dzieciaki będą grały w «Wolves & Skulls», tak jak bohaterowie «Stranger Things» grają w «Dungeons & Dragons»? – zwykła mówić menedżerka Falków, notabene siostra Julii. – Oczywiście, historyczna szpiegowska planszówka to co innego niż fabularna gra fantasy, a Polska to nie Ameryka. Lecz przecież trzeba mieć marzenia, nieprawdaż?”.

Alex oczywiście zna „Wilki i czaszki”, zwłaszcza że pasjonuje się planszówkami i escape roomami. Jednak nie wie, czego spodziewać się po Falkach. Bo firma Falk Rulez to nie tylko Julia, lecz także jej mąż Roman – najbliższy współpracownik i ponoć dobry duch. Nigdy wcześniej nie udzielali dłuższych wywiadów. Mało

tego, nikt nawet nie wie, jak wyglądają. „To niesamowite, że przez lata z zapalem projektowali planszówki, które wydawały się nikomu niepotrzebne i niedochodowe. Tymczasem rynkowe trendy się zmieniły, a Julia wymyśliła grę, na którą zebrali na zrzutkach w Internecie mnóstwo kasy, a potem przygotowali prawdziwe cacko” – dziwi się Alex. I zazdrości Falkom sukcesu. Cieszy się z możliwości rozmowy z nimi, a zwłaszcza z genialną Julią. Pan Roman musi niestety poczekać i pogodzić się z myślą, że nie on jest tutaj bohaterem pierwszego planu.

– Jaka jest twoja główna cecha charakteru? – pyta Alex Julię, gdy po krótkim powitaniu i wymianie wzajemnych uprzejmości zasiadają do kwestionariusza.

– Przemysłność – odpowiada kobieta.

„Słysząc, jak Julia przesuwając kubki z kawą. Czyli zgodnie z planem siedzą w kuchni” – duma na schodach Roman i z ciekawością podsłuchuje dalej.

– Przemysłność? – dziwi się Alex. – Nie powinno się chyba dopytywać, ale to wymaga pogłębienia. Dość dziwna cecha. Brzmi jakoś tak... staromodnie. Niejasno.

– Na przykład mityczny Odys był przemysłny – stwierdza ze śmiechem Julia, poprawiając okulary z dość grubymi szklami korekcyjnymi. Ma nadzieję, że taki początek wywiadu wypadnie intrygująco, a nie pretensjonalnie. Roman obawia się tego drugiego.

– Czyli chodzi o spryt, przebiegłość? – dopytuje Alex.

– Mniej więcej. Wolę jednak słowo „przemysłność” – podkreśla rozmówczyni.

– No dobrze, to jedźmy dalej. – Alex kiwa głową. – Jakich cech szukasz u mężczyzny?

– Hm... – Julia przewraca oczami, jakby się zastanawiała. – Zrozumienia. Oraz świadomości, że ja bardziej od podziwiania potrzebuję bezpieczeństwa. Poczucia, że zawsze możemy na siebie liczyć, znaleźć w sobie oparcie.

Zasłuchany Roman na moment zapomniał o strzelbie i nabojach. Słowa Julii przypominają mu jednak, że nie obejdzie się bez szperania po kartonach. Nawet jeśli ona nic nie wie o tej broni i byłaby jej przeciwna.

– A jakich cech szukasz u kobiet? – pyta Alex.

– Żadnych, jestem hetero – odpowiada szybko Julia.

– Ale przyjaciółki jakies przeciez masz. – Słysząc, jak Alex odstawia kubek.

– U przyjaciółek liczę na szczerść.

– Jasne... – Alex sprawdza dyskretnie, czy dyktafon w komórce działa jak należy.

– To kolejne zagadnienie z kwestionariusza: twoja główna wada.

– Nadmierna życzliwość wobec nieznajomych. Oczywiście nie mówię o tobie, Alex. My już się zakolegowaliśmy. – Roman wyobraża sobie, jak Julia uśmiecha się coraz szerzej. Tak, na pewno uśmiech nie schodzi jej teraz z ust. I wydaje się, że jest to uśmiech szczerzy.

– Twoje ulubione zajęcie? – pyta Alex, szeleszcząc kartkami.

– Głównowanie.

– No tak. Przecież mówiłaś o przemysłnym Odysie i siedzisz w planszówkach – przytakuje Alex, poprawiając palcami swoje granatowe włosy. – A jaki masz pomysł na szczęście? Jak je sobie wyobrażasz w marzeniach?

– Teraz jest właśnie czas, gdy moje marzenie o szczęściu się spełnia. Nie mówię o tym wywiadzie, wybaczyć, lecz w ogóle o ostatnich miesiącach.

Roman wierci się nerwowo na schodach. Nie dlatego, że czuje, jakby od rozmowy z Alex przez iks (lat naście) zależała ich przyszłość. To po prostu korzystne dla promocji firmy Falk Rulez. Romana zastanawia bardziej, na ile szczerze jest to wyznanie Julii. Bo że nie jest w stu procentach prawdziwe, nie ulega dla niego wątpliwości. Zwłaszcza w świetle tego, co działo się ostatnio: przez moment było lepiej, a potem znowu zaczęli na siebie warczeć.

– Rozumiem, że nie marzysz o wywiadach i wcale się nie gniewam. Wiem, że czasem to nic więcej niż przykry obowiązek, a w najlepszym razie męcząca konieczność – przyznaje Alex tonem człowieka, który przeprowadził już dziesiątki wywiadów, chociaż nie wygląda przecież na rutyniarza.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – chichocze Julia. – A jeszcze co do marzeń, wiesz, jak to jest... Ktoś mądry powiedział: „w moim wieku nie ma się już marzeń, tylko plany”. Podpisuję się pod tymi słowami, aczkolwiek uważam, że nie osiągnęłam jeszcze takiego wieku. Niemniej już go widać na horyzoncie, już majaczy. Więc teraz trzeba wcisnąć gaz do dechy, wykorzystać moment, gdy szczęście nam sprzyja, i chwycić marzenia. Trzymać się ich i nie puszczać.

Alex nie widzi jeszcze nawet widma tego dnia, gdy „nie ma się już marzeń, tylko plany”. Trudno zresztą powiedzieć, czy to taka straszna perspektywa? Bo jeśli dobrze wsłuchać się w te słowa, to nie chodzi tylko o fakt, że w pewnym wieku

przestajemy błądzić w chmurach. Także o to, że mamy już tyle nagromadzonych doświadczeń (i pieniędzy), że łatwiej planujemy i realizujemy nasze zamierzenia. Nie odsuwamy już ich w sferę zwaną marzeniami.

– Powiedz zatem, Julio, co byłoby dla ciebie największym nieszczęściem?

– Stracić pamięć. Nie mam wątpliwości.

– To twój największy lęk?

– Nie, strach to osobna sprawa. – Julia momentalnie poważnieje. – Najbardziej boję się wojny.

„To prawda” – potwierdza w myślach Roman. Nawet sam fakt, że wyjechali na Mazury, trochę Julię niepokoił. Wprawdzie dobrze to brzmi w mediach – spędzają wakacje w regionie, który dał im sławę, bo przecież niedaleko stąd jest Wilczy Szaniec – jednak od początku żona miała poważne obiekcje. Na wschodzie wojna, przesmyk suwalski niedaleko, natowska baza i poligon, a oni mają tu siedzieć bez komórek i Internetu? Nie wiedząc, co się dzieje na Bożym świecie, gdy niedaleko mogą mieć linię frontu? A jak Rusczy wejdą i się nie zatrzymają na pierwszej linii oporu, czyli – jak śmieją się rodzice Julii – wszystkich Biedronkach, Castoramach, Lidlach i Kauflandach, które można byłoby splądrować? Tyle że Agnieszka, która zorganizowała im ten bajkowy domek na uroczysku, tak mocno naciskała siostrę i była tak przekonująca, że Julia się poddała. Przyznała, że z tym przesmykiem suwalskim to faktycznie tylko ogólnopolska histeria i nie ma co się poddawać tyranii clickbaitowych tytułów w internetach. Przyznała, że w głuszy powinno się jej dobrze pracować. Romanowi zresztą także. Rok nie wyrok – jak to mówią, a co dopiero miesiąc?

– Wiesz, Alex, ta wojna na Ukrainie – lub w Ukrainie, sama już nie wiem, jak jest poprawnie – strasznie na mnie podziałała. Te obrazy... – Julia przełyka ślinę. – Nawet nie chcę o nich mówić. Ale jest też taki żal, że długo ignorowaliśmy to sąsiedztwo. Trzy razy wybieraliśmy się turystycznie na tamte tereny i za każdym razem w ostatniej chwili rezygnowaliśmy. Najpierw, tuż po studiach, chcieliśmy jechać do zony wokół Czarnobyla, ale ostatecznie wybraliśmy wizytę w Rzymie, pobyt wśród zupełnie innych ruin. Potem Roman wygrał bilet do Kijowa na mecz podczas Euro 2012, ale ostatecznie go odsprzedał, bo nie chciał jechać beze mnie. No i ostatnia okazja nadarzyła się tuż przed sukcesem „Wilków i czaszek”. Mieliśmy przygotować dla pewnej instytucji grę planszową poświęconą polskim zabytkom historycznym na Ukrainie. To wiązało się z wyjazdem w teren,

zwiedzaniem, oglądaniem. Jednak nagle nasz kontakt stracił pracę, a jego następca wahał się, czy to opłacalne. Sprawa przestała być aktualna, gdy wystrzeliła sprzedaż „Wilków i czaszek”. To tak między nami mówiąc. Ale wędrujemy dalej...

„Zabawne, według Julii nie chciałem jechać na mecz bez niej, podczas gdy ja pamiętam, że to ona nie chciała mnie puścić samego – Roman uśmiecha się kwaśno. – Dobra z niej manipulatorka, nie ma co. Na szczęście drobna. I w mało istotnych sprawach”.

– Następna kwestia: kim chciałabyś być, jeśli nie twórczynią gier? – pyta Alex.

– Chciałabym pracować w organizacji zajmującej się pomocą humanitarną. Nie mówię o jakimś wolontariacie, bo to zawsze można robić, niezależnie od zajęcia. Chodzi mi o pełnowymiarową pracę przy konkretnych projektach. Z ludźmi, którzy zawodowo pomagają innym w potrzebie. Tak. Na pewno tak bym chciała. – Julia kiwa głową. Robi „papugę” albo „dzięcioła”, jak zwykł mawiać Roman.

– Kiedy kłamiesz?

– Gdy muszę. – Julia śmieje się głośno.

– Słowa, których nadużywasz?

– Wulgarne! Wiadomo, w pizdu! – Teraz chichoczą już razem. Roman na schodach także się wykrzywia. – Ale spokojnie, Alex – poprawia się Julia. – Przy tobie będę mówić: w pinezkę.

– W pinezkę?

– Tak mawiał mój były szef, lata temu.

– Aha. No dobrze... – Alex znów szeleści głośno kartkami z pytaniami. – Fajnie tu u was, przyznaję, ale podaj inne miejsce, w którym mogłabyś mieszkać.

– Grecja. Wyspy Cykladzkie.

– No jasne, przecież twój nowy tajemniczy projekt nie wziął się znikąd – przytakuje Alex.

„Nowy projekt – myśli Roman i wierci się na schodach, jakby coś go uwierało. – No będzie przy nim roboty co niemiara. Gdybyśmy chociaż znowu nie kłócili się o pierdoły: rozrzucanie chusteczek higienicznych i obciętych paznokci, zmywanie po sobie garnków czy zbieranie okruchów. I gdybyśmy mogli w spokoju tutaj popracować, bez ingerencji z zewnątrz, bez nieproszonych gości”. Jego oczy znów wędrują w kierunku dubeltówki. Dotąd strzelał tylko z wiatrówki, a teraz

zachowuje się, jakby marzył o broni, jakby nie mógł bez niej się obejść. A przecież nie jest Amerykaninem z Teksasu ani postacią z kryminału. Chowa wzrok, jakby zawstydzony swoją reakcją, a potem słucha dalej kwestionariusza Prousta.

– Kim jest twój ulubiony bohater literacki lub filmowy? Zdziwisz tym naszych czytelników?

– No nie wiem, czy to będzie zaskakujące. – Julia poprawia na nosie okulary. – Sherlock Holmes, oczywiście. Szokujący wybór?

– O ile mówisz o Sherlocku w wydaniu Cumberbatcha, to tak. – Alex odruchowo zakłada rękę na rękę, przyjmując postawę obronną, wyraźnie sugerującą negatywne nastawienie. – Można by się spodziewać kogoś bardziej retro, kogoś z dawniejszych aktorów.

– Dlaczego? – Julia zauważa to niechętnie nastawienie. – Wyglądam na dziadersa?

– Nie. Po prostu Sherlock Cumberbatcha jest przekombinowany, przefajny, zbyt współczesny. Tak w ogóle to dziwię się, że nie wymieniłaś znów Odysa, skoro już było o nim i Grecji. A co do dziadersa, przy kwestionariuszu to ja zadaję pytania. – Alex zabawnie akcentuje to „ja”. – Zatem kolejny punkt: twój ulubiony żyjący bohater, z realnego świata.

– David Attenborough. Jakies półtora roku temu czytałam jego nową książkę...

– „Życie na naszej planecie”? – podchwytuje Alex i zaraz odruchowo zmienia postawę na bardziej otwartą.

– Tak.

– Znam.

– Wcześniej kojarzyłam go tylko z filmów i zaczęłam szybko nadrabiać zaległości. Ta książka trochę mnie zadziwiła. – Julia bierze łyk kawy, która już dawno wystygła.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy wiemy, że Ziemia umiera, i spodziewałabym się po nim głośnego bicia na alarm. Tymczasem on podchodzi do przyszłości dość optymistycznie – ocenia Julia. – Z wiarą w ludzi. Wskazuje, jakie kroki są podejmowane i co w przyszłości może nas uratować.

– Może to taka metoda, żeby nie pogrążyć się w poczuciu beznadziei, opanować strach i gniew? – podrzuca Alex, marszcząc brwi.

– Może, kto wie – przyznaje Falk. – Aczkolwiek przez półtora roku sprawy niepokojąco przyspieszyły. Pogoda szaleje. Wojna, covid, syf i malaria. Nie wiem, czy dzisiaj Attenborough pisałby z równym optymizmem...

– Oby jeszcze pożył i niejedną książkę napisał. Mądry facet.

– Oby! Mam nadzieję. Tylu popaprańców zatruwających ten świat powinno pójść przed nim w p... pinezkę – wzdycha Julia.

„Ile to jeszcze potrwa? – zastanawia się Roman. Przecież musimy oprócz tego pokazać swój warsztat pracy. »Asteriks« na pewno wyduma mnóstwo pytań. Będzie nas męczyć do zmięzchu. A im szybciej się stąd zabierze, tym lepiej dla nas wszystkich” – myśli poirytowany.

– Czego najbardziej nie cierpisz? – pyta Alex.

– Prostactwa – odpowiada z przekąsem Falk. – I dodam, że używania przekleństw za prostackie nie uważam. Chodzi o zupełnie inne rzeczy, jakich u nas pełno. Prymitywne dowcipy, chępcie się niewiedzą, brak ogłady przedstawiany jako nonkonformizm, i tak dalej.

– Aha... A jaki dar natury chciałabyś mieć?

– Chciałabym móc ciskać gromy – odpowiada Julia z dziecięcym entuzjazmem. Z tak wyraźnym ożywieniem, jakby nie spodziewała się takiego pytania.

– Miałabyś wtedy pełne ręce roboty, nie? – Alex puszcza oko.

– Oj, miałabym, miałabym...

Romanowi przychodzi do głowy, że żona jemu też przypieklaby dupę takim gromem. No i nie potrzebowaliby strzelby, żeby przegonić dziki czy inne diabelstwo.

– Jakie błędy najłatwiej wybacza geniuszka z Falk Rulez?

– Własne. Wiadomo. – Julia śmieje się. – Geniuszka z Falk Rulez? To dobre. Troszkę na wyrost, ale podoba mi się. Przyszłościowe.

– No dobrze – chrząka Alex. – To ostatnie pytanie: jak chciałabyś umrzeć?

– Z hukiem!

Jeszcze chwila, jeszcze trochę śmiechu w kuchni nad kawą i Roman uznaje, że może już wrócić ze swojego wygnania na strychu. Kiedy schodzi, macha przyjaźnie ręką do żony i „Asteriksa”, po czym traci równowagę na stromych schodkach.

Na szczęście upadek Romana kończy się tylko na grzmotnięciu tyłkiem o stopień.

– Jezus Maria, Romeo – denerwuje się Julia, zirytowana żalnym widowiskiem, które odbyło się na jej oczach. – Co jest z tobą nie tak, skarbie? Już kiedyś musiałam cię zdrapywać z podłogi, jak fiknąłeś kozła.

– Zdrapywać? – dziwi się Alex, wstając od stolika, jakby Romanowi potrzebna była pomoc. – Brzmi groźnie. Na pewno wszystko z panem w porządku?

– Jasne, że tak. – Roman otrzepuje spodnie, jakby wytarł nimi ze schodów warstwę kurzu albo piasku. – Poza tym wydawało mi się, że przeszliśmy już na ty, a tymczasem znowu mi „panujesz”...

– A, przepraszam. To z nerwów i zakłopotania. – Alex robi minę nieboraka.

– Wiem, że jesteśmy od ciebie trochę starsi, Alex, ale nadal mamy tylko trzydzieści kilka lat – kontynuuje Roman. – To nie robi z nas emerytów, jesteśmy jeszcze młodzieniaszkami. Zresztą zobaczysz... Za dwanaście, piętnaście lat? Dobrze zgaduję?

– Prawie – przytakuje Alex. – Mam dziewiętnaście lat, prawie dwadzieścia. Moi rodzice są od was zdecydowanie starsi i wciąż uważają się za młodych, więc wcale nie widzę w was... hm... starych boomerów.

– Dziewiętnaście. – Julia kiwa głową. – I już pracujesz?

– Tak, staram się łączyć pracę dla portalu ze studiami – Alex poprawia włosy. – Ale nie mówmy już o mnie...

– Dlaczego nie? – przerywa Julia. – Ty o nas tyle wiesz, niechże i my się czegoś dowiemy.

Alex robi minę typu „bez przesady, aż tak wiele to nie wiem, a o sobie gadać nie lubię”. Na szczęście interwencja Romana umożliwia wymiganie się od spełnienia krępującej prośby gospodyni.

– Oj, daj spokój. – Roman chwyta żonę za rękę. Jednak Julia wymyka mu się i nie odpuszcza.

– Dobra, dobra. Alex ma porządną pracę w tak młodym wieku, w dużym portalu. Dostaje wywiad z popularnymi bądź co bądź osobnikami, takimi jak my. Jestem ciekawa, jak do tego doszło. My dzieci jeszcze nie mamy, ale jest u nas paru chrześniaków, więc dobrze wiedzieć, jak to się robi...

– Nie ma w tym wielkiej tajemnicy. – Alex wzrusza ramionami.

– To dawaj, bardzo jesteśmy ciekawi – prosi Julia.

– Zaczęło się jakieś półtora roku temu, w liceum. Przyszło mi do głowy, żeby zrobić przewodnik po zapomnianych pałacach na Mazurach. Takich, o których turyści nawet nie wiedzą. Niektóre to ruiny, innymi ktoś się zajmuje. Wpadło mi w oko dziesięć obiektów, a potem przyszło mi do głowy, że za wszelką cenę muszę się do nich dostać, legalnie lub nie, a potem opisać je w formie reportażu.

– I jak poszło?

– Było super, chociaż kosztowało to trochę guzów i siniaków.

– To znaczy? – dopytuje Julia.

– W Arklitach można było sobie nogi połamać, a robactwo chciało człowieka zeżreć. Mam też zdjęcie ze szczytu wieży w Prośnie, ale nie polecam, skrajnie niebezpieczne to było. W Silginach omal nie spadł mi na głowę jakiś gigantyczny metalowy zbiornik z czasów chyba hitlerowskich. Ale to opuszczone miejsca, przynajmniej nikt mnie nie ganiał – wymienia Alex. – Za to już do legendarnego lwa w pałacu w Judytach trzeba było się przemykać, żeby nowy właściciel nie zobaczył. Tak samo w Warnikajmach, gdzie jako dziecko bawił się von Braun – ten od raket V2 i lotu Amerykanów na Księżyc. Dzięki różnym fortelom udało mi się obejrzeć wnętrza pałaców w Drogoszach, Skandławkach i Rodelach, raz nawet trzeba było udawać kogoś od konserwatora. Z kolei pałace w Nakomiadach i Galinach to pensjonaty i hotele, nie było problemu, żeby się tam dostać.

– Zdjęcia, zdjęcia, pokaż zdjęcia – prosi Julia. – Nigdy nie byliśmy w żadnym z tych miejsc.

– Serio? – dziwi się Alex. Odkłada służbową komórkę z włączonym dyktafonem i szybko przegląda galerię fotografii na prywatnej komórce. Gdzieś tam w katalogu Ulubione ma najbardziej malownicze ruiny. – Z większości tych miejsc jest niedaleko do Kętrzyna, czyli także do Wilczego Szańca. W waszej grze pojawiają się odniesienia do tych okolic. Można by pomyśleć, że macie to w małym palcu, że objechaliście tu wszystko.

– A skądże znowu – odpowiada Julia, przysysając się do komórki ze zdjęciami. – Przecież my w ogóle nie mamy żadnych związków z tymi stronami. A byliśmy nad mazurskimi jeziorami chyba tylko na szkolnych i studenckich wyjazdach.

Alex robi zdumioną minę.

– A ty jesteś z Mazur? – Roman znów dołącza do rozmowy. Wcześniej był jakby nieobecny, wręcz poirytowany tym, że Julia podchwyciła kolejny temat, który tylko wydłuży wizytę gościa.

– Tak. Moi rodzice znają tu wiele odjazdowych miejsc, zwłaszcza mama. Są skarbnicą wiedzy o Mazurach i o pobliskim Podlasiu. Nie uwierzylibyście, jakie historie mi opowiadali. – Alex nagle traci pewność siebie. – Mniejsza z tym. Mama poleciła mi kilkanaście pałaców, dworów i folwarków, a tata nawet pomagał mi dostać się do środka. Tyle że w reportażu oczywiście lepiej było to pominąć. – Alex ma lekko zmieszaną minę.

– Oczywiście. – Roman błyska okiem, jakby usatysfakcjonowało go to przyznanie się do drobnego kłamstewka. – Inaczej reportaż nie zrobiłby takiego wrażenia, jak sędzę.

– I tak nie zrobił – mówi Alex, wzruszając ramionami. Te słowa wyraźnie zaskakują Julię i Romana.

– Jak to? Więc skąd propozycja pracy dla portalu? – pytają jedno przez drugie.

– Chodzi o to, że mimochodem w reportażu wspomniany został dworek w Stachowiźnie należący przez lata do Staraków, ale wciąż niszczący. I jeszcze wieża ciśnień pod Kętrzynem, która wedle moich informacji przechodziła przez ręce różnych celebrytów. No i jakaś rzekoma inwestycja Lewandowskich. Wtedy okazało się, że jest olbrzymie zapotrzebowanie na doniesienia o tym, co gwiazdy robią na Mazurach, gdzie mają swoje posiadłości, jak spędzają czas. Dlatego właśnie jestem też tutaj, u was – odpowiada Alex, po czym bierze od Julii swój telefon. – Możemy przejść do następnego punktu naszego gry planu? Romanie, z tobą już na pewno wszystko w porządku, nie poobijałeś się?

– Nie przejmuj się mną, Alex. Czasami zdarzają mi się problemy z błędniakiem i z ciśnieniem. Miałem nawet specjalne badanie. VNG czy VGN, już nie pamiętam. Koszmar. – Roman robi się nagle podekscytowany. – Najpierw zakładają ci specjalne gogle. Oczywiście musisz mieć szeroko otwarte. Normalnie jak, nie przymierzając, w „Mechanicznej pomarańczy”.

– Serio? Jak w tym filmie? – Alex się wzdryga.

– Prawie. Wodzisz wzrokiem za coraz szybciej poruszającą się kropką na ekranie. Potem przed oczami przesuwa ci się coraz szybciej niebiesko-żółta szachownica. Prawie do porzygania – relacjonuje Roman, trajkocząc jak karabin. –

Wtedy następuje faza druga. Wędrujesz na kozetkę, gogle zostają zakryte. Leżysz więc w ciemności, a technik wlewa ci pod ciśnieniem wodę do uszu – zimną i ciepłą, raz do lewego, raz do prawego. Aż do zawrotów głowy. Na granicy mdłości zaczynasz odliczać od stu w dół, co dwa, czyli tylko liczby parzyste. W sumie godzina takiej zabawy. Wszystko rejestrowane na komputerze. Widzisz czasami własne rozszerzone oczy. Tylko pani technik gada czasem do ciebie jak do dziecka.

– Tłumaczyłeś przed chwilą, że nie jesteśmy dziadersami, a teraz podniecasz się swoim przypadkiem medycznym niczym jakiś emeryt w państwowej przychodni, narzekający w kolejce i z nudów licytujący się na choroby z innymi kolejkowiczami – drwi Julia.

– Udam, że tego nie słyszę – wtrąca się Alex. – Ta uwaga uderza w sporą część naszych czytelników.

– A, to przepraszam – wycofuje się Julia, a jej policzki oblewa rumieniec.

– Wracając do twojej przypadłości, Romanie... – zachęca Alex.

– No więc wyszło na to, że nie wykryli nic poważnego. Lekarz powiedział, że nie ma się czym przejmować – zapewnia Roman i nalewa sobie zimną już kawę ze szklanego dzbanka na kuchennym stole. Jeszcze niedawno się spieszył, żeby pozbyć się „Asteriksa” jak najprędzej, a teraz z chęcią opowiada o swoich kłopotach zdrowotnych, jakby nie mógł się wyzalić komu innemu. – Musiałem robić jakieś ćwiczenia na odetkanie trąbki Eustachiusza...

Alex i Julia spuszczaają wzrok i mimowolnie zaczynają chichotać.

– Wiem, nie ma nikogo, kto by się nie śmiał, usłyszawszy zniecka o trąbce Eustachiusza.

Nerwowy chichot po kilku sekundach cichnie.

– A poza ową feralną trąbką mój Romeo bywa najzwyczajniej w świecie niezdarny. Daleko mu do zwinności kocura. – Julia podchodzi do męża i całuje go czule w policzek. – Lecz przecież takiego właśnie go kocham.

Alex robi im komórką zdjęcie.

– To pójdzie przy artykule? – pyta Julia.

– A macie coś przeciwko?

– Dawaliśmy już profesjonalne zdjęcia z sesji w domku, razem z moją siostrą.

– Ale ten kadr jest taki piękny. Naturalny. – Alex odwraca ekran komórki w stronę gospodarzy.

– Rzeczywiście. Masz dobre oko do ludzkich twarzy – chwali Roman. – Ale o tym moim błędniku i trąbce Eustachiusza nie musisz wspominać. Jeszcze wezmą mnie za hipochondryka. Albo pomyślą, że się nachlałem z samego rana i spadłem ze schodów na twoich oczach.

– O, to by się dopiero klikało! – podchwytuje Alex. – „Mąż nowej gwiazdy polskiej popkultury pije od rana. Mało nie skręcił sobie karku na schodach”.

– Nawet tak nie żartuj! – Roman momentalnie poważnieje.

– Ej, wyluzuj. – Julia sprzedaje mu kuksańca.

– To źle, że nie chcę wyjść na dzbana? – odpowiada jej, marszcząc nos.

– Spoko, tylko wyjaśnij, co nie spodobało ci się w tym zdaniu? To, że pijesz od rana, czy to, że jesteś tylko mężem swojej żony? – chichocze Julia.

– Teraz to ty robisz nam obciach. – Roman usiłuje pstryknąć żonę za karę w ucho, ale ta szybko mu się wyrywa.

– Ostrożnie, bo uszkodzisz mi trąbkę. A poza tym już nie mówi się obciach, tylko *cringe* – poprawia go Julia, karykaturalnie wymawiając „kryndź”.

– Trzeba z tym uważać – chrząka znacząco Alex. – Modne słówka szybko się zmieniają. Jeśli używacie przeterminowanych, to wychodzi jeszcze bardziej dziadersko.

– Jezu, naprawdę musimy się strzec – mruczy Roman. – Nie mamy czterdziestki, a ktoś już może nas brać za dinozaury. To zaś mogłoby zaszkodzić sprzedaży.

– Ale to wcale nie jest tak, że młode pokolenie wcale nie chce słuchać, co mają do powiedzenia starsi – zwraca uwagę Alex. – Po prostu nie zgadzamy się z przekonaniem, że siwa broda świadczy o mądrości.

– Ja nie mam siwej – szczerzy się Roman, gładząc po zaroście na kanciastej twarzy.

– A policzki wciąż masz gładkie jak pupa niemowlaka – dodaje Julia, głaszcząc męża.

Alex robi kolejne zdjęcie.

– Najfajniej wychodzi, gdy po prostu jesteście sobą – mówi i pokazuje im fotkę.

– Żebyśmy jeszcze wiedzieli, kiedy jesteśmy sobą. – Julia głęboko wzdycha.

– Może wtedy, gdy nie myślimy, po co cała ta szopka – odpowiada Roman.

– No właśnie. – Alex klaszcze dwa razy, skupiając na sobie uwagę gospodarzy. –
Przejdźmy do kolejnego punktu. Wasz nowy projekt! Gdzie jest? Mogę go zobaczyć? Opowiedz coś o nim naszym internautom? Zdradzicie jakieś szczegóły?

Julia śmieje się i potakuje, jakby o niczym innym nie marzyła. Wychodzą z kuchni do korytarza, potem idą w stronę drzwi naprzeciwko. To dawny salon, pokój dzienny, przerobiony teraz na gabinet Julii. Skrzypią sędziwe drewniane drzwi. Jedyne światło pada zza ich pleców, gdy wchodzi do pomieszczenia. Widać centralnie ustawiony stół, przykryty wielką planszą, wokół mnóstwo figurek i żetonów. Trudno się w tym połapać, bo ledwo je widać: w oknach zaciągnięte są grube zasłony.

– Może włączymy światło? – pyta Alex.

Roman w odpowiedzi zatrzaskuje drzwi za ich plecami.

– Nie – stwierdza krótko i ponuro, gdy zapada ciemność.

GODZINA 12:21

„Minęła godzina czternasta” – powtarza głos w radio. Niewielki odbiornik – wyglądający jak zabawka, a pamiętający jeszcze XX wiek – stoi tuż obok zdjęcia, na którym śmieje się Alex. Do zdjęcia natomiast uśmiecha się przechodząca obok kobieta po pięćdziesiątce, na której kitlu widać identyfikator z napisem „Dr Janina Byś”. Postanowiła wystawić na biurko w swoim gabinecie zdjęcie dziecka, którego jest matką chrzestną, nie tylko dlatego, że interesanci plotkują o Byś jako o starej pannie i przezywają „doktor Kobrą”, ale również dlatego, że Alex będzie niedługo coś świętować.

Wiele ich łączy. Bezdzienna ciotka i dziecko wychowujące się bez rodzeństwa szybko nawiązali nic porozumienia. Czy mogli sobie coś zrekompensować? Może. Na pewno nie chodziło tylko o wspólną im miłość do czereśni i podróży. Janina zwykła także opowiadać o życiu w dużym mieście, do którego przeprowadziła się po studiach na akademii medycznej. O tym, co w nim dobrego i złego (przez co ostatecznie Byś wróciła do rodzinnego miasteczka). Dzieciak najpierw słuchał, któregoś razu przyjechał w odwiedziny, potem kolejny raz, aż wreszcie okazało się, że też chciałby spróbować szczęścia w większym, jeszcze większym mieście.

Janina gorąco temu kibicowała. Każdy mały sukces, o którym słyszała, uważała także za swój. Ona i Alex – to był jakiś osobny, odrębny świat. Owszem, miłość i opieka rodziców zawsze są najważniejsze, to wiadomo. Nic tego nie zastąpi. Janina nie miała ambicji, by wciskać się na ich miejsce. Lubiła jednak świadomość, że to właśnie ona, chrzestna, ma dostęp do pewnych tajemnic. Tylko Janina wiedziała, że Alex panicznie boi się ciemności. I że ukrywa to przed rodzicami. Od lat. Nie ukrywa tego natomiast przed swoją matką chrzestną.

Wydawałoby się, że z wiekiem taki strach sam powinien przejść. Kojarzy się przecież tylko z dziećmi, które nasłuchały się bajek. Jednak nyktofobia to uparta i przebiegła bestia. Niby ustępuje, chowa się, by w chwilach stresu chorego nagle zaatakować niczym wściekły pies.

Są takie chwile – zwłaszcza w nocy – gdy Janinie wydaje się, że celowo nie zrobiła wszystkiego, by pomóc w walce z tą przypadłością. Dlaczego? Bo nie wiedzieli o niej rodzice jej oczka w głowie. A nic przecież tak nie łączy ludzi jak wspólne tajemnice.

Dziś Janina stara się nie myśleć ani o swej samotności, ani o nyktofobii. Ani tym bardziej o wydarzeniu sprzed lat, które ma związek z tym wszystkim...

ROZDZIAŁ 3:

DZIEDZICZNY LĘK Z PRZESZŁOŚCI

– Tak bardzo chcecie usłyszeć jeszcze jedną historyjkę przed zaśnięciem? – spytał stary leśniczy, spoglądając przez okno na rogal księżyca przebijający się przez drzewa. Rzadko miał do czynienia z takimi malcami i bał się, czy nie przesadzi. – Nie boicie się duchów?

– Nie, no skąd! – odparły z entuzjazmem. Był środek nocy, lato 1983 roku, w lesie gdzieś nad Biebrzą, blisko granicy Podlasia i Mazur, gdzie diabeł mówi dobranoc. Dzieci obsiadły starego dookoła. Był tam jego wnuk Łukaszek z trojgiem przyjaciół ze szkoły: łatwo wszystkim się zachwycającą czarnowłosą dziewczynką, wszędobylskim mądralą i pyzatym gadułą. Nosili normalne imiona – Ewcia, Jasiak i Wojtek – ale używali jakichś przezwisk, podobno z kosmicznego filmu. Stary leśniczy oczywiście nie oglądał takich głupot, chociaż zainteresowało go, że film opowiadał o walce rebeliantów z jakimś złym imperium. Jako stary partyzant rozumiał potrzebę używania w tej sytuacji pseudonimów. Na dodatek dzieciaki były wyjątkowo wdzięcznymi słuchaczami. Łupały orzechy i słuchały. Łupały i słuchały. Jakby stary robił za radio albo za kogoś ważnego.

– No nie wiem, czy nie jesteście za mali na tę historię – westchnął, pociągając łyczek z maleńkiej manierki, którą zawsze ze sobą nosił. Spojrzał w stronę uchylonego okna, przez które muchy i komary zlatywały się do lampy ustawionej na stole.

– Rodzice pozwalają mi oglądać w telewizji kino nocne – argumentował jedenastoletni wnuczek. – Na nic nie jesteśmy już za mali.

„Akurat! – Dziadek skrzywił się, nabijając fajkę. – Na niektóre historie jeszcze za wcześnie. Za wcześnie dla nas wszystkich”. Ale dobrze, coś im jeszcze opowie. „Byleby tylko nie posunąć się za daleko”.

– Chcecie opowieść o duchach, to będziecie mieli najprawdziwszą opowieść o duchach! – Leśniczy zamknął oczy, jakby musiał wydobyć opowieść z najgłębszych zakamarków pamięci.

To była wojna. Nie ta ostatnia, z Hitlerem, tylko wcześniejsza. W lasach pod Osowcem zaroilo się od żołnierzy. Jedni, ci w carskich mundurach, zamknięci byli w twierdzy, za grubymi murami i w wielkich bunkrach, po których do dziś pozostały betonowe skorupy. Drudzy, w mundurach cesarskich, nadciągali przez las, z mozołem ciągnąc armaty. Czyli atakowali Niemcy, a bronili się Rosjanie, ale, jak pewnie wiecie, w tamtej wojnie to po obu stronach walczyło mnóstwo Polaków. Taki to był świat.

Carscy dobrze i długo się bronili, okopani wokół twierdzy. Urządzali zasadzki, znienacka ostrzeliwali kolumny wroga skradające się groblami. Wtedy Niemcy wypuścili demona, prawdziwego potwora. Przywieźli ze sobą kilkadziesiąt butli z gazem. O świcie wypuścili w stronę broniących się gęstą mgłę. Poruszała się z wiatrem. Była tak wysoka, że sięgała czubków niektórych drzew, a rozciągnęła się na kilkanaście kilometrów. Jeśli kto w nią wpadł, nie było już dla niego ratunku.

Carscy nie mieli masek przeciwgazowych, nikt z nich nie spodziewał się takiej broni. Widząc, jak ich koledzy cierpią i giną, pozostali żołnierze przerażeni cofali się coraz głębiej. Ktoś zaczął opowiadać, że z mgły wychodzi kobieta w czarnej pelerynie i to ona dusi ludzi. I że to kobieta, którą widzieli wcześniej u boku samego cara, gdy ten przyjechał do twierdzy. Niektórzy rozpowiadali, że to kochanka szalonego mnicha, który hipnotyzował cara. Wiecie, co to hipnoza? Tak, taka sztuczka... No i powiadali, że ta kobieta to niemiecka agentka. I co, nie mieli racji? Teraz dusiła carskich żołnierzy we mgle. Czarna Dama. Potwór. Wszyscy zlekli się straszliwie. Do dziś w twierdzy – tam, gdzie nawet ja nie mogę wejść – można znaleźć napisy skreślone ręką konających: „Chryste, daj wieczny odpoczynek duszy sługi Twojego”.

Huczały armaty, jazgotały karabiny maszynowe. A Niemcy szli za mgłą. Dobijali rannych. Taka jest wojna. Taka to wojna, dzieci... Sytuacja carskich wydawała się rozpaczliwa, beznadziejna. Ale przecież każda mgła musi w końcu się rozproszyć. Gaz się rozrzedził, Czarna Dama znikła. Pozostał wprawdzie strach, lecz przecież i nadzieja na przeżycie. I straszny gniew, złość za tych, co poginęli. Jeden Polak – żaden zabijaka, tylko wrażliwy młody człowiek, który później malował dziwne obrazy – stanął na czele kontrataku.

Niemcy byli zupełnie zaskoczeni, gdy idąc lasem pełnym umarłych, wpadli na biegnących żołnierzy, wyglądających jak żywe trupy. Byli ranni, pokrwawieni, z twarzami

owiniętymi szmatami i przekrwionymi oczami. W słońcu błyszczały straszliwie długie i ostre bagnety nasadzone na karabiny. Sam widok tej broni budził strach, a co dopiero, gdy znalazła się w rękach ludzi przypominających upiory. Teraz to oni byli nie do powstrzymania. Teraz to jakby po ich stronie była Czarna Dama. Duch śmierci.

Niemcy uciekli. Przegrali bitwę, a potem całą wojnę. Ci znad Biebrzy, co przeżyli, wrócili do domów. I tylko Czarnej Damy nikt nie zabrał. Została tutaj, w lesie. Strzeżcie się, żebyście nigdy jej nie spotkali na swojej drodze...

Jak na zawołanie na te słowa coś zatłukło w okno. Dzieciaki aż podskoczyły. Staremu leśniczemu fajka wypadła z ust. Potem coś załomotało w drzwi. Dzieci wrzasnęły.

Przy studni, kilkanaście metrów za chatą leśnika, wieczór spędzali opiekunowie tej dziecięcej wycieczki. Czyli wyrosnięte już rodzeństwo dwojga jej niesfornych uczestników. Po pierwsze: Piotrek, starszy brat Łukasza, czyli kolejny wnuk leśniczego. Po drugie: Janka, siostra Jaśka – chłopca o łobuzerskim spojrzeniu. Mieli już po osiemnaście lat, znali się ze szkoły. Pojechali z dziećmi na parę dni, bo rodzice obiecali im w zamian trochę luzu. Oboje bali się, że będzie strasznie nudno, ale wspólny wyjazd okazał się całkiem udany. Nigdy wcześniej nie mieli okazji bliżej się poznać, o prowadzeniu długich rozmów po zmroku nawet nie wspominając. Z początku było to trochę krępujące, lecz przecież o ile bardziej atrakcyjne niż siedzenie z „przedszkolem” (jak nazywali czwórkę dzieciaków) i dziadkiem. Albo nad książkami do biologii, bo Janka postanowiła studiować medycynę.

– A ja za dwa dni wyjeżdżam do Jarocina – pochwalił się Piotrek.

– Na ten festiwal? – zainteresowała się.

– No, a gdzie? Wezmę ze sobą maskę gazową, na miejscu zrobię irokeza. Będzie czadowo.

– Nie boisz się?

– Czego? – odparł zawadiacko.

– No wiesz, nie sądzę, żeby generał Jaruzelski lubił muzykę z Jarocina. Milicja na pewno nie pożałuje pałek, gdy ktoś zacznie mówić o Solidarności.

– Milicjanci to będą uszy zatykać od hałasu. Nic nie usłyszą – zaśmiał się.

– A rodzice cię puszczą?

– Jestem już pełnoletni.

– Pełnoletni? Dla moich rodziców to nic nie znaczy. Pełnoletnia to będę, jak zacznę na siebie zarabiać i się wyprowadzę. – Dziewczyna nerwowo poprawiła okulary.

– Jeśli masz ich dość, to może powinnaś tak zrobić.

– Neeee! – Machnęła ręką. – Nawet nie żartuj.

– Nie żartuję.

– Wiesz, Piotrek, może już lepiej porozmawiajmy o filmach.

– To na czym byłaś ostatnio w kinie?

– A nie zgadniesz.

– „Karate po polsku”? Na to rodzice cię puścili? A może „Wielki Szu”? Albo „Wilczyca”? – Rozgadał się, jakby wcale nie interesowała go odpowiedź.

– Pudło. Próbuje dalej. – Zaśmiała się i zaczęła się bawić latarką, włączając ją i wyłączając.

– Nie rób dyskoteki, bo bateria się wyczerpie. – Chwycił ją za dłoń.

Wtedy usłyszeli hałas od strony domu. Jakiś łomot, a potem wrzask.

Po dziesięciu sekundach byli już na miejscu. W snopie światła z latarki Piotrek zobaczył, że dziadek szarpie się z kimś w wejściu do chaty.

– Ej, ty! – Piotrek wziął obcego za fraki, a gdy ten odpyskował coś wulgarnie, chłopak chwycił go od tyłu, zaciskając na szyi nelsona. Mężczyzna zaczął bluzgać jeszcze bardziej. Śmierdziało od niego wódką. Coś wyleciało mu spod kurtki.

To był pistolet. Janka spojrzała z przerażeniem na Piotrka, ale ten był zbyt zajęty obezwładnieniem intruza. Na szczęście stary leśniczy podniósł broń i szybko schował za pasek.

– Do samochodu, weź go do samochodu! – rozkazał chłopakowi. – A ty schowaj się do środka, uspokój dzieci – polecił Jance.

Potem stary z wnukiem zawlekli szarpiącego się, kulejącego mężczyznę do służbowego tarpana leśniczego. Wcisnęli go na tylne siedzenie.

– Już sobie z nim poradzę. Wracaj do chaty – rozkazał Piotrkowi stary.

– Ale dziadku, ten typ...

– Poradzę sobie, odejść – powtórzył leśniczy.

Piotrek spoglądał to na niego, to na obcego mężczyznę. Intruz też zaczął mu się przyglądać, pocierając swój rozbity gdzieś po drodze nos.

– Czekaj, gnojku – wybełkotał podпиты mężczyzna. – Zapamiętałem twoją buźkę, smarku. Nie będziesz miał życia w tym kraju. Żadne oceny ci nie pomogą. Będziesz znaczył mniej niż zero.

– Ale klawo! – Dzieciaki tłoczyły się przy oknie, jakby cokolwiek mogły przez nie zobaczyć.

– Widzieliście, jak mój brat założył chwyt temu kulawemu?

– Ale sprął kulapetę^[3]!

– Już odejdźcie od okna, uspokójcie się! – Janka próbowała zapędzić całą czwórkę z powrotem na ziemię, na materace, koce i śpiwory.

– Chłopaki, przez to okno i tak nic nie widać – poparła ją dziewczynka.

– Słuchaj, Ewcia, co w ogóle się stało? – spytała ją Janka.

– Dziadek opowiadał nam o Czarnej Damie, gdy nagle coś załomotało w okno, a potem w drzwi. Całkiem, jakby duch się pojawił! Dziadek powiedział, żeby się nie bać, że to pewnie tylko łoś przyszedł w odwiedzinie. A potem, no, otworzył drzwi i tam stał ten facet.

– Coś mówił?

– Tak. Że potrzebuje się schować. I próbował coś wyjąć spod kurtki. Nie mogłam zrozumieć.

– Powiedział, że pokaże legitymację – wtrącił rumiany Wojtek, metodycznie wyłapując muchy i komary nad stołem.

– A dziadek odpowiedział, że ma szacunek do munduru, ale w domu są dzieci i chce mieć spokój – dodał Jasiak, któremu rozmowa wydała się nagle ciekawsza od wyglądania przez okno.

Tylko Łukaszek wciąż zerkał przez szybę, jakby martwił się o brata. Odetchnął dopiero, gdy ten otworzył drzwi. Rzucił mu się w ramiona, jakby bał się, że go straci.

Pozostałe dzieci spojrzały po sobie z mieszanką niewiary i zażenowania. Łukaszek był z nich najwyższy i najsilniejszy, tyle opowiadał o kłótniach i bójkach z bratem, a jak przyszło co do czego, to zachował się jak mazgaj!

– Ależ z niego mięczak – szepnął Jasiek do Wojtka, który tymczasem nabijał złapane muchy na kolce kaktusa. Ewcia nie protestowała.

– Już się pan uspokoiłeś? – zapytał stary.

– Będziesz miał kłopoty, stary durniu – odparł mężczyzna wciśnięty na tylne siedzenie tarpana. – Nie wiesz, z kim zadarłeś...

– A ty wiesz? Przeżyłem wojnę, biegałem po tych lasach w partyzantce, potem wzięli mnie do armii, poznałem nawet Jaruzelskiego. Możesz mnie w dupę pocałować ze swoją ubecką legitymacją – zapewnił leśniczy. – Przyszedłeś tu po nocy, pijany, z bronią, straszysz dzieci. Wytlumacz w końcu, w czym rzecz.

Ubek zaklął pod nosem.

– Ktoś mnie goni.

– Tutaj?! Kto?

– Nie widziałem dokładnie. Ktoś okryty peleryną. Cień, nie wiem...

– Upiłeś się pan i bredzisz.

– Nie! – Mężczyźnie aż rozświeciły się oczy. – Goni mnie nie bez powodu.

Po czym wyciągnął z kieszeni utyłany w ziemi mieszek, z którego wysypał garść monet. Złoto. Czerwone złoto.

– Dziwna sprawa, co? – spytała szeptem Janka i spojrzała na Piotrka znacząco, jakby oczekiwała dalszych wyjaśnień. Ten jednak milczał.

– Co ci mogę powiedzieć? Dziadek wziął broń i latarkę, a potem zamknął się z tym facetem w tarpanie. Nie wiem, może ma zamiar pilnować go całą noc, a rano odwieźć na milicję? – Wzruszył ramionami.

– Na milicję? Przecież ten facet sam ma jakąś legitymację!

– Ja też mam. Szkolną. To jakiś pijak. Bredzi.

– Pijak, w puszczy, w środku nocy? Uważasz, że jestem jakaś głupia? – zirytowała się. – Jeśli to był facet, który zgubił drogę, to skąd i po co miał broń? Wędkarze noszą wędkę, grzybiarze mają kosze, ale myśliwi nie polują z pistoletami. Piotrek, dopiero dwa tygodnie temu Jaruzelski zniósł stan wojenny.

Tymczasem „przedszkole” z uwagą przyglądało się Piotrkowi i Jance. Ich rozgorączkowanych szeptów nie brali za kłótnię. Dla dzieci było oczywiste, że oboje mają się ku sobie.

– Zakochana para, Piotrek i Janka... – zanucił Wojtek i czekał, aż reszta kolegów dołączy do prześmiewczego chóru.

– *A wszystko te okulary / Gdybym ja je miał / Za te duże, cudne okulary / Serce, duszę bym dał* – zanuciła z kolei Ewcia, kiwając się na boki. Wojtek i Jasiak mało nie zakrztusili się ze śmiechu. Cóż, trudno było uznać okularnicę Jankę za piękność; nie na darmo w szkole przezywano ją Kobrą.

– A ty co, zazdrosna jesteś? – Łukasz odwrócił się i szturchnął Ewkę. Zabolało.

– Wiesz, co to? – spytał ubek, pokazując monety.

– Złote rubłówki – odparł leśniczy. – Skąd je pan masz?

– A znalazłem przy Grzędach^[4].

– Gdzie dokładnie?

– Chciałbyś wiedzieć...

– A bodaj cię! Nieważne. A co z tym zrobisz? – spytał stary.

Bezpieczniak tylko prychnął. Przecież do muzeum nie odda.

– Ważne, co ty zrobisz, stary – odparł. – Przechowaj mnie tu przez noc i zapomnimy o całej sprawie.

– Mam cię przechować? Łosi się boisz? A może wilka spotkałeś?

– Mówię o tym człowieku w pelerynie.

– Upiłeś się pan.

– Przechowasz mnie czy nie? Nie mam siły już iść, chyba nogę zwichnąłem – Mężczyzna zaczął masować kostkę.

– Tylko o to chodzi? Jasne, możesz tu zostać do rana – uspokoił bezpieczniaka stary. – Tu, w samochodzie. Nic ci nie grozi – podkreślił.

– No i to chciałem usłyszeć. – Było widać, że z ubeka zeszło napięcie.
– Ale broń zostaje u mnie – zaznaczył leśniczy.
– Po co? Magazynek jest już pusty.
– Chodzisz pan z nienabitym pistoletem? – zdziwił się stary.
– Był naładowany. Ale go wystrzelałem – przyznał ubek. – Do tego cienia w pelerynie.
– Niemożliwe. Niczego nie słyszałem. A strzały dobrze tutaj niesie.
– To było jeszcze za dnia. Daleko stąd.
Milczeli dłuższą chwilę.
– Wiesz, co to za złoto? – spytał leśniczy, a nocny gość w odpowiedzi powoli kiwnął głową.

– Może powinienem pójść do auta i sprawdzić, co się dzieje? – zastanawiał się na głos Piotrek.
– No nie wiem, warto im przeszkadzać? – odparła Janka. – Twój dziadek jest może i stary, ale wciąż silny. Umie obchodzić się z bronią, i ze zwierzętami...
– To z tym bydlakiem sobie poradzi, chciałaś powiedzieć? – dokończył chłopak za nią.
– Piotrek, kiedy wróci dziadek? – dobiegł ich głos Łukaszka. – Co on robi z tym kulapetą?
– Dziadek poszedł z tym dziwnym panem na obchód – skłamał Piotrek. – Wrócą za kilka godzin. Śpij.
– Wszyscy już śpijcie. – Janka wstała i opatuliła kocami „przedszkole” pokładające się na ziemi jak szczenięta. – Rano wracamy do domu.

– To carskie złoto – odparł bezpiecznie. – Ukryte przez rozbitą jednostkę z wielkiej wojny. Żołd, nigdy niewypłacony.
– Tak pan sądzisz? Żołd? W złotych rublówkach, w sakiewce? To nie powinna być kasa pancerna, różne nominały? – zauważył trzeźwo leśniczy.

– Za dużo chciałbyś wiedzieć – burknął bezpieczniak.

– A może to złoto ma inne pochodzenie? Może ktoś kiedyś płacił nim za ukrycie w lesie, w jakiejś ziemiance? – spytał stary.

– Niby kto?

– Nie udawaj pan Greka. Ludzie, którzy podczas ostatniej wojny musieli ukrywać się i przed Niemcami, i przed niektórymi sąsiadami. Płacili złotem za schronienie, za chleb i za to, żeby nie trafić do obozu.

– Bzdury. To nie jest żydowskie złoto – zirytował się bezpieczniak.

– Gdzie je pan wykopałeś? Gdzie sprzęt? Szpadel, plecak? Skąd pan wiedziałeś, gdzie szukać? Gdzie mapa? – naciskał leśniczy.

– A co to, przesłuchanie? Nie wpychaj nosa w nie swoje sprawy, siwy capie! – Bezpieczniak zerwał się z siedzenia i podstawił staremu pięść pod nos.

– Jesteś pijany. Nawet mój wnuk dał sobie z tobą radę, pęta. Ja też sobie poradzę! – Stary odepchnął natręta. – Jeszcze słowo, a pójdziesz spać do lasu.

– Spokojnie, już jestem grzeczny. – Ubek spokorniał. – Chcę tu dotrwać do rana. Nic więcej.

Dziadek bez słowa pokiwał głową i otworzył drzwi. Zaczął gramolić się z samochodu.

– O jedno nie zapytałeś, stary – rzucił bezpieczniak na koniec.

– To znaczy?

– Dociekałeś, skąd mam to, co znalazłem. A nie pytałeś więcej o tego człowieka w pelerynie. Może wiesz, o kim mówię?

Stary leśniczy bez słowa zatrzaskał drzwi.

Czuwał do rana. Wiedział, że cień w pelerynie w końcu się pojawi.

I nie była to Czarna Dama. I nie była to legenda. To kawał jego własnego życia. Taki, o którym się nie wspomina, bo serce się krajało.

Było ich trzech braci. Podczas ostatniej wojny walczyli w partyzantce na Czerwonym Bagnie. Najpierw przeciw Niemcom, potem przeciw Roskom, potem znów przeciw Niemcom – z ruską pomocą. Chroniła ich puszcza, pełna mokradeł. On znał ją dobrze. Nie na darmo został potem leśniczym.

Kiedy przyszła od wschodu Armia Czerwona, a hitlerowcy się wycofali, jak wielu akowców wcielony został do „ludowego” Wojska Polskiego. I dalej, na Berlin... Co innego jego młodszy bracia.

Średni, kiedy przyszli Rosjanie, został w lesie i walczył dalej, tym razem przeciw komunistom. W maju 1945 roku był w oddziale, który zajął Grajewo, a tam uwolnił towarzyszy broni więzionych przez nową władzę. Chwilę potem usłyszał przez radio, że wojna skończona, że Niemcy już skapitulowały, a świat został podzielony przez zwycięzców. Tułał się jeszcze rok, a potem złożył broń. Musiał odsiedzieć swoje w więzieniu w nowej Polsce, ale potem przeniósł się na Ziemie Odzyskane i założył rodzinę. Nie chciał skończyć jak trzeci, najmłodszy z braci.

Bo ten trzeci skończył tutaj, nad Biebrzą, latem 1944. Hitlerowcy okrążyli zgrupowanie, w którym walczyli bracia. Niemieckich żołnierzy i żandarmów było nawet z dziesięć razy więcej niż partyzantów. Żeby się wyrwać, Polacy skoncentrowali kontratak w jednym miejscu. Pruli do Niemców ze wszystkiego, co mieli. Gdy skończyła się amunicja, wyjęli bagnety, noże i saperki. To był prawdziwy atak umarłych nad Biebrzą. Atak skazanych na zatracenie.

Zaskoczeni, zdezorientowani Niemcy pierzchli, jedna kolumna po drugiej. A partyzanci przebijali się w stronę nadchodzącej od wschodu Armii Czerwonej. Wtedy mieli jeszcze prawo wierzyć, że są sojusznikami. Ba, walczyło po ich stronie nawet paru sowieckich spadochroniarzy.

W ostatnim akcie przebijali się przez zasieki i pole minowe. A tam... Stary leśniczy pamiętał tę scenę, jakby wydarzyła się wczoraj. Jego brat, w długiej pelerynie, zrobił krok, po którym nastąpił donośny huk, a potem... Strzępy płaszcza uniósł wiatr, a zakrwawione szczątki leżały na mokrej, grząskiej ziemi, płaskie jak cień.

Od kilkudziesięciu lat stary widział ten cień. Spotykał go w puszczy, za dnia i w nocy. Cień brata nigdy nie opuścił biebrzańskich lasów. Miał zostać w nich na zawsze. Niemy, podobnie jak nieopowiadana od lat historia braci, dla zbyt wielu osób niewygodna.

Rankiem leśniczy odwiózł do miasta ubeka, a potem – drugim kursem – odstawił też dzieci. Pozostawiły po sobie zabłoconą podłogę, zapach beztroski oraz kaktus

pełen nabitych na kolce much.

„Ech, te dzieciaki...”. Stary machnął tylko ręką.

Gdy robił porządki pod leśną chatą, znalazł tam, gdzie parkował tarpana, złotą rublówkę wbitą w ziemię. Czyżby była to łapówka od intruza, który nawiedził ich wieczorem? Leśniczy jej nie chciał. Stary nie zamierzał trzymać sztamy z tym człowiekiem.

Wziął monetę z czerwonego złota i cisnął w Czerwone Bagno.

„Wypadałoby wypowiedzieć życzenie” – przeszło mu przez myśl.

Czego chciał? Najbardziej pragnął opowiedzieć kiedyś wnukom tragiczną historię swoich braci – tak jak opowiadał straszną legendę o Czarnej Damie. Bez słów, które więzły w gardle. Bez obawy, że sprowadzi tym kłopoty. I bez lęku, że wybuchnie kolejna wojna, a dzieci pójdą w ślady dziadków. Stary leśniczy chciał to wszystko wyrazić, ale brakło mu słów i odwagi. Zamiast życzenia wysapał więc tylko klątwę:

– Niech szlag trafi to krwawe złoto i każdego, kto na nim się dorobił.

Piotrek nie wiedział, jak to się stało, ale w kieszeni swojej kurtki znalazł coś dziwnego. Monetę. Była czerwona, błyszcząca i pachniała ziemią. Może to tamten pijany kulapeta upuścił ją podczas szarpaniny i wpadła chłopakowi do kieszeni? A może to podarek od dziadka?

Kiedy Piotrek jechał do Jarocina, jeszcze wielokrotnie oglądał swoją monetę, teraz już pięknie oczyszczoną. Coraz mniej pachniała ziemią, a coraz bardziej płytami i kasetami, które za nią można było kupić. Tak mu się wydawało tego ostatniego lata w liceum.

Drugiego tak pięknego już nie przeżył. Nie poszedł na studia. Wzięli go do wojska, a on zdezerterował. Postanowił uciec na Zachód. I uciekł z tego ponurego peerelowskiego świata na dobre, na zawsze. Janka, która znała go tak krótko i dobrze zarazem, nigdy się z tym nie pogodziła. Jego brat i cała rodzina – tym bardziej.

Alex wie o tym wszystkim od swoich rodziców. To oni – Łukasz i Ewa – byli tymi dziećmi w leśniczówce w roku 1983. Po latach sami doczekali się dziecka. I gdy miało dziesięć lat, w 2012 roku, opowiedzieli mu tę mroczną historię. Za wcześniej.

Mieli dużo innych, weselszych wspomnień, ale podzielili się właśnie tym. Może dlatego, że akurat byli w tym miejscu nad Biebrzą i wspominali stare czasy?

Tak czy owak, źle to wyszło. Tego samego dnia w 2012 roku ukochane i jedyne dziecko Łukasza i Ewy na wiele godzin zgubiło się w lesie. Odnalazło się dopiero w nocy, roztrzęsione, schowane pod jakimś drzewem. Nic mu się nie stało, ale niewiele zapamiętało. Na dodatek zaczęło śnić koszmary z Czarną Damą, co ojciec niepotrzebnie starał się obrócić w żart. To nie była właściwa metoda pomocy. Biedny dzieciak czuł też lęk przed ciemnym lasem i więcej na Czerwone Bagno już nie przyjechał. Strach przed ciemnością starał się ukrywać. A ten narastał, odgradzając go od świata coraz grubszym murem.

Dziś Alex nie jest już dzieckiem. Jednak dziecięce strachy, niby głupie, nigdy do końca nie ustąpiły. Taka jest siła opowieści, w której fakty mieszają się z fantazjami i półprawdami. Taki jest bagaż, jakim rodzice mogą przypadkiem i nieświadomie obarczyć swoje dziecko. Zwłaszcza że nikt nie rzuca tak długiego cienia jak zmarli.

GODZINA 14:10

– Jest już dziesięć po drugiej, panie Wojciechu! – słyszy grubawy okularnik siedzący przy pulpicie obstawionym monitorami.

– No i? – pada odpowiedź przez zestaw głośno mówiący.

– Kwadrans temu powiedział pan, że za piętnaście minut problem z serwerem będzie rozwiązany.

– Tak, tak, już kończę – odpowiada Wojtek, mrugając nerwowo za szklami. – Nagła, niespodziewana komplikacja spowodowała drobne opóźnienie. Za około dwie minuty wszystko ruszy.

– Trzymam pana za słowo.

– Dwie minuty. Obiecuję. Nagły wypadek, proszę wybaczyć – mówi Wojtek i się rozłącza.

Ten nagły wypadek to odkrycie, którego niespodziewanie dokonał w Internecie. Odnalazł film, jakim jarali się z kolegami w dzieciństwie, a który przepadł, gdy zniknęły z rynku kasety VHS. To był film fantasy, rozgrywający się niby w średniowieczu. Chyba nie amerykański, raczej włoski. Wojtek zapamiętał, że każdy rycerz nosił tam inaczej przyozdobiony hełm: a to baraniami rogami, a to płomieniami, a to gałęzią lub korzeniem, a to rękojeścią miecza przypominającą krzyż. Było dużo pojedynków i trochę seksu. Wojtek przez lata nie mógł sobie przypomnieć tytułu. I nagle bach, olśnienie, jakaś klapka w mózgu przeskoczyła i już wszystko wie. Kluczem jest słowo „paladyni”, które zapamiętał z tytułu. Ten film to „I paladini: storia d’armi e d’amori”, a w wersji anglojęzycznej „Hearts and Armour”, czyli po polsku „Serca i zbroja”. Ma prawie czterdzieści lat, pochodzi z 1983 roku. I teraz najlepsze: w roli głównej wystąpił młody Ronn Moss, czyli późniejszy Ricz Picz (jak mówi babcia Wojtka) z tasiemcowej „Mody na sukces”. Partnerowała mu Tanya Roberts, która potem zagra w jednym z Bondów. A reżyserem tego dziełka był Włoch Giacomo Battiato, który stworzył po latach takie hity polskich kin jak „Karol – człowiek, który został papieżem” oraz „Karol – papież, który pozostał człowiekiem”.

Wojtek puszcza fragment filmu na YouTube i niemal od razu trafia na scenkę z golizną. „Takie majtki nosiły babki w średniowieczu?” – zastanawia się, ale przerywa te rozmyślenia, bo musi przecież postawić z powrotem serwer, z tego żyje. Inaczej nie będzie mógł kupić „Serc i zbroi” na DVD, żeby dać w prezencie Jankowi, z którym dzielił niezdrową fascynację filmem sprzed lat. Prezent na pięćdziesiątkę jak się patrzy. Pozostaną jeszcze

podarki dla Ewy i Łukasza, bo cała dawna szkolna paczka ma urodziny w ostatnich miesiącach roku. „Ciekawa sprawa: może dlatego się polubili, bo wszyscy są tacy jesienno-zimowi? Tylko co by z tego miało wynikać? – myśli Wojtek. – Nieważne. Ważne, że z prezentem dla Ewy i Łukasza nie będzie kłopotu, bo podpowie mi Alex”.

Może nawet już ma podpowiedź, bo prosił o nią wczoraj SMS-em? Wojtek zagląda do komórki. Żadnej odpowiedzi jednak nie znajduje. „Może Alex w ogóle nie używa SMS-ów? W końcu młodzi uważają je za przeżytek. Nawet fejs już jest dla nich boomerski”.

ROZDZIAŁ 4

MINOTAUR

Zamiast zapalić światło, Roman zatrzaskuje drzwi.

Pierwszą sekundę w mroku Alex jakoś znosi – z powodu zaskoczenia. W drugiej chce głośno zaprotestować, ale momentalnie traci oddech. Gdy ciemności wciąż pozostają nierozproszone, Alex czuje kompletny paraliż. Jest w stanie tylko zacisnąć pięści i zęby. Albo zemdleje, albo zacznie wyć, albo przyjmie cios napastnika, który na pewno czai się za plecami. Na pewno ktoś tam jest. Alex nie myśli już racjonalnie.

Ktoś włącza latarkę, a w jej świetle pojawia się wykrzywiona groteskowo twarz Romana.

– Ta gra to horror i kryminał w jednym – mówi, nienaturalnie szczerząc zęby.

„To tylko gra” – powtarza w myślach Alex. Strach zaczyna ustępować. Odrętwienie mija. Alex powtarza sobie, że musi dać na luz, nie może się skompromitować. Nie może wyjść na dziecko przy obcych ludziach, w pracy.

– Romeo, już chyba wywarłeś odpowiednie wrażenie. – Julia chichocze, zerkając na wystraszonego młodego gościa.

– No, mocne to było – przyznaje Alex. „Czy oni wiedzieli, że boję się ciemności? Skąd? – dziwi się. – A może po prostu każdy poczułby się w tej sytuacji nieswojo?”

– To zapraszam bliżej stołu. Zaraz wszystko wyjaśnimy. – Roman kieruje promień światła na planszę przedstawiającą mapę.

– Jak już wiesz, to Cyklady. Archipelag pełen pięknych wysp, ukochane miejsce milionów turystów – zaczyna mówić Julia, wodząc palcem po mapie. – Nie tylko tych, którzy kochają zachody słońca na Santorini i balangi na Mykonos. Także tych, którzy chcą czegoś więcej: powiewu mistyki na Delos, wędrówki w czasie bizantyjską drogą na Paros, odkrywania tajemnic Wenus z Milos. A nawet liczenia wiatraków na Ios czy smakowania wina z Naxos. Zresztą na każdej z wysp

cykladzkich pełno jest białych cerkwi z niebieskimi kopułami i cudownych morskich krajobrazów. Nawet rozleniwione koty zachwycają. Jednak najbardziej charakterystyczne są kręte uliczki, prowadzące w górę i w dół wśród zabytkowych budynków. To istne labirynty.

– Obiło mi się o uszy – przyznaje Alex.

– Naprawdę warto to zobaczyć. Niektóre budynki są tak proste, obłe, przypominające jaskinie, że przez to aż awangardowe. Najważniejsze jednak, jak wspomniałam, są labirynty, które tworzą uliczki. – Julia gestykuje, jakby chciała odtworzyć zawiły kształt zabytkowej zabudowy Cyklad.

– Najważniejsze, bo to idealne miejsce dla seryjnego mordercy – kontynuuje Roman, przejmując pałeczkę. – W naszej grze gracze muszą schwytać mordercę turystów, grasującego na Cykladach. Nikt nie wie, na której wyspie znowu uderzy. Z powodu zamięłowania do labiryntów prasa nazywa tego groźnego psychopatę Minotaurem. Tak też nazywa się nasza gra.

– Minotaur chyba kojarzy się z Kretą, a nie z Cykladami, o ile pamiętam ze szkoły – zgłasza wątpliwość Alex.

– Dobrze pamiętasz. Cóż, może morderca pochodzi z Krety, a tylko okazyjnie pojawia się na Cykladach? – Julia uśmiecha się tajemniczo. – Wszystko to kwestia fabuły.

– Rozumiem – przytakuje Alex. – Kiedy jednak patrzę na tę mapę, to wyobrażam sobie, że równie dobrze Morze Egejskie mogłoby być Mazurami, greckie wyspy – jeziorami, a wasz Minotaur – utopcem porywającym ludzi z żagłówek. Dlaczego tak obstajecie przy tych Cykladach?

– Po pierwsze: to miejsce na całym świecie kojarzy się z wakacjami. A także z pięknem, blichтром, elegancją i dobrą zabawą. Do tej beztroskiej krainy wpuszczamy potwora, jakiegoś współczesnego Kubę Rozpruwacza. To działa na wyobraźnię, wciąga – wyjaśnia Roman. – Po drugie: pozwala nam pokazać pewne współczesne mechanizmy społeczne. Pojawienie się Minotaura początkowo powoduje panikę turystów. Ale żyjemy w tak zwariowanym świecie, że po pewnym czasie pojawia się odwrotny trend. Turystów jest jeszcze więcej! Zwiedzają miejsca zbrodni. Instagramerzy, niczym paparazzi, polują na fotografie nowych ofiar lub tych, którym udało się uciec zabójcy. Inni turyści z kolei tropią mordercę na własną rękę. Wbrew przepisom, nocą próbują patrolować okolice, używając

dronów. A jeszcze inni dla chwili sławy podrzucają mylne tropy. Pojawiają się nawet porąbańcy udający Minotaura. Media społecznościowe szaleją. To zaś jeszcze bardziej utrudnia pracę policji.

– Wszystko pięknie. – Alex kiwa głową. – Jednak w grze najważniejsza jest mechanika. Czy to, co mówicie, ma na nią jakieś przełożenie? Nawet najciekawsza fabuła nic nie da, jeśli w grze tylko rzuca się kostką i przesuwa pionki.

– No o to chyba nas nie podejrzewasz... – Roman prychnie niczym kot.

– Właśnie, wszystko ma odwzorowanie. I początkowa panika, i późniejszy *hype* na Minotaura wpływają na reguły gry. Tyle mogę ci na razie powiedzieć – zapewnia Julia tonem tak poważnym, jakby była to najważniejsza rzecz, jaką ma do przekazania.

– Nie zdradzicie czegoś jeszcze o regułach gry? – dopytuje Alex.

– Nie. Więcej nie możemy. To tajemnica zawodowa – odpowiada natychmiast Roman.

– Ale w ogóle zdziwiona jestem twoimi pytaniami. Nie spodziewałam się takiej wnikliwości. Ty chyba grasz trochę w gry, co? – docieka Julia. „Aha, zaczyna się głośkanie »Asteriksa«” – myśli sobie Roman i dyskretnie się uśmiecha.

– Tak, trochę – potwierdza Alex. – A tak tylko do mojej wiadomości, *off the record*. Musicie myśleć o tej grze sprzedażowo, marketingowo. Liczycie, tak jak w przypadku „Wilków i czaszek”, na elektroniczne warianty gry? Na jakieś wycieczki w realu przypominające escape roomy?

– Liczymy na znacznie więcej. – Julia głaszcze palcami planszę. – Na wszystkich tych wyspach mnóstwo jest hoteli, restauracji, barów, sklepów. Miejsc, gdzie może dojść do morderstwa lub schwytania mordercy. Miejsc, które po prostu mogą pojawić się w grze.

– Oczywiście za odpowiednią opłatą – śmieje się Roman.

– Czyli w tej grze są elementy... hm... *product placement*? – Alex nie dowierza.

– Wolę powiedzieć, że elementy naszej gry będą odwzorowywać zabytkowe centra tych wysp. Jak dokładnie, to zależy od samych wyspiarzy – odpowiada Roman.

– To musi być masa roboty. Masa!

– Nie dla nas, tylko dla speców od reklam, których zatrudniają nasi wydawcy – uspokaja Roman, po czym oboje z Julią zaczynają się śmiać. – Koniec ze

zbieraniem funduszy na zrzutkach. Nasi partnerzy zapewniają finansowanie i pozyskują klientów. A my będziemy na nich zarabiać.

– Wybaczcie, ale... nie brzmi to zbyt idealistycznie – zauważa Alex. – Nie boicie się, że fani odwrócą się od was?

– A dlaczego? – obrusza się Julia. – Robimy tę grę po swojemu, jak „Wilki i czaszki”. Damy ludziom mnóstwo emocjonującej rozrywki. Dużo lepszej niż chłam, z którym mają do czynienia na co dzień. Mamy się wstydzić, że chcemy mieć jakąś finansową pewność?

– Nie przestaliśmy być idealistami, ale nie jesteśmy naiwni. Jednak nie staliśmy się jakimiś prymitywnymi koniunkturalistami. Nie robimy planszówek na zlecenie korporacji, a moglibyśmy. Nie robimy też strzelanki, której akcja rozgrywa się w rosyjskiej ambasadzie w Warszawie, choć dobrze by się sprzedała – dodaje Roman. – Tylko pamiętaj, Alex. Ta część rozmowy to *off the record*. Nic o tym nie pisz, proszę, bo będzie chryja.

– Jasna sprawa. Przecież wszystko dostaniecie jeszcze do autoryzacji – uspokaja Falków Alex.

– Różnie z tymi autoryzacjami bywa, z tego, co czytałem – pomrukuje Roman.

– No to już chyba wszystko, jeśli chodzi o grę – kończy Julia. – Daty premiery jeszcze nie ustaliliśmy. Na pewno pierwsza na rynku pojawi się planszówka, dopiero potem wersje elektroniczne. Jakies pytania?

– Tak – odpowiada Alex. – Możemy zapalić w tym pokoju światło? Wciąż czuję się tu trochę nieswojo.

– Niestety, to wykluczone. Na ścianach pełno jest materiałów, które za dużo powiedziałyby ci o rozgrywce, a to tajemnica. – Julia przykładła palec do ust.

Roman otwiera drzwi do pokoju, wpuszczając więcej światła. Dopiero potem gasi latarkę. Czy robi to, bo zauważył, że Alex boi się ciemności? A może tak było mu wygodniej lub to czysty przypadek? Alex nawet nie zamierza pytać.

– A co w ogóle powiesz o naszym pomysle na „Minotaura”? – słyszy na koniec.

– Szczerze, to mam jedną poważną wątpliwość – opowiada Alex.

– Mianowicie?

– Czy ludzie to kupią. Nie żyjemy już w czasach popularności „Milczenia owiec” czy „Z Archiwum X”. Ludzie codziennie oglądają w telewizji obrazki ze zwłokami torturowanych ludzi porzuconych na ulicach ukraińskich miasteczek. Widzą

nagrania z kamer dronów, przyglądają się, jak wybuchają ludzie i wozy pancerne. Oglądają na Twitterze filmy ze spalonymi czołgistami – wymienia Alex. – Trudno się z tym ścigać. Śmierć spowszedniała.

– Ale my przecież nie zamierzamy licytować się w okrucieństwie – oburza się Roman. – My stawiamy na klimat, na pomysł, na zderzenie wakacji ze zbrodnią.

– Wiesz, Alex, mam wrażenie, że nie wywarliśmy na tobie tak pozytywnego wrażenia, jak chcieliśmy. – Julia kręci głową.

– A musicie o to dbać?

– Powinniśmy.

– Żeby mieć pewność, że nie napiszę żadnych bzdur i nie zdradzę waszych tajemnic?

– Nie o to mi chodzi. Po prostu my naprawdę jesteśmy ciepłymi, normalnymi ludźmi. Robimy to, co kochamy. Na nikogo nie pozujemy. Woda sodowa nie uderzyła nam do głowy. Boję się, że pokazaliśmy ci za dużo naszej normalności, która mogła w jakiś sposób wydać ci się nienormalna, podejrzana.

– Zakładasz, że niewiele wiem o życiu. – Alex nerwowo poprawia włosy. – Tylko dlatego, że mam dziewiętnaście lat, a nie dwa razy więcej.

– Skądże znowu! – Julia robi wielkie oczy. Na jej zachnięcie się reaguje Roman.

– Przyznaję, trochę tak to zabrzmiało – mówi. – Ale widzisz, Alex, my tak naprawdę nie lubimy tego całego marketingowego cyrku. Czujemy się z tym niepewnie. Chcielibyśmy dobrze wypaść i nie być dla ciebie koszmarem wspomnieniem. Może przesadziliśmy z kilkoma rzeczami...

„Aha, znowu pije do mojego lęku przed ciemnością” – myśli Alex, ale nie daje po sobie poznać złości.

– Wypadliście świetnie – mówi. – Naturalnie. Tak jak chcieliście.

– Miło to słyszeć – uśmiecha się Julia. – Chodź, wypijemy jeszcze po kawie. Poza panią od rogalików nie mamy tu gości, z Romana marny kawosz, nie odmawiaj mi tej ostatniej przyjemności.

Alex nie potrafi odmówić. Daje się wziąć pod rękę i zaprowadzić do kuchni.

– Pani od rogalików? – pyta tylko. – O co chodzi? Macie osobistego piekarza?

– Nie, umówiliśmy się z panią z pobliskiej wioski. Codziennie rano przywozi nam całą torbę rogalików domowej roboty. Uwielbiamy je, innego pieczywa nie

jemy. Czasem dowozi nam coś więcej: jakiś nabiał, owoce i warzywa, jeśli poprosimy. Bo wiesz, mamy tu tylko rowery. Siostra odjechała autem i tak nas zostawiła, żebyśmy nie dali stąd drapaką ani nie jeździli po plażach, tylko pracowali jak pustelnicy...

Julia mówi i mówi. Wie, że trochę plecie trzy po trzy, unika poważnych tematów i ma nadzieję, że nie zostanie o nie zapytana. Prześlizgnęła się po nich w kwestionariuszu, mówiąc tylko krótko o strachu przed wojną i potrzebie pomagania innym. A przecież ma związane z tym całkiem świeże doświadczenia. Poświęcając i odkładając na później sprawy zawodowe, spędziła kilka tygodni jako ochotniczka w hali sportowej z kilkuset łózkami dla uchodźców z Ukrainy.

Już pierwszego dnia zmieniła na stanowisku faceta, który spędził tam dwadzieścia dwie godziny i ledwo stał na nogach. Sama nie dałaby rady tyle wytrzymać, już po siedmiu godzinach padała ze zmęczenia. Robiła wszystko, czego wymagała sytuacja. Organizowała transport, przenosiła jedzenie, sortowała ubrania, sprzątała psie gówna, konsultowała się z medykami, pomagała w wypełnianiu wniosków o przyznanie numeru PESEL. Na stoisku z kosmetykami i środkami higieny nauczyła się, jak ważne są nawet drobiazgi pozwalające człowiekowi zachować godność, choć przez chwilę poczuć się normalnie. Nigdy nie podejrzewała nawet, że takie znaczenie mogą mieć gumki do włosów. Albo małe nożyczki. Pęsety. Klapki.

Zauważyła wśród produktów spożywczych i chemicznych sporo artykułów z firm, które dotknął konsumencki bojkot albo restrykcje z powodu pozostania na rynku rosyjskim. Czyżby w supermarketach urządzono wyprzedaże tych marek? „Może jeszcze wyjdą na tej wojnie na plus? – irytowała się Julia. – Jednak czy te rzeczy mają się zmarnować, skoro są tak potrzebne?”

Niezbędne są też walizki, by ruszyć w dalszą drogę. Z kolei słuchawki, ładowarki i powerbanki idą bezpośrednio na Ukrainę, ktoś mówi, że na front. W składzie z żywnością początkowo najważniejsze są mąka, zupy instant i puszki z warzywami. Zdziwiająco dobrze schodzi paprykarz szczeciński i pasztety. Jest kłopot z ciastkami: na bufecie powinny być rozdawane – z przyczyn higienicznych – tylko słodkości w opakowaniach. A co zrobić z wielkimi pudłami ciastek czy bombonierami? Może zmieszczą się w pakietach żywnościowych wydawanych wyjeżdżającym Ukraińcom. Na pewno nie zmieści się ofiarowany przez kogoś czterolitrowy sój oliwek. I gołąbki domowej roboty przyniesione przez starszą

panią. Zgodnie z przepisami nie można ich dać uchodźcom, mogą je co najwyżej zjeść wolontariusze.

Julii już po dwóch dniach szło tak sprawnie, że z większą pewnością pytała swoim łamanym rosyjskim: „czego potrzebujecie?”. Jedna z kobiet, w jej wieku, szybko i szczerze odpowiedziała: „Wyjechać, wrócić do domu”. I ta brutalna prawda była trudna do zniesienia. Coraz częściej wśród tych rodzin, które spakowały się w zaledwie kilka toreb i plecaków, Julia dostrzegała ludzi wyglądających jak ona i jej bliscy. Dzieci przypominały pociechy znajomych. Przygnębiały ją sylwetki ludzi zagubionych, załamanych, zalegających na polowych łóżkach i niewiedzących, co dalej ze sobą począć. Liczyć na to, że znajdą im jakieś lokum? Szukać pracy? Jechać dalej? A może wracać do kraju? I jeszcze ta widoczna miłość do zwierząt, częstokroć wyglądających lepiej niż ich opiekunowie po wszystkich przejściach. Jakby uchodźcy starali się zapewnić odrobinę komfortu chociaż swoim psom i kotom, słabszym i niczego nierozumiejącym.

Którejś nocy na sali zadzwoniła komuś ze śpiących komórka – jako dzwonek miała ustawioną syrenę alarmową, ostrzegającą przed nalotem. Osobliwy, a właściwie makabryczny pomysł, fatalny w skutkach. Szczęśliwi ci, którzy spali wtedy w słuchawkach i tego nie słyszeli. Inni zerwali się na równe nogi, przerażeni, że tutaj też dotarła wojna i nie ma już nawet tego tymczasowego schronienia. Julia nie płakała, nie wypadało, ale trudno było się powstrzymać.

Początkowo hamowała łzy i odwracała wzrok także na dworcach, na których pojawiała się, by kogoś wysłać lub odebrać. Na niektórych panował syf, brud, ubóstwo i taksówkarze oszuści, jakby czas zatrzymał się w latach dziewięćdziesiątych. To nic, że w tym tłoku była policja, straż pożarna i mnóstwo ochotników. Zbyt dużo nieszczęść nagromadziło się w jednym miejscu. Od tego można mieć koszmary. W domu opowiedziała o wszystkim Romanowi, który rewanżował się doświadczeniami z wysyłaniem komunikatów na komórki przypadkowych Rosjan, przy pomocy jakiejś bramki internetowej. Na czterdzieści odpowiedział jeden. Najpierw Rosjanin odpisał: „Polsza pizda”, a potem już grzeczniej, aczkolwiek zdania nie zmienił: „Rosjanie nie zabijają, nie gwałcą, Czeczeni Kadyrowa to pokojowy naród, a wszystkiemu winni ukraińscy naziści i najemnicy wysyłani z Zachodu”, jakby przepisywał propagandowe broszury.

Kiedy Roman pojawił się na hali, na której pomagała Julia, na dzień dobry trafiła mu się skomplikowana kwestia: wizyta duchownego. Ukraińcy czujnie sprawdzali,

kto to. Czy aby nie katolicki ksiądz lub duchowny z „moskiewskiej” cerkwi. Przy okazji Falkowie dowiedzieli się, że nie wypada używać słowa „pop”. Misja zakończyła się sukcesem, chociaż zbyt wielu chętnych do rozmowy z przewodnikiem duchowym nie było. Więcej uchodźców stało w wężyku do pralni, którą udało się Romanowi porządnie oznakować, bo trudniej było tam trafić niż do bunkra Putina.

Julii podobało się, że byli tam razem. Może dzięki temu łatwiej znieśli też bezpośredni, bliższy kontakt z ludźmi, z konkretnymi przypadkami. Sześćdziesięcioletnia pani z torbami z Ikei mówiła, że pochodzi z miejscowości Sumy. Julia i Roman wymienili dyskretne spojrzenia. Wiedzieli z Internetu, że nie został tam kamień na kamieniu. Na szczęście leciała do córki, do Kanady. Dobrze, że ambasada była blisko. Wybierała się tam także staruszka z Kijowa, pewnie po osiemdziesiątce. Jej dziadek był Polakiem. Podczas ostrzału w pierwszych dniach wyrwało jej okna w domu. Wyjechała do Polski, chce do rodziny za Atlantyk. Żyła w ośrodku dla uchodźców na herbatkach i zupkach w proszku przez cały tydzień, starając się załatwić formalności. Musiała pojechać kilkanaście przystanków w nieznanym sobie mieście, by zrobić za darmo zdjęcia. Potem czekała na wizę, pieczętki i tak dalej. Julia wiedziała, że wiele z takich osób potrzebowało osobistego asystenta, ale nie było możliwości, by im go zapewnić.

Pewna kobieta tego dnia pytała o lombard lub jubilera, chciała sprzedać pierścionek zaręczynowy przed dalszą drogą. Inna, w towarzystwie sędziwego ojca wylatująca do Gruzji, rzuciła się Julii na szyję, dziękując za wszystko, za całą pomoc, jaką otrzymała nad Wisłą. Julia wiedziała, że tak naprawdę zrobiła niewiele. Zrozumiała jednak, że na ten moment pożegnania stała się pierwszy raz w życiu – i może ostatni – uosobieniem Polski, a przynajmniej najlepszych jej cech. Dziwne było to uczucie. Lepsze niż wtedy, gdy mówiła Romanowi: „Co to za świat, który wypędza wdowę z dzieckiem czy staruszkę na taką poniewierkę? Gdybym miała Putina na muszce, nawet przez sekundę bym się nie zawahała. To prawdziwy potwór”.

Roman tylko kiwał głową.

GODZINA 15:18

Boguszowa, stojąc na drodze wiodącej przez wieś, patrzy na zegar na kościelnej wieży. To już trzecia parafia, w której dziś była. W każdej szuka wsparcia, otuchy, podpowiedzi. Przede wszystkim pyta o pracę, jakieś dodatkowe źródło utrzymania chce znaleźć. Z małego gospodarstwa, przy chłopie pijaku i dzieciach w większości zajętych własnymi dziećmi, nijak nie idzie wyżyć. Wypytuje więc Boguszowa „dobrych ludzi”. Inaczej nie uzbierają choćby pieniędzy na zimę, na węgiel, o innych rzeczach nawet nie wspominając. Skoro tyle się pomaga obcym ludziom z Ukrainy, to chyba o sąsiadach też powinno się pamiętać. Solidarność to solidarność. Parę dni temu poszła nawet po prośbie do turystów, co się wprowadzili do domu w Upierzu. Z łaską pozwolili jej doczyścić strych. Za pięćdziesiąt złotych. Dobrze i to. Boguszową cieszy każdy grosz.

Jest kilka lat młodsza od Marylki, tyle że czas nie obszedł się z nią delikatnie. A miało być odwrotnie. Przecież wszystkie choroby, które jej nie oszczędzały, Boguszowa odpędzała jak trzeba, słowami starych miejscowych kobiecinek: „Znikajcież jak najszybciej i najlżej. Nie szarpcie, nie rwijcie kości, krwi i mózgu. Idźcie w ciemne lasy, w czarne chmury i twarde skały. Tam, gdzie wasze miejsce, w imię Ojca i Syna”.

Boguszowa wierzy w takie rzeczy, bo chociaż nie zawsze się sprawdzają, to w każdej rodzinie jest mnóstwo historii, których profesory i doktorki wytłumaczyć nie potrafią. Nie wiedzą, kto to kautek, kłobuk, bagiennik albo zimni i mali biali ludzie. A skoro nie wiedzą, to jak mają Boguszowej i innym pomóc? Może gdzie indziej ich nauka działa, lecz nie tutaj, nie na mazurskiej ziemi. Jeszcze długo, długo nie.

Kobieta dobrze to wie i pielęgnuje stare zwyczaje, modlitwy zamawia, a jednak los skąpi jej błogosławieństw. Kiedyż w końcu się jej zrewanżuje? Gdyby potrafiła kwiat paproci znaleźć, a po wielokroć próbowała, może by wtedy szczęście się do niej uśmiechnęło, jakąś nagrodę by zgarnęła. Przecież nie ma dnia, żeby ludzie nie wygrywali w telewizji milionów.

Dlaczego nigdy nie wygrywają tacy jak Boguszowa? Jakaś klątwa nad nią wisi? Jakiś cień? Przecież to, co miała, dzieciom rozdała. A narodziła ich, co rok to prorok. Teraz sama została prawie z niczym, chociaż mogła być wielką panią. Kto i kiedy odplaci jej za poświęcenie, za wszystkie wyrzeczenia?

„Może ułożyłabym sobie życie inaczej, gdybym wiedziała, jak to jest” – mówi sobie w myślach, po czym szybko się karci, bo w tych słowach wyczuwa wielki grzech.

Odpokutuje, pracując u obcych do późna, do nieprzytomności.

ROZDZIAŁ 5

GIERKI

Roman patrzy na drewniany zegar z kukułką przy kuchennym oknie i odlicza, ile jeszcze czasu zostało do zmierzchu. To prawda, że dużo, bo jest przecież środek lata. Jednak on z każdą godziną czuje się bardziej niespokojny. Poza tym musi przeszukać na strychu te kartony. A tymczasem żona nie może oderwać się od ich gościa. „Flirtuje czy co? – zaczyna się zastanawiać Roman. – Może dla Julii to już nie dzieciak, a atrakcyjna osoba?”

Z tej zadumy wyrywa Falka głos żony.

– No dalej, Romeo, ruszaj się!

– He? Że co? – pyta Roman, zdezorientowany.

– No chodź. Pokażemy szybko, co tu mamy dookoła. Niech Alex wie.

– A co takiego tu mamy? – mruczy Roman.

– Piękną przyrodę przede wszystkim. To uroczysko, nie pamiętasz? Może za mało wychodzisz z domu? To niedobrze, niedotlenienie szkodzi mózgowi. No dalej, Romek, przecież Alex nie będzie tu siedzieć do nocy.

Ten argument przekonuje Romana.

Wychodzą z chaty i pokazują dom z każdej strony. Julia i Alex zaczynają dyskutować o tym, czym różni się mur pruski od zwykłej konstrukcji szachulcowej, gdzie między belkami zamiast cegły jest wypełnienie z gliny i wiórów. Potem zastanawiają się, czy ta chata miała kiedyś strzechę, czy też od zawsze była tu dachówka. Roman nie ma o takich rzeczach pojęcia, więc nawet się nie wtrąca. Robią sobie kolejne zdjęcia – przy murze, pod starą studnią, przy aucie gościa. To pięciodrzwiowy chevrolet aveo. Hatchback, zdaniem Romana trochę już sfatygowany. „Musi mieć z piętnaście lat i rdza daje mu się we znaki, chociaż czerwony lakier na karoserii wciąż wygląda dobrze – myśli Falk. – Tyle że takie auto bardziej nadaje się do jazdy po mieście niż po mazurskich drogach. Z drugiej

strony miejscowe chłopaki inwestują w stare beemki i audice, które rozbijają potem na przydrożnych drzewach...”.

– Roman! – woła Julia. – Nie zapominaj o nas! Chodź z nami, bo ja się boję.

– Czego się boisz? Mam odpędzać gzy i komary?

– Boję się tych grzęzawisk przy jeziorze.

– To po co tam idziesz?

– Bo stamtąd jest piękny widok.

Wycieczka przedłuża się, bo każde zmurszałe drzewo i każde stukanie dzięcioła prowokuje Julię do kolejnych zachwyków. Krzaki i trzciny, motyle i ważki – wszystkim wydaje się oczarowana, jak dziecko.

– Ona wcale nie robi tego pod publiczność, Alex – zapewnia Roman. – Ona taka już jest.

– Wierzę i doceniam.

– Naprawdę?

– Owszem. Jeszcze raz wam powtarzam: nie patrzcie na mój wiek. Naprawdę nie jestem już dzieckiem.

– A ja również powtarzam – zapewnia skwapliwie Roman – że wcale tak nie sędzę.

Wśród bujnych traw dochodzą w końcu do brzegu jeziora o dość osobliwej nazwie Fącelty. Z poszarpanym brzegiem i kamienistym dnem nie zachęca do kąpieli. Lecz faktycznie widok zachwyca. W granatowej wodzie chmury odbijają się jak w ogromnym zwierciadle. Po drugiej stronie widać ścianę lasu, nad którą góruje zaskakujące piaszczyste wzgórze. Wokół ani żywego ducha, ani śladu dróg i samochodów. Tylko niedaleko trzcin przepływa rodzina łabędzi.

– Przydałby się kajak – wzdycha Alex.

– Chyba nie mamy na stanie. A rowery mamy tylko terenowe, nie wodne – odpowiada Julia.

Wybuchają śmiechem. Roman uśmiecha się najmniej. Trzy dni temu widział tu w trzcinach kajak. Nie wiadomo czyj. Znalazł też martwego czarnego łabędzia. Zakopał go, nim Julia wypatrzyła truchło.

– Spokojnie, Alex. Powiem ci coś jeszcze śmieszniejszego – zapowiada Julia. – Podobno kiedy wypierzesz w tej wodzie koszulę kochanej osoby, ta nigdy cię nie

opuści.

– Skąd taki pomysł? – dziwi się Alex.

– To lokalna legenda.

– Nie brzmi jak typowe mazurskie podanie.

– Tego nie wiem. – Julia wzrusza ramionami. – Siostra mi tak mówiła.

– Tak tłumaczyła nazwę tego uroczyska – dodaje Roman. – Upierz. Od razu skojarzyła nam się z Praniem, tą leśniczówką Gałczyńskiego.

„Ciekawe, ilu osobom kojarzy się z łupieżem” – zastanawia się Alex. Julia jakby odczytuje te myśli.

– Wiem, co przyszło ci do głowy.

– Tak?

– Że Upierz bardziej kojarzy się z łupieżem niż z praniem. To oczywiste. Nie trzeba być Sherlockiem.

– No, nie trzeba – odpowiada Alex. – Ale byłyby komentarze pod wywiadem. Już sobie wyobrażam.

– Kit z tym – prycha Roman. – A wracając do poprzedniej myśli: siostra Julii zapewniała nas, że Upierz będzie równie inspirujący jak Pranie. Oczywiście mamy tu do dyspozycji tylko chatę nad jeziorem, a nie całą leśniczówkę, ale żadni z nas Gałczyńscy, więc możemy zadowolić się czymś skromniejszym.

Śmieją się.

– I jak, Upierz działa inspirująco? – dopytuje Alex.

Julia i Roman spoglądają po sobie.

– Jak było widać na załączonym obrazku. Dobrze nam się tu pracuje – potwierdzają.

Zapada cisza, którą Alex wykorzystuje, by wygrzebać płaski kamień i puścić „kaczkę” po błękitnej tafli jeziora. Całkiem niezłą. Zalicza siedem odbić.

– W pinezkę! – Julia z niedowierzaniem kiwa głową. – Nigdy w życiu nie odbiła mi się więcej niż pięć razy.

– Potwierdzam – przytakuje Roman. – Sam bym lepiej nie rzucił. Trenujesz to, Alex?

– Eeee tam. Siedem odbić to nic. – Alex macha lekceważąco ręką. – W Wikipedii można przeczytać, że rekordzista zaliczył odbić ponad osiemdziesiąt!

– To chyba kolejny dowód, że nie można wierzyć Wiki – sarka Roman i wszyscy ponownie wybuchają śmiechem. – Wracamy?

– Chyba tak. – Alex rozgląda się jeszcze dookoła. – A dokąd prowadzi ta ścieżka przy dębach? – Wskazuje na drożynę ledwo widoczną wśród traw.

– A to taka miejscowa osobliwość. – Julia błyska zębami.

– To znaczy?

– Zobacz sobie. Proszę bardzo – zachęca kobieta, choć Roman robi nagle minę, jakby chciał powstrzymać żonę.

– Brzmi intrygująco. – Alex rusza we wskazanym kierunku. – O, chodźcie tam na bosaka? Co to takiego?

– Na bosaka? – dziwi się Roman. – Skąd taka myśl?

– No przecież ścieżka jest gdzieś tam mokra i widać na niej odbite stopy.

– Może faktycznie zdjęłam tu klapki – zastanawia się Julia.

– Wstaw stopę w ślad i porównaj – proponuje Roman.

– No chyba żartujesz!

– O, widzę już – woła Alex daleko z przodu. – Coś jak bunkier. A może to dawna chłodnia? Na pewno coś ponemieckiego.

– Aha, tak sądzisz? To podejźmy bliżej.

– Poczekajcie, też chcę zobaczyć – woła Roman.

– To wy tu wcześniej nie byliście? – pyta Alex zdziwionym tonem.

– Oczywiście, że byliśmy – potwierdzają Falkowie.

– To co chcecie zobaczyć?

– Twoją reakcję.

– Oooo, ciekawe! – Alex obchodzi budowlę. To ścięta piramida, wysoka na raptem cztery metry, o podstawie mniej więcej sześciu metrów. Z jednej strony widać schodzący w dół korytarz wejściowy z prostą framugą dookoła, bez żadnych ozdób. Wejścia tego strzeże metalowa krata zamknięta na kłódkę. I to solidną, Gerdę. Niewiele promieni słońca wpada do wnętrza budowli. Ale i to wystarcza, by bez trudu spostrzec wewnątrz trumnę. – To nie bunkier, tylko grobowiec!

– Ja od razu tak pomyślałam – chwali się Julia.

– A ja nie. Raczej można się było spodziewać schronu albo jakiegoś budynku gospodarczego. – Alex patrzy podejrzliwie na grobowiec. – A może ktoś przerobił bunkier. Nie widać tu na zewnątrz żadnych symboli religijnych ani napisów. Gładkie ściany.

– Ale chyba kamienne, co? Bunkier byłby z żelbetonu – zauważa Roman.

Alex z zakłopotaniem drapie się po głowie.

– Dziwne – mruczy, po czym zaczyna manipulować przy kłódce.

– Nie żartuj sobie – przerywa to Roman. – Ktoś niedawno tę Gerdę zakładał i odnawiał kratę. Pewnie konserwator albo jacyś lokalni pasjonaci. Tak czy owak, nie po to zamykali mauzoleum na amen, żebyśmy teraz tam wchodzili.

– Ale to naprawdę zaskakujące – zauważa Alex. – Ten grobowiec ma kształt piramidy. Ściętej i niedużej, ale piramidy. Na Mazurach to rzadkość. Właściwie poza słynną piramidą w Rapie, nic podobnego nie znajdziemy. Dla mnie bomba. Sensacja.

– Napiszesz o tym zamiast o nas? – żartuje Julia.

– Szkoda, że wcześniej nie pomyśleliśmy, żeby obie te sprawy połączyć. – Alex w zadumie rozczesuje swoje granatowe włosy. – A może to pomysł na kontynuację tematu? Artykuł o tym, jak rozgryzacie sprawę tajemniczego grobowca na waszej działce, o którym nikt nigdy nie słyszał?

Julia ma minę, jakby nagle zaczęła się nad czymś zastanawiać.

Wizyta tak się przedłuża, że ku rozczarowaniu Romana musi się przeciągnąć jeszcze do obiadu.

– Przecież nie wypuścimy naszego gościa z pustym brzuchem, na głodniaka – tłumaczy częściowo na migi Julia, gdy wracają do chaty.

– Dziękuję, ale naprawdę nie trzeba – zapewnia Alex.

– Tak? A niby gdzie coś zjesz? Kupisz bułkę i kabanosy w najbliższym GS-ie? Albo hot doga na stacji benzynowej?

– Unikam mięsa.

– Tym gorzej. Serkiem ze sklepu się nie najesz. – Julia coraz głębiej wchodzi w buty gospodyni. Roman nie oponuje i bierze jej stronę.

– Racja. Mamy świeżą zupę szczawiową i zaraz zrobimy sałatkę grecką. Z rogalikami z nasionami, dzisiaj dowiezionymi. Chociaż tyle. Mamy tu świetne

pomidory, czerwoną cebulę i ogórki. Feta jest sklepowa, ale przyzwoita. Tak samo oliwki.

– To miło z waszej strony. Ale w artykule już chyba się nie zmieści.

– No chyba nie myślisz, że to robimy, żeby ci się przypodobać?

Pytanie jest retoryczne, lecz Alex i tak zaprzecza. Przecież jest w redakcji kimś niewiele ważniejszym od chłopca na posyłki. Jeśli szefostwo będzie coś chciało zmienić w materiale, i tak to zrobi. Jeśli Alex się nie zgodzi, może co najwyżej wycofać nazwisko ze stopki i rozstać się z redakcją. Taka prawda. Falkowie muszą to wiedzieć. Nie są aż tak naiwni.

– Czuję się trochę jak u rodziców – odpowiada, obserwując jak Falkowie zaczynają krzątać się między naczyniami.

– To chyba dobrze? Nie mamy dzieci, ale jak by policzyć, to w sumie moglibyśmy być twoimi rodzicami. – Julia robi minę, jakby zaczęła w głowie rachować.

– Ech, ty i ta twoja arytmetyka – kręci głową Roman. – Młodocianymi rodzicami, jeśli już – dopowiada i bierze się za krojenie warzyw.

„A jeszcze dziś rano nawet wasz wygląd był dla mnie zagadką” – chce już powiedzieć Alex, ale gryzie się w język. Nadmiar szczerości może być szkodliwy. Aczkolwiek taka jest prawda: Falkowie do tej pory nie pojawiali się w prasie, a w mediach społecznościowych zachowywali anonimowość – ta tajemniczość miała być ich atutem. Nie byli celebrytami ani atencjuszami, których wszędzie pełno. Trzymali się w cieniu, znani głównie ze swego dzieła. Dopiero teraz w porozumieniu z menedżerką, siostrą Julii, postanowili zmienić taktykę. Tak czy inaczej, Alex i cała redakcja nie znaleźli w sieci żadnych zdjęć Falków. Nie dostali ich też od fotografa, który zrobił w mazurskim domku sesję zdjęciową kilka dni wcześniej. Był właśnie na Majorce, a fotek nie umieścił jeszcze w chmurze, więc nie miał do nich dostępu. Powiedział im tylko, że Roman to taki wielki krasnal, a Julia – nieduża Indianka. Dopiero na miejscu okazało się, że opis był zadziwiająco trafny. Roman ma gęstą brodę – ale dość krótką i bez wąsów – a na głowie nieodłączną czerwoną bawełnianą czapeczkę, którą najwyraźniej maskuje postępującą łysinę. Do tego nosi sztruksowe ogrodniczki, z kieszeniami wypełnionymi jakimiś przyborami do pisania i rysowania. Julia ma pofarbowane na czarno włosy, spięte w kucyk, lekko śniadą cerę i duże ciemne oczy, dodatkowo powiększone przez grube szkła okularów. Ubiera się w stylu boho, wybiera rzeczy

zwiewne i kolorowe, z koralami i piórkami. Oboje uwijają się teraz w niedużej kuchni. Najwyraźniej także wśród garnków nie lubią tracić czasu i są dobrze zorganizowani. Noże i talerze tylko szcękają. Kolejne warzywa zamieniają się w kostki i talarki.

– To jak jest z tymi piramidami w Polsce? – dopytuje Julia znad garnków. – Mówisz, że ta tutaj jest nieznana?

– No raczej. Bo takich pseudoegipskich piramid jest ledwie kilka, są opisane. O ile dobrze pamiętam, stawiali je arystokraci, artyści, innowiercy. Najbardziej znana znajduje się w Rapie, całkiem niedaleko stąd. Ale chyba nie pisano dotąd o tej w Upierzu. – Alex zagląda do komórki, jakby w nadziei, że złapie sygnał i będzie można poszukać jakichś informacji w Internecie. Jednak okazuje się, że Upierz rzeczywiście jest poza zasięgiem.

– Faktycznie ciekawe... – potwierdza cicho Julia.

– Może to dlatego, że ten grobowiec jest ściętą piramidą i ten kształt nie budził już takiego zaciekawienia? Nie ma też żadnych widocznych ornamentów nawiązujących do Egiptu. Żadnych węży czy hieroglifów – dopowiada Alex. – Pytanie tylko, czy zawsze tak wyglądał, czy też został częściowo rozebrany.

Falkowie kiwają potakująco głowami.

Alex rozgląda się po kuchni. Dopiero teraz zwraca uwagę, że pomimo w miarę nowych najważniejszych sprzętów – w tym lodówki, ekspresu do kawy, miksera, czajnika i dużego zlewu – to bardzo tradycyjnie urządzone pomieszczenie. Drewniane szafki, stół i krzesła mają pewnie dobrych kilkadziesiąt lat. Obrazki i ozdoby na ścianach mogą pochodzić jeszcze sprzed wojny.

– To jeszcze chwilę potrwa – uprzedza Julia, obwąchując fetę. – Więc opowiedz nam, proszę, jeszcze coś o sobie.

– Już chyba sporo wiecie?

– No nie powiedziałabym. A coś niezwiązanego z pracą? Jak spędzasz teraz wolny czas, o ile go miewasz? – Julia szaleje między pojemnikami z niezliczonymi przyprawami i dodatkami. Na honorowym miejscu jest cynamon, którego zapach – jak twierdzi Roman – znakomicie odstrasza pająki i inne robactwo.

– Będziecie się śmiać, ale ja też pracuję trochę nad gramami.

– Serio? – Duże oczy Julii jeszcze się powiększają.

– Nie jestem zdziwiony – odpowiada Roman. – Twoje pytania były bardzo sensowne. To świadczyło o pewnym rozeznaniu w temacie.

– Wyjawisz, nad czym pracujesz?

– To żadna tajemnica, bo pewnie nic z tego nie wyjdzie. To miała być gra z prostą mechaniką ze zwykłego „Monopoly”, ale prowokująca do stawiania pewnych pytań.

– To znaczy? – pyta Roman wśród odgłosów siekania ogórków.

– Miała się rozgrywać w realiach mojej rodzinnej mazurskiej miejscowości, kilkadziesiąt lat temu. Pomyślcie tylko. Jest rok 1945. Z miasta wyniosła się lub została wygnana większość Niemców i Mazurów, a zaczęła ściągać polska ludność z Białostoczczyzny i repatrianci ze wschodu. Wiem z rodzinnych opowieści, że ludzie wprowadzali się, gdzie popadło. Wiele zależało od szybkości działania, szczęścia i znajomości. Jednym trafiła się willa z kryształowymi żyrandolami i porcelanową zastawą, innym niezbyt przestronne mieszkanie, którego największym atutem był na przykład wielki kaflowy piec. Nowe władze nie do końca nad tym wszystkim panowały i wiele do powiedzenia mieli jeszcze Ruscy, więc to wprowadzanie się do miasta wyglądało jak gra, jak zawody. Wyobraźcie sobie tylko... – Alex rozstawia na stole, niczym pionki na planszy, pieprz, sól i cukiernicę. – Wprowadzacie swoją rodzinę do miasta i płacicie za możliwość osiedlenia się na konkretnych ulicach. Niekoniecznie pieniędzmi, walutą było wszystko, co miało wartość, łącznie ze znajomościami i informacjami. Na obrzeżach będzie najtaniej. Ale im bliżej centrum, tym wyższe ceny. Kamienice przy dawnej Hindenburgstraße – która po wojnie stała się ulicą Armii Czerwonej, a potem Armii Krajowej – mogą już być drogie. Zwłaszcza ta najpiękniejsza: po dawnej aptece. Podobnie niektóre przy Yorckstraße, dzisiejszej Kościuszki, gdzie kiedyś mieszkali urzędnicy. W mieszkaniach sporo zostało po bogatych mieszczanach. Droga musi też być główna ulica: dawna Kaiser-Wilhelm-Straße. Elektryczność, sieć wodociągowa, duże i wysokie pokoje, to musi kosztować! Ale najdroższa byłaby Memeler Weg – cicha uliczka willowa, która po wojnie nie przypadkiem dostała za patrona Moniuszkę. Te domy były jak pałace.

– To dość intrygujący pomysł. I taki, powiedziałbym, pod włos – rzuca Roman, a Julia przytakuje.

– No więc ulice mam wybrane: od najtańszej do najdroższej. Do tego do sprzedaży na planszy przeznaczone byłyby również wieża ciśnień i młyn, kilka

stacji kolejowych, a nawet rowery po Niemcach. Zaplanowane są też pola kłopotliwe – więzienie w dawnym pokrzyżackim zamku oraz wizyta w urzędzie, gdzie trzeba oczywiście dać łapówkę. Z kolei na kartach z niespodziewanymi wydarzeniami kryłoby się całe mnóstwo lokalnych historii: kłopoty z Ruskimi, prace przymusowe przy rozbiórkach, starcie z hienami cmentarnymi, nieoczekiwany zarobek na targu... Tak czy inaczej, projekt był gotowy, ale urząd miejski nie chciał go sponsorować. A na zrzutkach ciężko uzbierać pieniądze, gdy jesteś człowiekiem bez dorobku i nazwiska – wzdycha Alex.

– Kto wie, może moglibyśmy ci pomóc, skierować do kogoś – myśli na głos Julia.
– Ale to chyba dopiero, gdy uporamy się z „Minotaurem”...

– Jasne, jasne – zapewnia Alex. – Nie chcę wykorzystywać sytuacji. Zresztą, planszówka trafiła do szuflady, a na warsztacie mam escape room.

– Naprawdę? – krasnal Roman robi minę „co za zbieg okoliczności!”.

– Myślę o wykorzystaniu starej kolejowej wieży ciśnień. Tylko waham się, co do samej koncepcji: o czym miałyby to być, czego dotyczyć. Od niedawna jestem w kontakcie z kilkoma łebskimi młodymi Ukraińcami, którzy do nas uciekli. Też mają fajne pomysły. Więc projekt tak naprawdę jest jeszcze w powijakach. W pracy się śmieją ze mnie, że nie potrafię na nic się zdecydować i nie umiem trzymać się jednego pomysłu. Może i tak. Ale jedno jest pewne: w moim escape roomie nie będzie żadnej kłódki z cyfrowym szyfrem. Strasznie mnie wkurzają w pokojach, które mają jakiś historyczny klimat. Zupełnie go psują. Chcę mieć oryginalne, nietuzinkowe, dopasowane do tematu mechanizmy.

– Kiedyś poznaliśmy dziewczynę, która zbierała anegdoty związane z escape roomami. Można umrzeć ze śmiechu – mówi Julia, mieszając już warzywa w czymś, co przypomina starą metalową wazę do zupy.

– Oj, tak – przyznaje Roman.

– Na przykład?

– Na przykład, zgodnie ze scenariuszem pewnego escape roomu na finiszu zdobywało się święty kielich, jednak grupa podpitych Skandynawów postanowiła pójść na skróty. Artefakt był umocowany przy pomocy silnego elektromagnesu, który wcześniej należało wyłączyć przy jakimś ołtarzu. A oni po prostu chwycili za ten kielich we czterech i go oderwali! – chichocze Roman.

– Ja wolę historię z tym pokojem pełnym gadżetów z sex shopu. – Julia poprawia okulary. – Przyszła tam para, która zamiast rozwiązywać zagadkę, zaczęła się rozbierać. Potem na oczach kamer wzięli się za uprawianie seksu i to z użyciem akcesoriów z pokoju. Ekipa escape roomu musiała im zagrozić wezwaniem policji, żeby przestali. A i tak trzeba było się nasprzątać po tych ekshibicjonistach. Chyba jakiś kosztowny gadżet nawet trafił do kosza. Nie dziwię się...

– Ale, ale – wchodzi żonie w słowo Roman. – Najlepsza była zupełnie inna historia. Jest sobie escape room zaaranżowany jak wnętrze pociągu, który wedle fabuły zostaje porwany. Aby dostać odpowiedzi, uczestnicy gry – w tym przypadku zakochana para – mogą się kontaktować z ekipą przy pomocy zostawionego im specjalnego telefonu komórkowego. No więc, gdy utknęli przy jakiejś zagadce, zdecydowali się zadzwonić. Wybierają numer... na policję. Logiczne, nie? Podają, jaki pociąg został porwany, kiedy, przez kogo, gdzie są i tak dalej. Zachowują się jak w realu. Nie zdają sobie tylko sprawy, że zadzwonili na prawdziwą policję!

– Nie, nie wierzę! – Alex wybucha śmiechem.

– Mało tego! Policjanci pojechali na dworzec, by zbadać sprawę. Potem oddzwonili i dopytali, o co biega. Wtedy przyjechali do escape roomu i przesłuchali parę.

– Nie...

– To nie koniec. Podczas przepytывania przez policję dziewczyna cały czas patrzyła z uśmiechem na swojego chłopaka, aż w końcu wypaliła: „No dobra, daj mi już ten pierścionek zaręczynowy”. Myślała, że to wszystko ściema, przygotowana przez niego na specjalną okazję – chichocze Roman. – Wiesz, Julka, tobie chyba też muszę kiedyś zrobić taki numer. Wkręcić cię w coś na maksa i patrzeć, jak próbujesz to rozkminić.

Żona spojrzała na niego pytająco. Sałatka była gotowa.

GODZINA 17:31

Agnieszka Orbik odbiera SMS-a. Początkowo myśli, że to Baśka z portalu w sprawie dzisiejszego wywiadu z Falkami, na który miała posłać kogoś sensownego, a nie specjalistkę od szafiarek i instagramerek. Agnieszce zależy na sukcesie Julii i Romana, bo to jej siostra i szwagier. I coś jeszcze. Włożyła w biznes własne pieniądze. Emocje – nie zawsze pozytywne. Oczekiwania – czasem egoistyczne. Nadzieje – nie zawsze słuszne.

Lecz nie, to nie Baśka. To stażysta od monitoringu mediów przesyła jej informację z Internetu, że podobno po stu latach znaleziono znowu w Polsce, gdzieś w Beskidach, rzadki grzyb zwany gąską sosnową. Z wyglądu nic wielkiego, jednym przypomina opieńki, innym – młode borowiki. Tyle że pachnie cynamonem. Może dlatego w niektórych krajach to rarytas. W Japonii znany jest jako matsutake, kilogram potrafi tam kosztować równowartość dziesięciu tysięcy złotych (w tym momencie Agnieszka lekko gwizdże), jednak te importowane są dużo tańsze (entuzjazm Agnieszki nieco opada). Japończycy doceniają walory smakowe gąski, ale przede wszystkim ofiarowują te grzybki w prezencie, gdy ktoś coś świętuje. Awans w pracy, ślub, jakiś życiowy sukces.

„Jest to jakiś pomysł – myśli Agnieszka. – Na przyszłość”.

ROZDZIAŁ 6

CZŁOWIEK POMYŁKA

Kiedy czerwony chevrolet znika im z pola widzenia, Falkowie wyraźnie oddychają z ulgą.

– Myślałem, że to nigdy się nie skończy – mruczy Roman.

– Ale chyba się udało, nie? – Wielkie oczy Julii wpatrują się w niego.

– Pewnie. Co miało się nie udać. Chociaż kilka razy byliśmy bliscy katastrofy.

– Wtedy przy twojej prezentacji gry w ciemnym pokoju?

– Nie. To miało klimat. – Roman kręci głową. – Dużo gorzej przychodzi mi udawanie naturalnego. Nie lubię robić za ciepłego, przykładnego mężusia. I chyba jestem w tym coraz mniej przekonujący.

– Ale myślisz, że wpadła w nasze sidła? – śmieje się Julia.

– Ona? – Roman podnosi brwi.

– No, Alex.

– Dlaczego mówisz o nim „ona”?

– Przecież to dziewczyna. Nie zauważyłeś? – Julia wpatruje się w męża z niedowierzaniem, jakby sobie żartował.

– Co ty gadasz? Robisz mnie w konia? Okulary ci się zepsuły? Przecież to chłopak jak się patrzy. Trochę cherlawy, androginiczny, ale bez wątpienia facet. Przecież nawet ma na imię Alex. I mówił o sobie w rodzaju męskim.

– Nieprawda. Nie przypominam sobie. Zaś Alex to równie dobrze imię żeńskie...

– W „Dynastii” była Alexis, a nie Alex.

– Romeo, nie gadaj jak stary dziad, proszę. – Julia robi zrezygnowaną minę. – Spędziłeś pół dnia z dziewczyną i nawet tego nie zauważyłeś. Co jest z tobą nie tak?

– A co miałem zauważyć? Wszystko zasłonięte, u góry luźna koszulka, miałem...

– Lepiej nie kończ. – Żona powstrzymuje go znaczącym ruchem dłoni. – Widziałeś u niej zarost na twarzy lub rękach?

– Co to za argument? Faceci też golą się i depilują. – Roman wzrusza ramionami.

– A widziałeś jabłko Adama? Chyba powinno być dość widoczne?

Roman na moment milknie. Ale trwa to tylko chwilę.

– Wiesz, Julia, chciałabyś szufladkować ludzi. Alex jest po prostu kimś pomiędzy. Więc każde z nas ma tyle samo racji, a w zasadzie tak samo się myliło...

– Ty prosiaku! – Żona dźga go pięścią w brzuch. – Dlaczego tak ciężko ci przychodzi przyznanie się do błędu lub porażki?

– Nie, to ty chcesz postawić na swoim – odpowiada Roman z aż nadto poważną miną. – Jesteś człowiekiem ze starych czasów, widzisz tylko dwie płcie. A tymczasem żyjemy w wieku dwudziestym pierwszym...

– Świniak! – Julia odwraca się na pięcie.

– Może obejrzyj sobie „Euforię” albo coś na Netfliksie, to zrozumiesz...

– Świniak! – krzyczy Julia i, nawet się nie odwracając, pokazuje mu wyprostowany środkowy palec.

– Widzę, że zabrakło ci argumentów, kochanie.

– Zajmij się lepiej naszymi rowerami, Romeo. Żebyśmy znowu mogli na nich jeździć.

– Zobaczymy, czy zdążę – mruczy pod nosem Roman. Tylko rzuca okiem w stronę małej drewnianej szopy na narzędzia, gdzie schował rowery. Zazwyczaj zostawiali je pod wiatą dawno nieużywanej, zamkniętej na amen studni. Jednak, gdy po przedwczorajszej nocy opony wyglądały jak pogryzione lub pocięte, postanowili bardziej zadbać o swoje jedyne środki lokomocji. Choćby po to, żeby Alex przez iks nie zobaczyła, w jak opłakanym są stanie, bo to przecież mogłoby popsuć roztaczaną przez nich wizję rajskich wakacji na Mazurach.

Roman bardzo jest ciekaw, co tak zniszczyło opony. Żadnych konkretnych śladów wokół rowerów nie znalazł – ani zwierzęcych, ani ludzkich – ale wydawało się oczywiste, że to była sprawka dzików lub jakichś zdziczałych psów. Człowiek chyba prędzej ukradłby rowery, niż zniszczył.

Zamiast iść do szopy, Roman wraca do domu. Jest już na schodach na strych, gdy zatrzymuje go Julia.

– Weź dokończ tego rogalika, szkoda wyrzucać. – Żona podaje mu ułomek, który pozostał po lunchu z sałatką grecką i szczawiówką.

– Nie lubisz nic marnować. – Roman kiwa głową, wpychając kawałek pieczywa do ust.

– *Zero waste* to moja nowa dewiza. Inaczej nic nie zostawimy kolejnym pokoleniom – oznajmia Julia.

– Dzieci nie mamy, więc co się martwisz. Po nas choćby potop! – drwi z pełnymi ustami Roman i rusza na strych.

Przeciska się do wiszącej na ścianie strzelby. Sprawdzał już wcześniej, że daje się otworzyć, czyli złamać – jak się chyba fachowo mówi. Lecz na tym jego wiedza się kończy. Nie ma pojęcia, czy dałoby się z niej wystrzelić. Bo czy ktoś zostawiałby sprawną strzelbę w takim domu? I czy w ogóle korzystanie z niej byłoby bezpieczne dla naciskającego spust? A gdyby wybuchła mu w dłoniach? Oczyma wyobraźni Roman widzi, jak nabija dubeltówkę, unieruchamia, a potem pociąga za spust przy pomocy sznurka, z bezpiecznej odległości. „Jeśli wystrzeli, to znaczy, że można z niej korzystać. To chyba musi być proste?” – zastanawia się.

Nie może być takie trudne, skoro za wschodnią granicą zwykli ludzie, mężczyźni w różnym wieku, zostali zmobilizowani i radzą sobie z bronią dużo bardziej skomplikowaną niż dubeltówka. I pewnie nieraz nawet patrzą w oczy wroga, nim naciśną spust. A może jednak zamykają wtedy powieki?

Doniesienia o wojnie znają z Julią tylko z radia. Bez dostępu do Internetu nie może śledzić, jakie samoloty rozpoznawcze krążą wokół Ukrainy, a jakie transportowce lecą w stronę Poznania, Warszawy i Rzeszowa. Nie widzi na filmach na Twitterze wszystkich tych dziewczyn z bronią, staruszków z archaicznymi karabinami, gołowąsów obsługujących drony z granatami i śmiałków kradnących ciągnikami ruskie czołgi. Nie widzi też bohaterów bez rąk i nóg. Radio to gorące medium, angażujące, ale oszczędza odbiorcom obrazków działających mocniej niż tysiąc słów. Roman nie widzi i nie boi się już zimnej stali, która może ranić i zabijać. Czy byłby w stanie nacisnąć spust? Nie wie.

Żeby to sprawdzić, musi znaleźć naboje. Na półkach ich nie ma. Pozostają kartony. Roman zaczyna przeglądać pudła, tak jak postanowił jeszcze przed

wizytą Alex. Jest ich tuzin. W aż pięciu znajduje stare zastawy stołowe. Malowane talerze i wazy, być może mające nawet jakąś wartość. W czterech innych zdjęte ze ścian obrazy: kilka postaci świętych, jakieś monidło i kilka nadszarpniętych zębem czasu fotografii – niektóre są dość koszmarnie, wyglądają jak ze stypy. W kolejnych trzech kartonach schowano książki i gazety. To już ostatnie pudła, więc Romana powoli ogarnia złość. Zaczyna drobiazgowo przekładać tomy. Jeden za drugim odkłada cuchnące starością tomy na piramidkę. Wciąż ma nadzieję, że znajdzie między nimi jakieś pudełko z nabojami. Jednak nic z tego. Na dodatek z jednej z książek, obciążonej delikatną pajęczyną, wybiegają małe pajęczki i rozbiegają się po rękach Romana.

– Kurwa mać! – wrzeszczy zaskoczony Falk. Zrywa się jak oparzony, strząsając z siebie robactwo, i oczywiście uderza głową w sufit. Przewraca też przy okazji piramidę z tomów.

– Co się dzieje? – krzyczy z dołu przestraszona Julia. – Znów się wywróciłeś czy rąbnałeś w głowę?

– Nic się nie stało, daj mi spokój – odpowiada gniewnym tonem, gładząc przez czapeczkę swoją obolałą głowę.

Rozgląda się zdenerwowany po całym strychu, jakby spodziewał się, że zaraz ze wszystkich stron zaatakują go krzyżaki lub zyzusie tłuściochy. Lecz przecież ich nie ma, nic Romanowi nie grozi. Falk patrzy na strzelbę, a potem na rysia stojącego na półce obok. Przysięgłby, że poprzednio był skulony, a teraz wygląda, jakby przeżył się do skoku.

Roman drapie się po czole. Uderzenie w głowę chyba jednak mu zaszkodziło. Schyla się i zaczyna zbierać książki. Nagle zauważa coś dziwnego. Jedna z nich, z anonimową, nic niemówiącą skórzaną okładką, sprawia wrażenie atrapy. Jakby miała skleione strony. Gdy Roman ją otwiera, widzi coś, co zna tylko z filmów. Ma przed oczami obraz z westernu, w którym ksiądz rewolwerowiec przechowuje broń wewnątrz Biblii, w schowku wyciętym w bloku skleionych stron. Taką skrytkę ma teraz Roman przed oczami. Tyle że nie leży w niej rewolwer, a coś innego.

Uśmiecha się szeroko i szybko chowa to do kieszeni swoich ogrodniczek. Radość jednak mija, gdy ciszę nagle przerywa gwałtowny łomot piętro niżej.

– Roman! – woła Julia.

GODZINA 18:00

Kukułka wyskakuje z drewnianego zegara i kuka, jakby wydawała z siebie ostatnie tchnienie. I tak jej nie słychać, bo zagłusza ją łomot. Trzęsie się od niego ściana. Kiwa się cały zegar, wiszący na jednym lichym gwoździu wbitym w ścianę. Drżą wskazówki i jakieś drobiazgi zostawione kiedyś na szczycie zegara, na jego płaskim daszku. Porzucone czy schowane? Kto to wie.

Długa rzeźbiona wskazówka lekko przesuwa się na tarczy. Do łomotu wokół dołączają ludzkie głosy. Kukułka chowa się do swojego domku, jakby nie chciała być świadkiem tego, co zaraz się wydarzy.

ROZDZIAŁ 7

PAJĘCZYNA STRACHU

Roman był może pięcioletnim Romkiem, gdy zaczął bać się pajaków. Nie został przez żadnego pogryziony, nie zaplątał się też w pajęczynę ani nie miał bliskiego kontaktu z jakimś jadowitym monstrum w zoo. Psychoanalitycy nie dopatrzyliby się też w jego arachnofobii żadnego podłoża seksualnego. Chociaż niektórzy z chęcią by próbowali. Bo czy nie był długo seksualnie wycofany? Jako dziecko zamykał oczy podczas scen seksu w filmach albo wręcz wychodził z pokoju. Gdy oglądał jakiś film kolejny raz, dokładnie już wiedział, kiedy to zrobić. Lecz przecież nie zawsze się udawało uniknąć golizny i perwersji. Ta scena mordy i mocowania się z nagim trupem z „Szału” Hitchcocka, którą zobaczył w dzieciństwie. Ten gwałt ze spaghetti westernu obejrzanego przypadkiem na wakacyjnym turnusie w górach. Obie pamiętał o wiele za długo. Gdyby seksuolodzy próbowali zinterpretować te epizody po swojemu, Roman by to wyśmiał. Miał na temat pochodzenia swojej arachnofobii własne zdanie.

Zaczęło się od tego, w jaki sposób zabijał ze swoimi starszymi braćmi nudę. Gdy nie było nic ciekawego do roboty, zabierali Romeczka do piwnicy, a tam pokazywali w najgłębszym kącie gniazdo dobrze spasionego pająka. Był taki nażarty, bo sami dostarczali mu jedzenie. Wrzucali w jego sieć duże muchy i tłuste gzy, a potem obserwowali, jak kosmaty obżartuch uwija się wokół ofiary. To było lepsze niż niejeden film. Brakowało tylko komentarza Krystyny Czubówny w tle. Albo twarzy Davida Attenborough tłumaczącego, że każdy w przyrodzie ma prawo do życia, niezależnie od tego, czy jest ładny, czy brzydki z naszego punktu widzenia. Zresztą, pająki i gzy wydawały się chłopakom Falków równie paskudne.

Spaślak z piwnicy nie śnił się Romkowi po nocach, ale wspomnienie o nim wracało, gdy któryś z braci zrzucił mu na głowę gumowego pająka. Także zbyt częste oglądanie teledysku do „Lullaby” The Cure – ulubionego zespołu jego najstarszego brata – raczej nie pomagało. Pięcioletni Romanek, rzecz jasna, nie

widział w tym teledysku żadnej metafory, tylko smutnego faceta pożeranego przez pająka wielkoluda.

Kolejna cegiełka arachnofobicznej celi Romana została położona podczas rodzinnych wakacji w Krynicy Morskiej. Ośrodek wczasowy, w którym się zatrzymali, najlepsze lata miał już dawno za sobą. Może za Gierka jeszcze do czegoś się nadawał, ale za późnego Wałęsy (a może to był wczesny Kwaśniewski) wyglądał okropnie. Zaszuszone pająki zwisały z firanek i przewalały się za tapczanami. Żywe opuszczały się na niciach z sufitów toalet, jakby zaciekawione, kto narusza spokój tych smrodliwych sanktuariów.

Romek próbował nie ujawniać, jak bardzo się boi. Kiedy jednak pająk wybiegł kiedyś wprost na niego z wnętrza ugryzionego jabłka, chłopiec dostał ataku paniki. Nie miał takiego stracha, nawet gdy oglądał horror „Arachnofobia”, w którym ośmionożne paskudztwo z Ameryki Południowej wydawało się niemal niezniszczalne. Może dlatego, że tak naprawdę to był horror komediowy. Co innego ultrakrwawy włoski film „Siedem bram piekieł”, w którym pojawiły się pająki zjadające żywcem sparalizowanego mężczyznę, zaczynając – o ile Roman dobrze pamięta – od gałek ocznych i ust. Pamięć może go mylić, bo chociaż wielokrotnie musiał oglądać ten film z kolegami, to przy scenie ze swoimi „ulubieńcami” starał się błędzić gdzieś wzrokiem. Nie zawsze się udawało. Nie miało znaczenia, że pająki były sztuczne, tandetne. Romanowi to wystarczało, by dostać nudności.

Dziś wspomina te scenki z delikatnym uśmiechem. Na sztuczne pająki już się nie nabiera. Z wieloma naturalnymi umie sobie poradzić. Jak to się stało? Zaczęło się od tego, że pewnego dnia zobaczył w telewizji archiwalną wypowiedź jednego z braci Strugackich, słynnych pisarzy science fiction. Streścił on następującą historyjkę. Na obcą planetę dociera statek z Ziemi. Kosmonauta wychodzi z rakiety i rusza przed siebie. Nagle widzi, że naprzeciw pędzi gigantyczny pająk. Niewiele się zastanawiając, kosmonauta wyciąga miotacz laserowy i zabija stwora. Nie wie niestety, że zabił największego poetę na tej planecie, który biegł do niego podekscytowany, by napisać poemat na temat pierwszego kontaktu z obcą cywilizacją...

To opowiadanie nie powstało z myślą o arachnofobach, a mimo to dziwnie dobrze podziałało na Romka. Jakby po jego wysłuchaniu łatwiej mu było zachować zimną krew i kierować się zdrowym rozsądkiem. Najpierw oswoił się z kosarzami

w ogródku rodziców. Potem jeszcze nabrał odwagi, dzięki hormonom w okresie dojrzewania. Zbyt wiele jego randek odbyło się na mostach w Poznaniu i Wrocławiu, oplecionych sieciami ze skocznymi ośmionożnymi drapieżnikami, które musiał ignorować. No i była jeszcze wyprawa z pijanymi kolegami po warszawskim Moście Gdańskim, gdy jeden chwyt za pięć piw włożył głowę prosto w istną kolonię krzyżaków między przesłami. Roman pomagał nawet ściągać mu z głowy pajęczynę i wytrząsać z ubrania robactwo. Z kolei w akademikach i mieszkaniach zdarzało się po wielokroć, że dziewczyny wołały go, by nakrył pająka szklanką i gdzieś wyniósł. Nauczył się to robić bez okazywania lęku.

Aczkolwiek Julia – przed którą odważył się ujawnić swój „feler” (zresztą sama pewnie by go spostrzegła) – dobrze wiedziała, że jakaś obawa wciąż w nim siedzi. Parę lat temu zaczęła wypatrywać w mieszkaniu i pokazywać Romanowi malutkie, niegroźne pajęczki. Śledzili nawet trasy, którymi się poruszały, oraz ich akrobatyczne sztuczki wywijane na pajęczych niciach. Wydawało się to niemożliwe, ale któregoś dnia Roman powiedział nawet, że te pajęczki są fajne. Z upodobaniem przeczytał też kilka publikacji wskazujących, jak pożyteczne są pajęczaki. Zajrzał nawet do artykułów wspominających o szacunku, jakim w starożytnych kulturach darzono pająki.

Prawdziwe katharsis przyniosło jednak wydarzenie, które omal nie skończyło się tragicznie. Podczas którychś urodzin matki, gdy w domu pojawili się bracia z rodzinami, ojciec wypatrzył pod sufitem małego pająka. Już się przymierzał, by zmiażdżyć go kapciem, gdy w obronie pajęczka stanął Romek.

– Nie, no zostaw go, malutki jest, niegroźny – stwierdził, ku ogólnemu zdziwieniu.

– Ale brudzi, będzie mi pajęczyny robił – odparł ojciec, wciąż celując w pajęczka.

– E tam, tato, pożyteczny jest – nie dawał za wygraną Roman i powiedział coś, co kiedyś z trudem przeszłoby mu przez usta: – Wiesz... Mówi się, że zabicie pająka w domu przynosi pecha. Zostaw go.

Tak ostatecznie postawił na swoim. Odciągnął ojca. Zasiadli do stołu. Najpierw wjechał rosół, a potem mięsa (pieczony kurczak, karkówka na słodko, biała kiełbasa na gorąco) i ryby (leszcze i wędzony węgorz). Między tymi parującymi daniami stały poupychane, jakby wstydliwie, skromne jarzynowe sałatki. Dorośli rozmawiali, dzieci bawiły się wokół stołu, przyzywane co chwilę, by coś zjadły.

Dziewięcioletnia Ula, jedna z bratanic Romana, nagle zaczęła kaszleć. Wyglądało na to, że coraz ciężiej oddycha. Cała zrobiła się zielona. Wykrztusiła z siebie, że w gardle stanęła jej ość. Kaszała, pluć, ale bez efektu. Robiło się jej coraz bardziej niedobrze, zaczęła płakać. Rodzice Uli poklepywali ją po plecach, a nawet odwrócili do góry nogami, ale nic nie pomagało. Ktoś pobiegł po pęsetę, dziewczynka utworzyła usta, lecz ości nie udało się wypatrzeć i wyjąć. A jeśli utkwiała nie w gardle, a w tchawicy?

Nie było czasu do stracenia. Dziewczynkę zabrano na pogotowie, a tam lekarze rozwiązyali problem. Dwadzieścia minut od wyjazdu zapłakanego, ledwie dychającego dziecka, aż do telefonu, że wszystko już w porządku, było straszne. Niby wszyscy domownicy wiedzieli, że lekarze na pewno sobie poradzą, ale... Co, jeśli dziecko zacznie wymiotować, zakrztusi się, straci przytomność, przestanie oddychać? W głowach wszystkich powstawały najgorsze scenariusze, tyle że nikt nie odważył się o nich mówić.

Kiedy mała Ula bezpiecznie wróciła ze swoimi rodzicami do domu, ojciec Romana spojrział najpierw na niego, a potem na cholernego pająka pod sufitem. Wiadomo było, co chciał powiedzieć, ale nie przeszło mu to przez gardło. Dopiero kilka tygodni później wyznał synowi: „Wiesz, mam czasem takie głupie poczucie, że Uli nic się wtedy nie stało dzięki temu, że nie zabiliśmy tego pająka. Że to dzięki temu, że mnie odciągnąłeś, na szczęście”.

Roman nie wierzył w takie przesady. I nie przywykł do takich rozmów z oschłym, zimnym rodzicem. Owszem, powiedział ojcu, że zabicie pająka w domu przynosi pecha, lecz zrobił to tylko dlatego, że zrobiło mu się żal małego, niegroźnego (jeszcze) stwora. Do miłości do pajęczaków było wciąż daleko. I Roman nigdy ich nie pokochał ani nie polubił. Nie traktował już po prostu każdego jak Szeloby z „Władcy pierścieni”. Niemniej jednak nie umiał znieść widoku pająka wychodzącego z ust Billie Eilish w teledysku. Nie dla niego były też prasowe doniesienia o wałęsach brazylijskich znajdujących w bananach w supermarketach. Ani o ptaszniakach uciekających sąsiadom z terrarium. Ani nawet o tarantulach ukraińskich, które pojawiły się w Bieszczadach. A już na pewno nie dla Romana były opowieści szwagierki, Agnieszki, o australijskich pająkach – im mniejszych, tym bardziej jadowitych. I nadal wrażenie robiły na nim *creepypasty*. Działały na jego przewrażliwioną wyobraźnię. „Najkrótszy horror świata: gdzie usiadł ten pająk?” Albo: „»O Boże, nie ruszaj się!« – usłyszałem przez

sen głoś zony w drzwiach. I właśnie wtedy otworzyłem oczy i zobaczyłem nogi pająka”.

A propos nóg pająka, z trudem uwierzył w informację, którą wyczytał w Internecie tuż przed wyjazdem do Upierza. Naukowcy uniwersyteccy z Teksasu postanowili przekształcać martwe pająki w... No właśnie, trudno było nawet to nazwać. Roboty, cyborgi, czy jeszcze inaczej? W każdym razie badaczy natchnął fakt, że po śmierci te martwe stwory zwijają się w kulkę. Dlaczego? Ponieważ za poruszanie odnóżami nie są odpowiedzialne mięśnie pająków, lecz skomplikowany hydrauliczny mechanizm zmiany ciśnienia krwi w kończynach. To dzięki niemu przesuwają, rozszerzają i kurczą nogi. Jaki stąd wniosek? „Można wziąć zdechłego pająka, wbić mu w tyłek igłę i zacząć nadymać, a wtedy odnóża zaczną się poruszać” – wytłumaczył obrazowo Julii po lekturze doniesień. „Ci naukowcy nazwali takie pająki nekrobotami i mają zamiar używać ich jako precyzyjnych chwytaków do podnoszenia, sortowania i montażu jakichś drobnych elementów elektronicznych, wymagających ostrożności. A nogi tych drani są wytrzymałe: potrafią tysiąc razy podnieść rzeczy prawie półtora razy cięższe od samego pająka”. Julia początkowo odpowiedziała Romanowi, że ma obsesję i dał się nabrać na jakiś fejk. Utrzymała tak nawet pomimo filmu obrazującego eksperyment, bo „przecież w tej chwili nie takie numery daje się robić przy użyciu rozmaitych wyrafinowanych technik komputerowych”. Jednak o pajęczych nekrobotach pisano w wielu źródłach, więc raczej nie było mowy o oszustwie. Roman miał zatem już przed oczami wizję swojej starości w otoczeniu mechanicznych kosmatych paskudztw podających mu tabletki i mierzących tętno.

Julia przywykła do jego lęków. Za ostateczne potwierdzenie tego, że pewnych ograniczeń i fobii Romana nie da się do końca przezwyciężyć, uznała wspólny wyjazd do Londynu, niedługo po ślubie. Wybrali się tam do słynnego gabinetu figur woskowych Madame Tussaud, w którego podziemiach znajdował się swoisty tunel grozy. Niby zakład dla obłąkanych, pełen groźnych pacjentów: aktorów – prawdziwych, nie woskowych – z opętańczym śmiechem biegających wśród zwiedzających. Można tam było wypatrzeć nawet Hannibala Lectera w masce i kaftanie bezpieczeństwa, przykutego łańcuchami do kraty. Wokół dym, migające światła, czerwona farba. Atmosfera była na tyle przekonująca, a kolejne atrakcje pojawiały się tak znienacka, że nikt nie chciał iść przodem. Grupa zwiedzających

zwalniała, kolejne osoby z przodu rezygnowały, bo już puszczały im nerwy. Wtedy na czoło wysunął się odważny Roman.

I po paru krokach trafił głową prosto w wielką pajęczą sieć.

Co z tego, że była nieprawdziwa? Wystarczająco dobrze udawała rzeczywistość. I strach Romana był prawdziwy. I wrzask.

GODZINA 18:01

Słyszac wołanie Julii, Roman mimochodem zerka na swój telefon, jakby koniecznie chciał sprawdzić godzinę. Jest 18:01. Czyżby spodziewali się kogoś? Byli z kimś umówieni?

Kilka dni temu Falk widział o tej porze helikopter przelatujący wysoko nad Fąceltami. Dwuwirnikowy, dosyć dziwaczny. Kiedyś nie umiałby powiedzieć o nim nic więcej – nawet stwierdzić, czy to maszyna cywilna czy wojskowa. Jednak wyedukowany przez doniesienia z frontu, bombardowany informacjami o kolejnych maszynach NATO przybywających do Polski oraz o planowanych zakupach MON, wiedział już co nieco o tym, czego może się spodziewać na niebie. Dlatego bez trudu rozpoznał amerykański helikopter transportowy marki Boeing CH-47 Chinook. Może ten dziwny, wielki stalowy owad leciał z lotniska w Szymanach, a może z poligonu w Orzyszu, kto to wie?

Słyszac wołanie Julii i dziwny łomot, ma nadzieję, że żona chce mu pokazać właśnie jakąś osobliwość na niebie. Może nisko przelatujące samoloty lub helikoptery, który spowodowały niepokojące hałasy? Jest przecież jeszcze zbyt jasno na niechcianych gości.

Łomot miesza się ze stękaniami schodów, po których zbiega dwumetrowiec Roman.

ROZDZIAŁ 8

GOŚĆ W DOM

– Roman! – woła Julia.

Mąż zbiega po schodach tak szybko, że omal znów się nie wywraca.

Julia wygląda niepewnie, jakby była wystraszona.

– Co się dzieje? Co to za łomot? – pyta zasapany.

Okazuje się, że ktoś głośno dobija się do drzwi ich domu. Roman tak odwykł od gości, że nie rozpoznał tego dźwięku. Hałas jest tak natarczywy, że mężczyzna wygląda, jakby żałował, że nie ma ze sobą nic do obrony.

– Nikogo się nie spodziewaliśmy, więc... – szepcze Julia, ale Roman ucisza ją stanowczym gestem dłoni.

– Kto tam? – pyta przez drzwi.

– Przepraszam, to tylko ja.

– Czyli kto?

– Alex.

– Alex? Co się stało? – Falkowie natychmiast otwierają drzwi. Nie sądzą, by dobijającej się osobie towarzyszyła grupa zbirów z bronią. Przecież to nie „Mechaniczna pomarańcza”, a Alex przez iks to nie książkowo-filmowy Alex DeLarge.

– Przepraszam, ale mam kłopot z... – wyjaśnia Alex, przechodząc przez próg. Widząc nietęgą minę swoich gospodarzy, nagle zmienia ton. – Wystraszyłam was?

– Trochę – przyznaje Julia. – Te drzwi wydawały taki donośny dźwięk.

– Po prostu pukałam. – Alex spogląda na swoją szczupłą dłoń. – Nie uderzałam pięścią.

– Może to dlatego, że siedzieliśmy w kompletnej ciszy, zajęci swoimi sprawami. Ten dźwięk wyrwał nas ze skupienia jak ze snu. – Teraz to Julia przyjmuje przepraszający ton. – Wiesz, to jak z budzikiem nagle dzwoniącym w momencie, gdy śpi ci się najlepiej...

– Mniejsza o nas – przerywa Roman. – Co się stało? Zawróciłaś? Gdzie twoje aveo? – Wychyliła głowę za próg i rozgląda się w poszukiwaniu auta.

– No właśnie – mówi zażenowana Alex. – Jakies dwa kilometry stąd złapałam gumę. A może miałam już wcześniej, tylko dopiero wtedy zauważyłam? W każdym razie musiałam stanąć.

– I nie miałaś zapasu?

– Miałam, ale ten zapas też okazał się flakiem.

– No tak. – Roman kiwa głową. – Przykro mi. Drogi tu są fatalne. No, ale wiesz, to uroczyśko.

– Nie wiedziałam, co robić. – Alex nerwowo poprawia włosy wpadające jej do oczu. – Komórka nadal nie miała zasięgu. Postanowiłam więc wrócić tutaj, bo może przyjdzie wam do głowy, gdzie mogę podejść, żeby zatelefonować albo wezwać pomoc...

– Nikogo po drodze nie spotkałaś? – pyta Roman. – Czasem przy polach kręcą się jacyś gospodarze z ciągnikami...

– Jak wiesz, my też nie mamy zasięgu – przerywa mu Julia i uśmiecha się smutno. – O to właśnie chodziło mojej genialnej siostrze. Do najbliższej wsi jest pięć, sześć kilometrów.

– Wiem, że jesteście bez samochodu. Ale mówiliście coś o rowerach? – pyta Alex z nadzieją w głosie.

– Owszem, ale... Głupia sprawa. – Skonsternowani Julia i Roman wymieniają spojrzenia. – Nie możemy ci żadnego pożyczyć, bo teraz nie nadają się do użytku. Nie uwierzysz, ale w nocy coś przyłazło i pogryzło opony.

– Pogryzło?

– Pewnie dziki albo bezpańskie psy – wzdycha Roman.

– Tutaj?

– Też jesteśmy zdziwieni. Nic nie widzieliśmy, więc nie mamy pewności, a na tropieniu zwierząt się nie znam, więc...

– No, ale może jednak da się na którymś z nich trochę przejechać? – Alex nie traci nadziei.

Roman kręci przecząco głową.

– Nawet o tym nie myśl, dzieciaku. Rozkraczysz się po dwóch kilometrach i dopiero będzie kłopot. Która to już godzina? – Falk zerka na kuchenny zegar z kukułką. – Po dziewiętnastej. Za półtorej godziny zajdzie słońce.

– W półtorej godziny będę daleko stąd, pokażcie mi tylko drogę.

– To znaczy gdzie? W wiosce, w której nikogo nie znasz? Bez noclegu? Widziałas, że zanosi się na deszcz? – niepokoi się Julia. – Nie ma mowy. Zostajesz u nas na noc.

– Niemożliwe. Mam jeszcze dużo rzeczy do zrobienia, do napisania – odpowiada Alex. Zastanawia się, czy nie wyjawić Falkom, że jutro ma urodziny i zaplanowała spotkanie z przyjaciółmi, więc nie zamierza tracić czasu. Jednak ostatecznie gryzie się w język.

– Widzę, że masz plecaczek. Więc na pewno służbowy laptop zabrałaś ze sobą. Zresztą, kto by zostawiał taki sprzęt w samochodzie, przy opuszczonej drodze? Firma mogłaby cię obciążyć kosztami, gdyby zginął – zauważa Julia. – Przygotujemy ci odpowiednie stanowisko do pracy. Najesz się, wypisisz, a rano podwiezie cię Marylka.

– Marylka?

– To ta nasza pani od rogalików. Codziennie rano podjeżdża tu swoją terenową ładą. Nie wiem, jakim cudem ten gruchot jeszcze jest na chodzie, ale jakoś daje radę – zapewnia Roman.

Alex wygląda, jakby się wahała, jednak Julia zamyka już drzwi na klucz, jakby ten gest miał przesądzić sprawę.

– Nigdzie nie znajdziesz lepszej gościny niż u nas. A nam przyda się taki miły gość jak ty.

Gdzie znaleźć przytulne miejsce dla Alex? Salon zajęty jest przez „Minotaura”. Sypialnia – przez Julię i Romana. Kuchnia jest za mała. Stara wędzarnia z paleniskiem i kominem (kiedyś mówiono chyba o tym miejscu czarna kuchnia) oraz połączona z nią spiżarnia – wiadomo. Piwniczka z oczywistych względów także jest wykluczona. Zostaje więc poddasze. Roman celowo używa właśnie tego słowa, zamiast określenia „strych”, które mogłoby odstraszać, jak „loch”.

– Jest trochę zawałone kartonami z bibelotami, ale jest czysto, żadnego robactwa. Oczywiście jest też prąd – opowiada Falk, wprowadzając Alex po schodach. – Łóżka tu nie ma, ale jest dużo miejsca na materac. Zaraz ci go przyniosę, razem ze śpiworem. Dotąd nieużywane, nówki sztuki. Jedyne problem to stanowisko pracy dla ciebie... Hm... – Rozgląda się niepewnie.

– Poradzę sobie – uspokaja go Alex. – Przysiądę na kartonach, a kompa postawię na tej malowanej skrzyni.

– Na pewno będzie ci wygodnie?

– Zależy, co jest w kartonach.

– Weź te z książkami. Są tutaj – wskazuje Roman. – Te bliżej półek to pudła ze starymi naczyniami, są też jakieś wiekowe maszyny do robienia kiełbasy. Na nich nie siadaj, bo będzie katastrofa.

– Okej.

– Na wszelki wypadek doniosę ci jeszcze poduszkę, bo coś czuję, że ten tron z książek może być mało wygodny – dodaje Julia, która od kilku chwil przypatruje się ze schodów, jak sobie radzą.

Po półgodzinie Alex mówi, że czuje się już na poddaszu jak u siebie. Jest w tym trochę prawdy. Miała kiedyś ulubiony stryszek w swoim rodzinnym domu, a poza tym jej obecne mieszkanko, wynajmowane w stolicy, wygląda dosyć podobnie. Zarówno pod względem standardu, jak i umeblowania.

– Jestem straszliwą rupieciarą – mówi Alex. – Ale wszystkie swoje znaleziska trzymam posegregowane. Inaczej bym zwariowała.

Falkowie umawiają się z Alex, że kolacja będzie późno, „prawie po grecku” – po dwudziestej pierwszej. Następnie zostawiają dziewczynę w jej nowym królestwie i wracają do własnych zajęć. Julia siada do pracy nad „Minotaurem”, a Romek wymyka się do szopy.

Zapada głucha cisza. Alex zostaje na strychu sama. „Szkoda, że nie zapytałam, czy nie ma tu jakichś kamer. Nie wyglądają na perwersów, ale nie są właścicielami, a ci mogli mieć różne pomysły i potrzeby”. Rozgląda się po ścianach i suficie. „Na przykład w oczach tego okropnego rysia”. Przeciska się między kartonami do wypchanego zwierzaka i naciska jego sztuczne gały.

– Okropieństwo – mówi sama do siebie i wraca na swój tron zrobiony z pudeł z książkami i poduszki. Siedzisko jest mało ergonomiczne, ale nie takie znowu

niewygodne.

Alex zdejmuje glany, ustawia laptop na skrzyni i zasiada do pracy. Najpierw spisuje wywiad z dyktafonu, potem zaczyna dopisywać *background* do artykułu i wzbogaca o własne obserwacje. „Ciekawe, ile z tego mi puszcza” – myśli. Gdy deszcz zaczyna tłuc o szyby, z niepokojem patrzy na dach i okienko. Oby tylko nie zaczęło jej kapać na głowę, ma już dosyć przygód na dzisiaj. Zaczyna się burza, tak jak zapowiadał Roman, jednak na szczęście odstęp między grzmotami i błyskami jest na tyle duży, że Alex nawet nie zwraca na to uwagi. Nawałnica jest gdzieś daleko.

Słyszeliście o Falk Rulez? Nawet jeśli nie, to na pewno znacie grę „Wolves & Skulls”, czyli „Wilki i czaszki”. Odniosła ogromny sukces w Polsce i na świecie, o czym świadczą wyniki sprzedaży w serwisie Amazon. Przy czym mówimy nie tylko o grze planszowej, ale także o opartych na niej grach elektronicznych. Recenzenci rozplývają się nad pomysłowością „Wilków i czaszek”. O grze wypowiedział się na Twitterze nawet sam premier, nazywając „polskim hitem eksportowym” oraz „przykładem, jak powinniśmy wykorzystywać nasze dziedzictwo historyczne i promować turystycznie Polskę w świecie”.

– Za sukcesem Falk Rulez stoi jedna osoba. A właściwie dwie. Po prostu: jedna dobrze rozumiejąca się para – opowiada mi Agnieszka Orbik, menedżerka twórców „Wilków i czaszek”. – To Julia i Roman Falkowie. Utalentowane małżeństwo, genialna para ludzi, których życiowe drogi sprowadziły z Wrocławia i Poznania do Warszawy. Ich nazwisko znajduje się w nazwie przedsiębiorstwa, jednak długo pozostawali wręcz anonimowi. Czas to zmienić. To wspaniali ludzie, a ich talent i determinacja mogą być znakomitą inspiracją dla innych zdolnych rodaków.

Nie tylko wy nie wiedzieliście o Falkach. Ja także. Jak więc nie skorzystać z zaproszenia, by ich odwiedzić i zobaczyć przy pracy? Uchylić rąbka tajemnicy, która ich otacza? Na dodatek zapraszają do swojej letniej samotni na mazurskim uroczysku. Nazwa tego miejsca oczywiście musi pozostać tajemnicą, aby nie przestało być samotnią.

– Masa ludzi skontaktowała się z nami z propozycją współpracy, niektórzy oferowali własne pomysły do wykorzystania. To bardzo miłe, jednak trzeba bardzo uważać. W USA były przypadki oskarżenia popularnych twórców o plagiat tylko dlatego, że ktoś przesłał im jakiś podobny własny pomysł, a następnie żądał udziału w zyskach za swoją rzekomą pomoc – zastrzega Agnieszka Orbik. – Wiemy dobrze, że istnieją też ludzie, którzy chętnie wykradliby kolejne pomysły Falków. Doszły do nas takie sygnały i traktujemy je bardzo poważnie, porozumieliśmy się nawet w tej sprawie z policją. No i są również fani, którzy

zrobią wszystko, by spotkać się z twórcami ich ulubionej gry.. Czasem zapominają, że każdy ma prawo do prywatności i powinni to uszanować. Zwłaszcza jeśli faktycznie cenią Falków, a nie tylko wręcz chorobliwie zafascynowali się ich dziełem – podkreśla menedżerka.

Do chwili spotkania nawet wygląd Falków pozostawał dla mnie tajemnicą. Tym bardziej uderzające było, jak normalne i przyjazne sprawiają wrażenie. Żadnego gwiazdorstwa czy pozerstwa, bez zadzierania nosa i megalomanii. Jeśli faktycznie zarobili już miliony – lub są na najlepszej drodze do imponującego finansowego sukcesu – wcale tego nie widać. To ludzie, którzy długo starali się żyć tak jak przed sukcesem „Wilków i czaszek”. Wiedzą jednak, że ich odbiorcy – gracze i klienci – mają prawo wiedzieć coś więcej. Dlatego zaprosili mnie.

Na pierwszy ogień poszła Julia Falk. Zgodziła się odpowiedzieć na pytania kwestionariusza Prousta, z którym chodziliśmy już do innych polskich gwiazd.

Palce Alex zamierają nad klawiaturą. „Coś tu jest nie tak. Z kwestionariuszem uderzam tylko do Julii, a wcześniej piszę, że oboje stoją za sukcesem »Wilków i czaszek«. To niespójne. Menedżerka tego nie puści” – uznaje i zaraz poprawia.

„Wilki i czaszki” wymyśliła Julia Falk. Z pomocą męża Romana przekuła swój genialny pomysł w znakomitą rozrywkę.

– Julia i Roman Falkowie to dobrze rozumiejąca się para – opowiada mi Agnieszka Orbik, ich menedżerka. – Utalentowane małżeństwo, para niezwykłych ludzi, których życiowe drogi sprowadziły z Wrocławia i Poznania do Warszawy.

I dalej:

Na pierwszy ogień poszła oczywiście Julia Falk. Gdyby nie ona, nigdy nie usłyszelibyśmy o „Wilkach i czaszkach”, a Wilczy Szaniec wciąż byłby dla świata zmurszałą wojenną atrakcją, z infrastrukturą na poziomie Polski Ludowej. Julia zgodziła się odpowiedzieć na pytania z kwestionariusza Prousta, które zadawaliśmy wcześniej innym polskim gwiazdom.

Alex znów się zatrzymuje. Jest lepiej, ale martwi ją ten fragment o fanach, cytat z menedżerki. „Może będzie lepiej przesunąć go na koniec materiału? Nie, to kiepski pomysł. Lepiej przerobić na mowę zależną. Bo zdania są jakieś długie, a cały fragment nieprzyjazny, odstręczający. To może tak...”.

Jak mówi Agnieszka Orbik, popularność ma swoje ciemne strony. Do Falk Rulez zgłaszali się fani chcący koniecznie porozmawiać z twórcami „Wilków i czaszek”, przychodziły propozycje współpracy oraz oferty z nowymi pomysłami.

– To bardzo miłe, jednak trzeba bardzo uważać. W USA były przypadki oskarżenia popularnych twórców o plagiat tylko dlatego, że ktoś przesłał im podobny własny pomysł, a następnie żądał udziału w zyskach za swoją rzekomą pomoc – ostrzega Orbik. To zabrzmi sensacyjnie, ale są nawet ludzie, którzy chętnie wykradliby kolejne pomysły Falków.

– Doszły do nas takie sygnały i traktujemy je bardzo poważnie, porozumieliliśmy się nawet w tej sprawie z policją – podkreśla menedżerka. Kim więc są Julia i Roman Falkowie, których pomysł, sukces, ale też tajemniczość, wzbudziły tyle emocji?

„Teraz lepiej, ale trochę za krótki jest ten opis samych Falków. Ich wyglądu, zachowania, podejścia do mnie i świata. Zdjęcia nie wystarczą – duma Alex i postanawia dodać jeszcze parę zdań. – Jeśli okaże się, że jest za dużo od menedżerki albo że wyszła laurka, to i tak coś wytną w redakcji”.

Do chwili spotkania nawet wygląd Falków pozostawał dla mnie tajemnicą. W Internecie nie ma żadnych ich zdjęć, w mediach społecznościowych funkcjonują tylko jako Falk Rulez. Jakby nie zależało im przesadnie na sławie, nakręcaniu koniunktury, a nawet na zwyczajnej autopromocji. Chyba że właśnie to utrzymywanie tajemnicy uznamy za zamierzony, marketingowy zabieg. Nasz materiał na pewno pomoże Wam wyrobić sobie opinię.

Menedżerka Agnieszka Orbik mówi, że Falkowie długo starali się żyć tak jak przed sukcesem „Wilków i czaszek”. Wie to dobrze, gdyż jest siostrą Julii. Zna ją więc znakomicie, nie tylko na stopie zawodowej, lecz i prywatnej. Jak podkreśla, Falkowie uznali w końcu, że ich odbiorcy – gracze, klienci i fani – mają prawo wiedzieć coś więcej. Dlatego zaprosili mnie pod swój dach. Latem, na Mazury.

Witają mnie w progu z uśmiechami. Ona w kolorowej, lekkiej letniej sukni. On w stroju majsterkowicza właśnie oderwanego od pracy. Czy tak się wystylizowali, czy po prostu tacy są? Koniecznie obejrzyjcie ich zdjęcia!

Uderzające, jak normalne wrażenie sprawiają Falkowie. Są przyjaźni, otwarci, a nawet lekko zakłopotani sławą, z którą muszą się zmierzyć. Żadnego gwiazdorstwa czy pozerstwa, bez zadzierania nosa i megalomanii. Jeśli faktycznie zarobili już miliony – lub są na najlepszej drodze do imponującego finansowego sukcesu – wcale tego nie widać. Raczej można dostrzec lekką obawę związaną z tym, że nie będą już nierozpoznawalni. Lecz mają odwagę spróbować. W końcu sukces nie spadł im z nieba ani nie podpisali cyrografu z diabłem – osiągnęli swoją pozycję po latach naprawdę żmudnej pracy, nie zniechęcając się po porażkach, nie schodząc z obranej ścieżki i nie zapominając nigdy o wspólnych marzeniach. Nie poświęcili swego talentu, by pracować w jakiejś wielkiej korporacji i piąć

się po szczeblach kariery. Byli zdeterminowani, by zbudować coś własnego: od podstaw, po swojemu, na jasnych i uczciwych zasadach. Opłaciło się. Los się uśmiechnął. A może po prostu ich strategia była dobrze przemyślana i wypaliła?

Gdy Alex pisze, praktycznie się zatracą. Jest wtedy jak zombie – tylko taki myślący, skupiony na robocie. Mało do niej dociera ze świata zewnętrznego, tak już ma. Nie zauważa nawet, gdy na zewnątrz zapada zmierzch.

GODZINA 21:01

W oknie, oparta na poduszce Marylka słyszy dobiegające z telewizora dźwięki czołówki serialu, który lubi oglądać. „Czyli już po dwudziestej pierwszej” – myśli sobie. Zabawne, że gdy telewizor gra cały dzień, uczysz się rozpoznawać godzinę po czołówkach programów. Nie trzeba patrzeć na słońce. Ani nawet na zegarek. Swój pozłacany, pamiątkowy Marylka zdjęła i odłożyła do kasetki nad telewizorem. Zakłada go tylko do kościoła i w gości. Nie do roboty i nie podczas lustrowania okolicy przez okno, gdy staje się „poduszkowcem”, jak ze śmiechem nazywają ją wnuki.

Marylka kończy oglądać zachód słońca, który przyszedł wkrótce po burzy. Po niebie śmigają jeszcze ciemne chmury, zasnuwając ostatnie promienie światła. „Ciekawe, jak przeżyją to moi turyści na uroczysku. Burzy to tam jeszcze nie mieli” – mówi sobie, ściąga poduszkę i zamyka dokładnie okno. Potem zasiada przed telewizorem, by obejrzeć kolejne niesamowite perypetie na drodze do miłości niemożliwej.

„Ech, być znowu młodym i zgrabnym” – wzdycha, patrząc na szczupłych, wystrojonych aktorów. Sama ma kłopot ze zrzuceniem nawet kilku nadmiarowych kilogramów, chociaż praktycznie odstawiła pieczywo i inne źródła węglowodanów. To nie było łatwe, bo kocha świeże pieczywo i ciasto. Na dodatek żyje z ich wyrobu, przygotowując wypieki niemal od etapu mielenia ziarna. I jak tu żyć, jak poskromić łakomstwo?

Złości się, patrząc na swoje obwisłe ramiona, spuchnięte ręce i nogi, które zamieniły się w kołki. „Naprawdę starość się Panu Bogu nie udała” – mruczy pod nosem, po czym nastawia głośniej odbiornik. Nie ma jeszcze kłopotów ze słuchem, po prostu nie chce uronić ani słowa z ust swoich ulubionych bohaterów. Akcja toczy się tak szybko.

ROZDZIAŁ 9

MUŚNIĘCIE CIEMNOŚCI

„No nie, bez jaj” – stwierdza Alex, gdy nagle gaśnie jej ekran laptopa. W tym zapamiętaniu nawet nie zauważyła, że wyczerpała się bateria. Musi ruszyć się ze swego tronu zbudowanego z poduszki i kartonów książek.

„Gdzie ten kabel?” – zastanawia się, gdy ciszę rozdziera potworny trzask. Momentalnie za oknem błyska, a w domu gaśnie światło.

Zapada mrok. Ciemno, że oko wykol. Teraz Alex potrzebuje już nie kabla do laptopa, tylko swojej komórki. Rzuciła ją wcześniej gdzieś między materac i śpiwór, bo przecież i tak nie ma zasięgu. Teraz przydałaby się chociaż jako latarka. Alex próbuje po omacku ją odnaleźć, ale kończyny ma sztywne. Nie wie, czy to od niewygodnej pozycji, w której pisała, czy ze strachu. A raczej wie, ale nie chce przyznać, że zbliża się kolejny napad lęku.

Słyszy jakieś dziwne szmery, ale sama nie wie, czy to na strychu czy dochodzą z piętra poniżej. Dałaby głowę, że czuje czyjś oddech. Wstrzymuje własny. „Nie poddawaj się panice – mówi sobie. – Nic się nie dzieje”.

Wie jednak, że to nie zawsze pomaga. Ile razy powtarzała tak sobie przez minioną dekadę? Tak jak wtedy, gdy jako dwunastolatka zatrzasnęła się w piwnicy, bo była pewna, że korytarzem goni ją starszy sąsiad. Wylazła z piwnicy przez okienko. Rodzicom o niczym nie powiedziała. Sąsiada starała się unikać, zresztą sam za jakiś czas zniknął. Podobno wyjechał do pracy w Anglii. Nigdy nie wrócił.

Albo jak wtedy, gdy na zajęciach z kółka astronomicznego kolega dowcipniś zamknął ją w wieżyczce na dachu szkoły. Stał za drzwiami i sprawdzał na zegarku, ile minut Alex wytrzyma bez panikowania. Nucił sobie pod nosem jakiś hip-hopowy kawałek, który sam ułożył. Paradoksalnie, to ją uratowało, bo nie czuła się sama. Wiedziała, że obok jest ktoś jeszcze, ktoś, kto wcale nie życzy jej źle, jest

tylko lekko popierdolony. Wytrzymała bez krzyku, ale tamtego dnia znienawidziła rap.

I jeszcze te wizyty ze znajomymi w escape roomach, gdy starała się oswojać niepokój, wprowadzana do piwnic, lochów, korytarzy...

Mniejsza jednak o przeszłość. Coś właśnie przesunęło się po bosych stopach Alex. Gwałtownie cofa nogę. Traci równowagę i ląduje w kartonach.

Coś miękkiego muska jej piersi.

– Nie! – Alex wrywa się i nurkuje pod śpiwór. Owija się nim, kopie w powietrzu nogami. Pod głową czuje coś twardego. To chyba jej telefon! Sięga ręką po aparat, wybudza go z elektronicznego letargu, po chwili na ekranie pojawia się światło.

– Kto tu jest? – pyta, rozświetlając pomieszczenie. Lecz najwyraźniej nie ma nikogo. Tylko skotłowany materac, śpiwór, poduszka i książki z powywracanych kartonów.

– Gotowe! – krzyczy Roman gdzieś spod schodów. – Korki naprawione!

Na strychu i w całym domu znów rozbłyska światło.

– Wszystko w porządku? – Wciąż ciężko oddychająca Alex słyszy głos Romana, który zagląda do jej królestwa. – Przepraszam, że tyle to trwało, ale byłem na zewnątrz. Musiałem przebiec w deszczu i jeszcze wysuszyć się ręcznikiem, zanim zająłem się elektryką. Wiesz, lepiej nie ryzykować.

Zza głowy Romana zaraz błyskają też okulary jego żony.

– Chodź Romeo, zrobisz jajecznicę na kolację. Dzisiaj twoja kolej – mówi.

– To ja też już schodzę. – Alex usiłuje wygramolić się z bałaganu, którego narobiła. – Tylko podłączę lapka, żeby się podładował.

O swoich lękach znów nie mówi ani słowa. Wkłada glany i zbiega na dół. Julia mówiła tylko o jajecznicy, ale na niej kolacja się nie kończy. Są też kruche ciasteczka i butelka wina.

– Chcesz kieliszek, Alex? – pyta Julia.

– No pewnie, przecież jestem już dorosła.

– Ale czy tolerujesz wino białe wytrawne?

– Oczywiście. Bardziej niż jakikolwiek inny alkohol.

– To znaczy?

– Wódka za bardzo mnie pali. Od piwa chce się tylko sikać. Nalewki są dla babć. Koniaki dla dziadków – wymienia Alex. – Czerwone wino nie nadaje się na letnie wieczory. A po słodkim boli głowa. Zostaje więc białe wytrawne.

– Bardzo słusznie – przyznaje Julia. – To wino to nic takiego. Chenin blanc, taki szczep z Afryki Południowej, w którym kiedyś się zakochałam.

– Nie mylić z Cheval Blanc, ulubionym winem Hemingwaya – dodaje Roman, sięgając po korkociąg. – Ale to kosztowałoby fortunę.

– Ale Château Cheval Blanc to bordeaux, poza mylącą nazwą nie widzę związku – strofuje go Julia.

– Jesteście znawcami win? – przerywa im Alex. – Tak zażarcie dyskutujecie.

– Nie, skądże. Po prostu lubię odmianę chenin blanc – odpowiada Julia. – To wino umilało nam niejedną wieczór na południu Afryki.

– Podobało się wam?

– Tak, ale nie chcę o tym mówić – wzdycha Julia. – Byliśmy tam z grupą zorganizowaną. Nigdy więcej! Połowa grupy okazała się rasistami... Wiesz, przed laty Gałczyński napisał poetycki „List znad rzeki Limpopo”, którą wtedy właśnie mijaliśmy podczas wycieczki. To szło mniej więcej tak – Julia zamyka oczy i zaczyna recytować: – „Piszę do was ten list znad Limpopo, rzeki, / która płynie przez kraj daleki. / Koło mego namiotu przechodzą stada słoni / i ludzie szmaragdowi i czerwoni. / Ja wiem, że u was teraz naftowa lampa krzywa / wieczorem nad stołem jak senna twarz się kiwa / i wszystkie domu zakątki / zasnuły wielkie pająki. / Próżno czekacie na pocztę. / Tylko radio, dobra skrzynia polerowana, / daje wam czasem koncert na organach / i organowe wojsko z dzidami wychodzi na pokój i drwi, / a wasze stare serca skrzypią ze strachu jak drzwi. / Że będzie deszcz, codziennie mówi ktoś ze skrzyni, / A u mnie wielkie gwiazdy są i ogromne rubiny, / Murzyniątka rozpinają palankin nad moją osobą / i w durnia gram z samym królem rzeki Limpopo. / A u was nuda i bieda, / myszy, deszcz i Polska...”.^[5]

– Użyłaś zakazanego słowa – komentuje Roman po recytacji żony.

– Pająk? – Julia otwiera oko.

– Nie. Słowa na literę m.

– W 1934 roku nikogo nie raziło. Tak samo jak radio było wtedy wielką polerowaną skrzynią, a nie takie małe metaliczne jak to nasze na lodówce. – Julia

wzrusza ramionami. – Ważne, że diagnoza stanu Polaków nader trafna. Przydałyby się wszystkim obowiązkowe wakacje od smutku, patosu i ciemnej szmaty na niebie. Na szczęście my tu i teraz mamy trochę lepiej, pomijając dzisiejszy deszczowy wieczór. Ale jeszcze tylko parę tygodni.

– Tak. Polacy bywają dziwni – przytakuje Alex. – Uważamy się za część Zachodu, a jeszcze lepiej: cywilizacji śródziemnomorskiej. Gdy na zamku w Lublinie jest wystawa Tamary Łempickiej albo pokazują Witkacego w warszawskim Muzeum Narodowym, to walą tłumy. Byłam, widziałam, szpilki nie dało się wcisnąć. Taki jest głód nawet nie sztuki, lecz zetknięcia się z czymś wyjątkowym, oryginalnym, trudno dostępnym. A jednocześnie potrafimy być bardzo ordynarni, grubiańscy, małostkowi.

– Co do tego ostatniego, nie tylko ty tak uważasz. Zdaje się, że Julia wspominała ci w kwestionariuszu... – podchwytuje Roman, aczkolwiek milknie na chwilę, by metodycznie wyciągnąć korek.

– Podśluchiwałeś wtedy na schodach? – dziwi się żona.

– Oczywiście! Ufać, ale kontrolować, jak radził Lenin.

– Dobra, dobra, skończ już z tymi dziaderskimi mądrościami i uważaj na otwieracz. – Julia śmieje się. – Romeo zawsze ma przy tym skupioną minę, bo nieraz już coś rozlał albo uderzył kogoś korkiem podczas tej skomplikowanej operacji.

– Gadaj tak dalej, to kolejną butelkę będziesz otwierać sama, swoimi delikatnymi łapkami – odpowiada Roman, odkładając korek z wkręconym otwieraczem i rozlewając lśniący płyn do kieliszków.

Piją toast „za tych, co na morzu”, jakby nie wypadało wznieść go za własne powodzenie. A może po prostu zbyt często zerkają w okno, słyszą, jak krople tłuką o szyby, a okiennice trzeszczą od podmuchów wiatru. Nikt nie chciałby w taką pogodę być gdzieś na zewnątrz, zdany na łaskę żywiołów.

– Pierwszy raz mamy tutaj taką pogodę – zauważa Roman. – Ale bywało tak upalnie i parno, że musiała w końcu przyjść także burza.

– Ty to masz szczęście, dziewczyno. – Julia wskazuje na Alex.

– Bo nie dałam rady wyjechać na czas?

– Bo na czas wróciłaś pod nasz dach.

Do opróżnionych kieliszków znów leje się wino. I przy tej drugiej kolejce nagle rozplątuje się język Alex.

– Muszę wam się przyznać, że w czymś was okłamałam – wyznaje.

– Och, szokujące! – chichocze rozluźniona Julia, przyglądając się reszcie przez kieliszek. – A w czym to nas okłamałaś?

– Nie wróciłam tu sama – odpowiada Alex, a śmiech wtedy milknie.

GODZINA 22:03

Widząc tę godzinę na ekranie laptopa, Agnieszka Orbik zaczyna się zastanawiać, jak udał się wywiad z Julią i Romanem, jej pupilami. Oczywiście jakieś niezamierzone błędy, przypadkowe nieścisłości i wtopy można poprawić przy autoryzacji. Jednak czasem nawet to nie pomaga, jeśli rozmowa się nie klei. Nie da się wyreżyserować czy sfabrykować dobrego materiału od początku do końca. To zawsze będzie widać, czytelnik to wyczuje. Rozpozna coś, co jest świeże i prawdziwe, a odrzuci materiał plastikowy czy cuchnący wazeliną. Tak uważa Agnieszka.

To fakt, że celebryckie portale potrafią kogoś kochać i promować albo nienawidzić i gnębić. Bywa jednak, że wbrew redakcyjnym zamysłom, czytelnicy wyrabiają sobie dokładnie odwrotną opinię. „Straszne, prawda? – powiedziała jej koleżanka Baśka, szefowa portalu. – Czasami nie daje się kogoś wypromować ani ocieplić czyjś wizerunku, chociaż stajemy na uszach. A kto inny jest uwielbiany, chociaż umawia się z konkurencją na najbardziej chamskie ustawki”.

Orbik sprawdza telefon komórkowy. Nie zapomniała wcale, że Upiierz to takie odludzie, że nie ma tam zasięgu. Przecież sama to miejsce wybrała, żeby odseparować Falków od świata. Wie, że Julia i Roman nie zadzwonią tu do niej z komórki, żeby się poskarżyć lub pochwalić. Agnieszka liczy raczej na telefon od Baśki – gdy tylko osoba z portalu, którą tam wysłała, znajdzie się na powrót w bardziej cywilizowanych rejonach i da cynk swojej szefowej, jak poszło.

„Zresztą nieistotne – mówi sobie Orbik. – To może poczekać. Teraz mam ważniejsze i bardziej aktualne rzeczy na głowie”. Uśmiecha się pod nosem tajemniczo, klika myszką w zagadkową ikonę na laptopie. Otwiera się okienko z transmisją na żywo lub nagraniem, trudno to stwierdzić. Przez sekundę na ekranie migają kobieta i mężczyzna, niekompletnie ubrani, a raczej jeszcze niekompletnie rozebrani.

Agnieszka klika i obraz znika. Potem zerka z ukontentowaniem na malutkie czarne pudełeczko podłączone do jej komputera. Kiedyś potrzeba było nie wiadomo jak wielkiego i drogiego sprzętu, by kogoś nagrać lub podejrzeć. Teraz to takie łatwe! Cyk i gotowe. Dla tych, którzy chcą podniecać się lub szantażować, mieć pamiątkę lub kartę przetargową. Dla kochanków, zboczeńców i pospolitych przestępców.

Aczkolwiek Agnieszka Orbik nie jest nikim pospolitym.

ROZDZIAŁ 10

HAK

– Dź-dobry! – odezwał się cienki głos za plecami Alex, gdy ta bezradnie odkładała sflaczałe koło zapasowe pod klapę przedniego bagażnika.

– Nie taki dobry, niestety – odpowiedziała, wzdrygając się, zaskoczona. Zerknęła, kto tak znieścacka pojawił się na tym odludziu. To obcięty „na pieczarkę” (albo, jak mówiła matka Alex, na garnek) chłopak, góra trzynastoletni. Krępy, opalony, uśmiechnięty, w dziurawej koszulce i za długich szortach. Typowy mały włóczykij, na dodatek bosy.

– Może jakoś pomogę? – spytał.

– Nie sądzę. Sama muszę coś wykombinować – odparła, zatraskując klapę chevroleta. Potem poszła na tył auta, żeby jeszcze raz przyjrzeć się przebitej tylnej oponie, jakby miała nadzieję, że ta w magiczny sposób stanie się znów zdatna do dalszej podróży.

Chłopiec przysiadł z boku szutrowej drogi, bazgrząc coś w piasku, zbierając i rozsypując kamienie. Czekał na rozwój wydarzeń. Kiedy znudziły go kamyki, zaczął patrzeć w chmury. Te płynęły spokojnie, dostojnie, pewne siebie, chociaż stawały się coraz ciemniejsze. Czasem migwały na ich tle nisko przelatujące ptaki.

– Czy mi się wydaje, czy pan od Upierza jechał? – dopytywał chłopiec.

– Tak – kiwnęła bez przekonania głową. Nie skorygowała chłopca, bo nie pierwszy raz wzięto ją za faceta, a w tej chwili bardziej martwiła ją opona. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Dalsza jazda wykluczona. Alex zaklęła po nosem.

– Ucieka pan stamtąd?

– Ucieka? – zdziwiła się. Po raz pierwszy chłopiec powiedział coś ciekawego.

– No przecież tam straszy.

– Aha. – Alex momentalnie straciła zainteresowanie. Nie miała czasu na takie bzdury. – Powiedz mi lepiej, panie kolego, gdzie tu znaleźć pomoc drogową.

– Aaaa... – Chłopak machnął ociężałą ręką. – To dopiero w dużym mieście. Trzy godziny by pan szedł i by nie doszedł.

– No dobrze. A nie da się do nich zadzwonić?

– Pewnie, że się da. Ze wsi, tam gdzie z komórek można już dzwonić.

– To daleko? Z pół godziny drogi pewnie, nie więcej? – spytała z nadzieją.

– Nie, będzie z godzina.

– Nawet dla mnie? – nie dowierzała Alex. Chłopiec zauważył, że spogląda na jego krótkie, krzywe nogi z czarnymi stopami.

– Nawet – odparł lekko obrażony. – Może jestem póki co niższy od pana, ale chodzę bardzo szybko.

– Wierzę. – Alex skrzywiła się. – A co ty w ogóle tu robisz, tak daleko od domu? Pojechałeś z tatą na pole, czy co?

– A widzi tu pan jakieś zasiane pola? – Mały spojrział na Alex z politowaniem. – Przecież tu same lasy i nieużytki.

– Czyli nikt tu ciągnikiem nie będzie przejeżdżał? Nie zabiorę się z nikim?

– A skąd. Może tu pan siedzieć nawet do wieczora, a i tak nie spotka nikogo, poza mną – westchnął, znów pisząc coś w piasku.

– Bo co? Boją się tu jeździć? – zaśmiała się.

– No – potwierdził.

– A ty się nie boisz?

– Nie.

– A to dlaczego? – Alex dała się wciągnąć w ten dziwaczny słowny ping-pong z chłopcem.

– Bo to mój pradziadek był.

– Kto taki?

– Ten, co straszy.

– Czyli kto?

– Długo by gadać, a ja muszę go odwiedzić. – Mały wstał i zaczął odchodzić drogą w stronę Upierza.

- Na pewno możesz iść tak daleko? Co na to rodzice? – dopytywała Alex.
- Lubię chodzić – odparł mały wymijająco.
- Ale może to niebezpieczne?
- Przecież nikogo tu nie ma. No chyba że zostały jakieś dziwaki w chacie na uroczysku? – Chłopiec spojrział na Alex pytająco.
- Wiesz co, poczekaj. Pójdę razem z tobą.
- Byle szybko. Dość już czasu straciłem. – Chłopiec porzucił uprzejmy ton. „Może to ze względu na pytanie o rodziców” – pomyślała Alex. Zabrała z auta plecak z laptopem i zapiskami, zatrzasnęła drzwiczki, uruchomiła kluczem alarm i podbiegła do małego włóczykija.
- Alarm to mało się tu przyda – zauważył kąśliwie chłopak.
- To z przyzwyczajenia.
- Strasznie pan wysoki. – Nastolatek spojrział na nią, zadzierając głowę.
- Pewnie też kiedyś taki będziesz.
- Nie, większy.
- Hm... Jestem Alex. – Podała mu dłoń.
- A ja Hak. – Przybił z nią piątkę. Alex chciała już zapytać, czy chodzi o powieściowego Hucka, bo chłopiec był podobny do Twainowskiego powsinogi, jednak mały zaczął już inny temat.
- To uciekał pan od Upierza, a teraz tam wraca? Dziwne.
- A co innego mogę zrobić? Auto się zepsuło.
- Zepsuło! – Hak zaśmiał się złowrogo. – Tam nic samo się nie dzieje!
- To znaczy?
- Pewnie on zepsuł.
- Czyli kto? – Wydobywanie informacji od malca ciągnęło się jak nawijany na widelec makaron spaghetti.
- No, pradziadek.
- Dlaczego?
- Taki już jest. – Hak ziewnął przeciągle, jakby opowiadał o najnudniejszej rzeczy na świecie.
- Chyba ci nie wierzę.

– Ta. To dlaczego pan uciekał?

– To nie była ucieczka, tylko zwykły powrót do miasta – wyjaśniła.

– Aha. – Hak nie wyglądał na przekonanego. – A jak tam dojdziemy, to pokaże mi pan od środka ten domek na uroczysku?

– Nie mogę. On nie jest mój.

– No wiadomo. Wynajmują go turyści, tacy jak pan – odparł Hak zniecierpliwionym tonem, sadząc takie susy, że faktycznie nie ustępował tempem marszu Alex.

– Tam rządzi para, która zatrzymała się na dłużej, nie ja – wyjaśniła.

– A! – Hak pokiwał głową. – Czyli to pewnie im pradziadek daje się we znaki.

– No nie wiem. Nic nie mówili, więc trudno mi uwierzyć w twoje słowa – zauważyła Alex.

– Na pewno ktoś w nocy myszkował im po obejściu i coś zniszczył – odpowiedział jej Hak pewnym głosem. – Może jeszcze nie zauważyli. Ale jeszcze zobaczą!

– Dlaczego pradziadek to robi?

– Taki już jest, i tyle.

– Ale musi przecież być bardzo stary, skoro jest pradziadkiem. Nie męczą go takie – długo szukała w głowie właściwego słowa – psikusy?

– Jest stary, ale nic innego nie ma do roboty – wyjaśnił chłopak z rozbijającą szczerością.

– A mieszka gdzieś blisko uroczyska?

– No, na samym uroczysku.

– Ale tam jest tylko jedna chata. I tam są turyści, nikt inny. Coś chyba zmyślasz.

– On nie mieszka w chacie. – Hak zatrzymał się nagle, jakby chciał zaakcentować, co mówi, i podkreślić, że to prawda. – I on już od dawna nie żyje.

Wtedy Alex w końcu zrozumiała. Już dawno powinna na to wpaść.

– Mój pradziadek leży w piramidzie koło jeziora – dopowiedział Hak, jakby chciał raz na zawsze wyjaśnić nieporozumienie. – Nocą wychodzi z grobu i snuje się po okolicy. Dlatego nikt nie chce tam mieszkać. Po co wchodzić umarłakowi w drogę?

– A ty się nie boisz?

– Nie – odparł hardo.

– A widziałeś, jak... hm... pradziadek wychodzi nocą z piramidy? – zapytała ostrożnie Alex.

– Nie musiałem.

– Aha. – Alex uśmiechnęła się drwiąco. „Wszystko jasne” – pomyślała.

– Nigdy nie byłem tam nocą. – Hak zrobił obrażoną minę. – Nie muszę, bo swoje wiem.

– Ale powiedz mi, jak to może być twój pradziadek, skoro mówimy o niemieckim grobowcu jakiegoś barona albo hrabiego? – Alex kontynuowała przesłuchanie, które zaczęło już ją bawić.

– To nie wiesz, że nie wszyscy Niemcy stąd uciekli po wojnie? – odpowiedział Hak poważnym tonem.

Oczywiście, że wiedziała. Przecież jej babka była Mazurką. Dlatego Alex wręcz się wstydziła własnej reakcji. Tymczasem Hak zaczął snuć swoją historię, co kilka zdań rzucając kamieniami w drzewa, jakby znaczył drogę albo co ważniejsze punkty opowieści.

Wynikało z niej, że piramidę zbudowali miejscowi bogacze o nazwisku von Celtius, jeszcze w dziewiętnastym wieku. Podobno było to wtedy w modzie. Wierzyli, że kształt piramidy zapewni im życie po śmierci, tak jak egipskim faraonom. Mieli rację czy nie, ciała w grobowcu się mumifikowały, a kolejni von Celtiusowie dbali o wygląd mauzoleum. Tak było aż do końca II wojny światowej. Niemcy uciekli przed Armią Czerwoną. Kiedy Rosjanie weszli, ograbili dwór von Celtiusów z czego tylko się dało. Zerwali nawet szczyt piramidy, bo był z żelaza i ładnie zdobiony. Kiedy w nocy ktoś napadł na kilku żołnierzy i pozarzynał ich, reszta Ruskich dopełniła dzieła zniszczenia. W odwecie wywalili trumny z mumiami z grobowca na stos i podpalili. A odchodząc, spalili dwór, folwark i zrównali wszystko z ziemią. Zostawili tylko chatę, w której kiedyś była stróżówka, ale nawet ten budynek zaminowali. Kiedy Rosjanie odeszli, przyszli Polacy, na szczęście chałupę sprawdzili saperzy. Rozminowali pułapkę, nikt nie zginął. Zaś w lesie znaleźli pradziadka Haka. Chował się. Miał nie więcej niż dziesięć lat. Mówił, że jest z von Celtiusów, tyle że mało kto mu wierzył. Tak czy owak, przygarnęła go polska rodzina. Całe życie spędził nad Fąceltami (tak od spolszczonego i przekręconego nazwiska bogaczy nazwano jezioro). Dbał

o mauzoleum, starał się nim zainteresować historyków, ale wywalczył tylko kraty, żeby turyści nie traktowali piramidy jak szalet. Dopiero pod koniec życia znalazł w Niemczech archiwalne papiery i zrobił badania, które dowiodły, że faktycznie był von Celtusem. Dzięki temu odzyskał piramidę – jako rodzinny grobowiec. Potem kazał się w niej pochować.

– Kiedy to było, kiedy kazał się pochować? – dopytała Alex, całkiem zainteresowana tą niemal fantastyczną historią.

– O, będzie ponad dwadzieścia lat temu. – Hak wycelował kamieniem w kolejną brzozę.

– To nie było cię jeszcze na świecie.

– No, nie było.

– I od tego czasu pradziadek chodzi po ziemiach tych, no, von Celtusów?

– Dokładnie.

– A dlaczego niszczy rzeczy?

– Wiadomo. Bo nie lubi obcych na swojej ziemi. – Kolejny kamień huknął o pień.

Opowieść Haka zajęła całą drogę. A gdy zza drzew zamajaczyła studnia i zarys chaty, chłopak po prostu zniknął, bez słowa pożegnania. Alex pomyślała, że pewnie wbiegł w las, by na skrót dostać się do piramidy. Podeszła do drzwi Falków i głośno zapukała.

– Więc tak wyglądało to twoje kłamstwo? – Julia i Roman wzdychają jednocześnie, jakby spodziewali się czegoś dużo gorszego.

– Mniej więcej. Przepraszam. – Alex robi smutną minę.

– W sumie nic się nie stało. – Julia drapie się po rękach, jakby coś ją pogryzło. Zaczyna rozglądać się dookoła, szukając niewidocznych komarów.

– Też mi się tak wydaje. Przepraszam, muszę skorzystać z łazienki. – Roman wstaje od stolika i znika za progiem kuchni.

– Tak naprawdę to się cieszę, że nam opowiedziałaś tę historię, chociaż dziwię się, dlaczego w ogóle do tej pory ją ukrywałaś. – Julia długo bawi się pustym już kieliszkiem i wreszcie odstawia na stół.

– Sama nie wiem. Chyba byłam tak skupiona na sobie i na tym, że muszę rozwiązać swój problem, że cała reszta przestała mieć znaczenie. Poza tym nie wiedziałam wtedy jeszcze o waszych zniszczonych rowerach.

– A co one mają z tym wspólnego? – pyta z rezerwą Julia. – Chyba nie wierzysz w tego umarlaka, zombie chodzącego koło chaty i pożywiającego się gumowymi oponami? Ejże, filmów się naoglądałaś?

– Nie, nie chodzi mi o tego umarlaka – wycofuje się Alex. – Pomyślałam sobie tylko, że to może ten chłopczyk sam wyrządza ludziom szkody, bawiąc się w pradziadka-żywego trupa.

– To już prędzej – przyznaje Julia i nagle zmienia temat. – Ty w ogóle nic nie jesz.

– Nieprawda – gwałtownie zaprzecza Alex. – Sałatki zjadłam sporo, zupy też...

– Ale rogalików nie tknęłaś.

– Nie lubię pieczywa.

– Odchudzasz się? Bez żartów...

– Nie, nie – odpowiada Alex. – Powinnam uważać z cukrami. Taki rodzinny problem.

– Już w tym wieku musisz na to uważać? – dziwi się Julia.

– Lepiej tak.

– No dobrze, skoro tak się upierasz. – Julia znów zaczyna się drapać, tym razem po łydkach. – Zamordowałabym wszystkie komary. Czy one są do czegokolwiek potrzebne w przyrodzie?

– Pewnie niektóre zwierzęta się nimi pożywiają.

– A ludzie? Ciekawe, czy dużo w takim komarze węglowodanów. Chyba nie? – Julia puszcza oko do Alex.

– Raczej się nie skuszę. Ale wracając do tego chłopca...

Przekomarzanie przerywa potężny trzask tłuczonej szyby. Julia i Alex zrywają się na równe nogi, prawie przewracając stół zastawiony resztkami po kolacji. W korytarzu miga też sylwetka Romana.

– Kurwa mać, co to było? – woła Julia, biegnąc za mężem.

– Brzmiało jak zbita szyba – mówi Alex, ale wszyscy już to wiedzą. Pytanie, gdzie i jak została stłuczona. – Chyba nie u mnie na górze, to gdzieś tutaj...

Falkowie szybko rzucają okiem na swoją sypialnię i do łazienki. Tam okna są całe. Nie, odgłos chyba dochodził z drugiej części domu. Wybiegają do korytarza, tylko dla świętego spokoju zerkają kątem oka w stronę wędzarni i spiżarni, bo przecież tam i tak nie ma okien. Sprawa wydaje się jasna: to musiało się stać w salonie. W ich zamkniętym sanktuarium, w którym pracują nad „Minotaurem”.

Roman otwiera z rozmachem drzwi. Ze środka uderza ich strumień wiatru, zmieszanego z kroplami deszczu. Wieje z ciemności, niczym z bramy piekła.

Roman szybko sięga ręką do włącznika światła. Rozbłyskuje staromodny żyrandol, umieszczony centralnie nad stołem z projektem planszy „Minotaura”. Wokół fruują i przewalają się arkusze papieru, pozrywane przez wichurę ze ścian. Przy oknie łopocą zerwane, podarte zasłony. Pod parapetem jest pełno szkła z rozbitej szyby.

– Ja pierdołę. – Julia biega wokół stołu, chwytając fruujące arkusze papieru, zbierając z ziemi porozrzucane żetony i sprawdzając, czy nic nie zamokło. – Romeo, zrób coś z tym konarem.

– To znaczy co? – piekli się Roman, pokazując na przechodzący przez okno oberwany konar jabłoni, zakręcony jak hak. – Przecież go nie pozwę!

Julia gromi go wzrokiem, mówiącym wprost: „Przestań gadać, weź się do roboty”.

Wśród wirujących razem z wiatrem kropli deszczu Roman i Alex chwytają za konar i wypychają na zewnątrz. Rozbite szkło chrzęści pod ich butami. Gdy im się udaje, podbiega Julia z tablicą korkową, która idealnie pasuje do okiennej witryny.

– Pójdę do piwnicy po młotek i gwoździe – rzuca w pośpiechu Roman, poprawiając mokrą czapeczkę.

– Byle szybko – sapie Julia, podpierając plecami tablicę ustawioną na parapecie, po czym spogląda z pewnym zażenowaniem na Alex. – Niezły sajgon, co?

– Albo nawet meksyk. Zapewniam, że się nie przyglądałam tym szkicom – odpowiada Alex, wskazując palcem na zebrane na stole plany „Minotaura”, mokre od kropli deszczu.

– Daj spokój. Głupio wyszło. – Julia brzmi, jakby przepraszała. – Chyba nie tego spodziewałaś się po wywiadzie z nami.

– Nie jestem Oprah Winfrey – odpowiada Alex. – Nawet, gdybym opisała ten chaos, redakcja i tak może wybrać fragment o sielskim wypoczynku, bo czytelnicy

takie właśnie mają oczekiwania.

– I dziennikarze zawsze się dostosowują?

– Tacy jak ja raczej są traktowani jako mediaworkerzy, a nie dziennikarze. Sama nie śmiałabym się nazwać dziennikarką.

– Ależ zrób z tego prawdziwy materiał dziennikarski, należy ci się – rzuca Julia.

– Twoja siostra by mnie za to zabiła. A wcześniej naczelna, bo przecież Falk Rulez zapłaciło za materiał promocyjny, a nie antyreklamę.

– Ciekawe, czy nas za to obciążą – mówi niewyraźnie Roman, który wrócił z piwnicy z garścią gwoździ w zębach i sporym młotkiem.

– Lepiej nic nie mów, bo gwoździa połkniesz – ucisza go Julia, odsuwając się od okna. – I nie przypierdol tym młotem za mocno, bo tablicę rozwalisz. Mniejszego nie było?

– Ale ty marudzis. Wieczna krytykantka...

Julia nie odpowiada. Drapie się po rękach i patrzy w jakiś punkt zawieszony w powietrzu, jakby słuchała, co mają do powiedzenia mokre liście opadające spod sufitu między zgliszczą „Minotaura”.

GODZINA 22:41

„Wiadomość nie może być dostarczona. 22:41”.

Baśka ze złością odkłada telefon. „Alex zbierze ode mnie niezły opierdół – obiecuje sobie. – Już wieczór i żadnego sygnału, jak poszło i kiedy materiał będzie gotowy. I jeszcze telefon wyłączony. Zero profesjonalizmu. Tym młodym we łbach się poprzewracało. Pokolenie płatków śniegu, kurwa mać”. Baśka pamięta swoje początki: pracę po przynajmniej dwanaście godzin na dobę, niedosypianie, niedojadanie, niedojebanie. A potem kupiła dwupokojowe mieszkanie z kredytem na czterdzieści lat. I nie narzekała.

Może powinna?

Baśka wstaje od biurka, idzie do kuchni i robi kolejną kawę. Potem wraca przed monitor komputera. Była dzisiaj w redakcji do godziny piątej po południu, ale gdy jesteś redaktorem naczelnym portalu o celebrytach, to praca nie kończy się nigdy. Jak nie w domu przed laptopem, to w terenie: na jakiejś premierze, pokazie, imprezie okolicznościowej albo zwyczajnej popijawie.

Nawet dzisiaj musi jeszcze iść nad Wisłę, żeby spotkać się w sprawie aktora, który popadł w niełaskę przez kilka nieostrożnych słów o polskiej branży filmowej i samych widzach. Co z tego, że miał rację? Przecież nie o to chodzi. Tymczasem on też ma kredyty. Musi z czegoś żyć. A bez przyjaciół, bez pleców i bez popularności, gdzie dostaniesz pracę? Równie dobrze mógłby się facet przesiąść na Ubera.

„Dlaczego ani Alex, ani Agnieszka nic mi nie piszą o spotkaniu z Falkami?” – myśli ciągle Baśka. Nie przestaje nawet, gdy czyta artykuł o planowanej prezentacji Roberta Lewandowskiego w Barcelonie, a właściwie może nawet w Las Vegas. Jak zwykle więcej o Ani niż o jej mężu. To już trzeba zmienić, ludziom przestaje się to podobać. „I warto dać to do pisania komuś, kto choć trochę orientuje się w temacie, kurwa. I umie korzystać z Google Translate. Piłka nożna w Ameryce to »soccer«, nie »football«. Naprawdę to taka wiedza tajemna?” – złości się Baśka i zaczyna pisać maila z ostrą reprimendą dla autorki.

Alex jest następna w kolejce.

ROZDZIAŁ 11

DAIMONION JULII

Julia pochodzi z niezbyt religijnej rodziny. Kiedy ją ochrzczono w 1987 roku, stało się to głównie za sprawą matki i babci. W Polsce trwała jeszcze komuna, a ojciec Julii należał do partii. Dlatego, żeby nie narażać swojej opinii wśród towarzyszy, zabrał małą do wiejskiego kościółka pod Wrocławiem. Rodzice chrzestni nie byli nawet wierzący, na szczęście ojciec dobrze znał proboszcza, notorycznego hazardzistę, grającego chętnie w karty ze stryjem Julii, radarowcem z drogówki. Wypili po dziabongu i było po sprawie. „Nie ma problemu. Rodzice chcą, dziecko jest, chrzestni są” – stwierdził ksiądz przed udzieleniem sakramentu. Miał jeden warunek: chciał się zabawić na chrzcinach. Rodzice Julii nawet takowych nie planowali, więc byli zaskoczeni. Ale wyjęli wódkę, wędliny i ciasto, otworzyli słoiki z ogórkami konserwowymi i marynowanymi grzybkami, i jakoś to poszło. Obyło się prawie bez ofiar. Ksiądz nachlał się i rozbił kilka kryształów. Wcześniej opowiadał z chęcią o sobie. „A byłem w Hiszpanii odpocząć. Drogo, wiadomo. Ale miałem pieniądze uzbierane na remont organów. Gdy w parafii dopytywali, co z instrumentem, odpowiedziałem, że im to nawet najlepsze nie pomogą, i tyle. Mordy zamknęli – pozwolił sobie na szczerą w obecności ludzi, którzy nie znali nawet jednego jego parafianina. – A przyszła do mnie zapłakana kobieta, że z mężem się rozwidła, a to przecież grzech. To mówię jej, że dobrze, że zostawiła tego pijaka, bo większy byłby grzech, jakby z nim została”.

Julia oczywiście nie była świadoma tych wydarzeń i mądrości, którymi dzielono się nad jej kołyską. W późniejszych latach zauważyła jednak, że matka rzadko bywa w kościele (choć w kraju zmieniała się władza), a jeśli już zachodzi na mszę, to siedzi w przedsionku świątyni. „Bo tam chłodniej”. Co ciekawe, robiła tak także zimą. Babcia z kolei miała sprawy ważniejsze od nadprzyrodzonych: nie cofała się przed niczym, byle wepchnąć w małą Julkę dodatkowe łyżki jedzenia. A to pokazywała jej za oknem domniemane anioły, a to diabły, a to Cyganów.

„Patrz, jaki biedny chłopczyk jest w telewizorze. Na pewno zaraz umrze! Ciekawe, jak będzie wyglądał w trumnie?” – potrafiła gadać babcia, podając łyżką kolejne kęsy do ust wnuczki. A porcje dawała niemałe. Pewnie dlatego pięcioletnia Julia, będąc z rodzicami w gościach u ich znajomej, skomentowała ku ogólnej radości: „Małe te pierogi pani robi, bo moja babcia jak talerzyki”.

Nie znaczy to, że w domu rodzinnym się przelewało. Ojciec po 1989 roku nie miał już żadnej pozycji, pracował za grosze. Gdy inne dzieci grały na komputerach, Julia ze sporo starszą siostrą mogła sobie pograć w zapalki. Ustawiały kilka metrów od siebie but i należało tak rzucić paczkę, żeby wpadła do środka. Albo trzeba było przykłęknąć, przyłożyć łokieć do swojego kolana i postawić paczkę zapalek tam, gdzie sięgały palce, a potem, wciąż klęcząc, podnieść ją zębami, bez podpierania się rękami. W dziewięciu przypadkach na dziesięć kończyło się to upadkiem na nos. Julia prawie zawsze przegrywała, a Agnieszka nakrywała ją wtedy wielkim kraciastym kocem. „Teraz jesteś duchem i przez pięć minut siedzisz cicho” – rozkazywała.

Lecz nawet to się skończyło. Starsza siostra szybko wyprowadziła się z domu i Julka zupełnie jej nie obchodziła. W ogóle dziewczynka miała wrażenie, że nie wiadomo po co nosi ją świat. Z braku innych butów chodziła miesiącami do szkoły w białych lakierkach od komunii, które dzieci z sąsiedztwa z lubością przydeptywały. „Się nie zesraj” – krzyczały, gdy płakała lub próbowała się skarżyć dorosłym. Albo przypinały jej karteczkę z napisem 71830, bo jak się wpisało te cyfry na kalkulatorze i obróciło do góry nogami, to wychodziło wyzwisko. Na święta największą atrakcją i prezentem był organizowany przez dziadka występ pajacyka. To była płaska, papierowa marionetka, która poruszała się w niezrozumiały dla dziecka sposób, pod dyktando poleceń i uderzeń kija. „Nie chcesz tańczyć? No już, dawaj!” – groził staruszek, po czym pajacyk karnie zaczynał ruszać rękoma i nogami. Julia podchodziła, badała go i nijak nie mogła zrozumieć, co wprawiało go w ruch. „Może jednak ma duszę?” – powiedziała starszej siostrze. Agnieszka zaczęła się strasznie śmiać. „Ależ głupia jesteś. Przecież on jest umocowany na żyłce, którą dziadek najpierw rozciąga z boku, a potem uderza tym kijaszkiem. Taki on prawdziwy jak Święty Mikołaj – drwiła. – Wszystko jest manipulacją, Julka. Wszyscy oszukują. Wszyscy grają i trzeba tańczyć, jak nam zagrają, albo nauczyć się z nimi wygrywać”.

Julia się popłakała. „Nie rycz. Nie ma o co – strofowała ją Agnieszka. – Dalej, zakryj się, teraz jesteś duchem i przez pięć minut siedzisz cicho!”

Od tej pory Julka nie chciała już występów pajacyka. I wtedy dostała od dziadków chomika. Przyniosła go do szkoły, żeby się pochwalić. Przywiązała do niego sznurówkę, żeby się nie zgubił. Nawet nie zauważyła, gdy ktoś go udusił. Pobiegła potem zapłakana do szkolnej higienistki, domagając się reanimacji zwierzątka. Wtedy już nie tylko dzieci rechotały, ale i dorośli. Bieda.

Kochane zwierzaki były lepsze niż ludzie. Julia pamięta, jak kiedyś dziadek poszedł na targ z ich psem Kubusiem, a wrócił z parą pantofli. „A gdzie Kubuś?” – spytała babcia. „Na, tu masz Kubusia” – wskazał na pantofle. Coś za coś, tak było. Właśnie w tych pantoflach była później babcia, gdy wychodziła ze szpitala niedługo po słynnej powodzi tysiąclecia. Nie, nie trafiła tam wskutek żywiołu. Dostała udaru, z którego ledwo się wykaraskała. Leżała parę miesięcy w szpitalu, w otoczeniu obrazków świętych, różańców i modlitewników. Kiedy wreszcie wyszła, musiała wrócić do domu rodzinnego piechotą. Samochód ojca przepadł w powodzi. Wszyscy w rodzinie zajęci byli oczyszczaniem piwnicy i garażu po potopie. Dziesięcioletnia Julka próbowała rąbać meble, które do niczego już się nie nadawały. I wtedy babcia, jak relacjonowała, usłyszała głos, z głowy czy z nieba, w każdym razie nieznoszący sprzeciwu: „Idź zagraj w totolotka”.

Nigdy wcześniej tego nie robiła. Nawet nie wiedziała, jak wypełnia się kupony, i musiała jej pomóc sprzedawczyni z kolektury. Głos podał babci cyfry, które z niczym jej się nie kojarzyły: 3, 12, 19, 24, 25, 26. Dwa dni później z zapartym tchem oglądała w telewizji losowanie. Kupon trzymała w ręku Julia i nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Jedna po drugiej z bębna wyskakiwały kule z numerami zaznaczonymi przez babcię. Wygrali trzysta tysięcy złotych. Dziadek nie wierzył. „Głupi jesteście? Gównu wam dadzą, podatkami zabiorą” – krzyczał i machał rękami. „Daj spokój, tato. Podatki podatkami, ale nie mogą wszystkiego zabrać. Nie mogą już tak kłamać w oczy jak za starego systemu” – odpowiadał ojciec Julii. „No ty to coś o tym wiesz – odcinał się dziadek. – Tyle żeś w tej partii brylował i co z tego masz?”

Na szczęście babcia faktycznie wygrała, co postawiło na nogi całą rodzinę. Skończyły się czasy, gdy Julia była pośmiewiskiem na osiedlu. Nawet, gdy w szkole zdarzało się jej palnąć bzdurę – na przykład podczas dyktanda zamiast „mózg” napisała „musk” (o Elonie jeszcze nikt nie słyszał, skojarzyło się jej z muśnięciem)

– żaden kolega nie ważył się jej szykanować. Nikt nie wiedział, że pieniądze już niedługo przepuszczone zostaną przez rodzinę na giełdzie. A właściwie przez ojca Julii, który postanowił zostać inwestorem. Tyle że praktycznie zbankrutował, a pozostałą część kasy przytuliła starsza siostra Julii, Agnieszka, wiecznie planująca biznes życia, podczas gdy rodzina sobie nie radziła. „I pierdoli, i pierdoli, srali muchy, idzie wiosna, trawa będzie rosła” – narzekała babcia, gdy ojciec Julii zapewniał, że już niedługo się odkują, bo „zdaniem analityków ma nastąpić poprawa koniunktury”.

Nie nastąpiła, a nastoletnia Julia zaczęła mieć nocą dziwne wizyty. Pojawiał się jej przed oczami migający, kraciasty trójkąt. W rytm jego pulsowania Julia słyszała w głowie głos: „Co, myślałaś sobie, że wyszłaś już z biedy? Nie, wrócisz do niej znowu” albo: „71830, tym jesteś. Zapamiętaj ten numer”. Cokolwiek Julii się udało, przed snem nawiedzał ją mówiący trójkąt i narzekał. Gdy dziewczynce przytrafiały się niepowodzenia, strofował ją jeszcze okrutniej.

Nazwała go Krytykantem.

Często widziała go przed studiami. Potem, gdy wyjechała z Wrocławia i zaczęła nowe życie, zniknął. Myślała sobie, że to był jej daimonion, głos wewnętrzny, o którym mówił Sokrates. Nie zgadzało się tylko to, co mówił. Dlaczego ją krzywdził? Tak zachowywał się demon z horroru, zły duch, a nie wewnętrzny głos z dywagacji filozofa. Na szczęście Krytykant znikł, więc nie było czego rozważać. Różnie bywało, często Julia i Roman mieli pod górę, jednak mówiący trójkąt się nie pojawiał.

Zastanawiała się, skąd się wziął. Pewnego razu, gdy przeglądała stare zdjęcia, skojarzyła go z własnym dziecięcym kocykiem. Z tym samym, którym miała się nakrywać i udawać ducha, gdy przegrywała z Agnieszką. Miał bardzo podobne, jaskrawe kolory, był kraciasty. Także dziadkowie i rodzice czasem przykrywali Julkę tym kocykiem aż po czubek głowy. Nie tylko na spacerach, gdy na dworze było zimno. Także w domu, gdy chcieli, żeby spała i im nie przeszkadzała. Słyszała zza tego kocyka rodzinne kłótnie i pretensje. Nawet, gdy nie miała pojęcia, o co te spory się toczą – politykę, pieniądze, obowiązki domowe, miłość lub nienawiść – czuła, że nic dobrego z nich nie wynika. Może dlatego Krytykant jej potem towarzyszył. Jako złe wspomnienie, smutny symbol braku bezpieczeństwa i stabilizacji?

„Jakie szczęście, że zniknął” – mówiła sobie, a z czasem o komentującym trójkącie niemal zapomniała. Ostatnio bała się, że Krytykant znów się pojawi, gdy ciężko przechodziła covid. I potem, gdy Rosja zaatakowała Ukrainę, a Julii wydawało się, że cały świat znalazł się na skraju katastrofy.

Lecz Krytykant wtedy milczał. Wrócił dziś. Gdy Roman użył słowa „krytykantka”, przed oczami Julii rozbłysnął znajomy, zapomniany upiorny kształt. To na niego patrzyła jak zahipnotyzowana. Czekwała ze strachem, co powie. Szykowała się na to jak na uderzenie.

Krytykant milczał, jakby zbierał się do zadania nokautującego ciosu.

– Kochanie, pomóż – wytrącił ją z transu głos Romana.

Trójkąt momentalnie zniknął. Strach jednak pozostał.

– Sprawdź, jak to się trzyma – prosi Julię Roman, stukając palcem w korkową tablicę w oknie. – Ja muszę znowu do ubikacji – wyjaśnia przeproszającym tonem, chyba lekko zawstydzony. Nawet nie spogląda na Alex, jakby było to dla niego aż tak bardzo krępujące.

Wychodząc z salonu, zatrzaskuje cicho drzwi. Zanim pójdzie do łazienki, pobiegnie jeszcze na strych po dubeltówkę. W głowie kotłują mu się pytania bez odpowiedzi: „Czy ten konar był podpiłowany?”, „Może ktoś chciał się włamać i wykraść plany »Minotaura«?”, „A może ktoś chciał je zniszczyć, narobić im kłopotów?”, „Co może mieć z tym wspólnego ten chłopczyk, o którym wspominała Alex?”, „Może celowo opowiedziała o nim tak późno?”, „Czy nie powinienem teraz wyjść na zewnątrz – pomimo deszczu i wiatru – i sprawdzić, czy nikt się nie kręci wokół domu?”.

Roman czuje ucisk w żołądku. Podejrzewa, że oplata go pajęczna sieć jakiejś intrygi, o której sensie i celu nie ma jeszcze pojęcia.

GODZINA 22:51

Janina Byś odkłada kolejną książkę na piętrzącą się stertę lektur „oczekujących”, które trzyma na specjalnej szafce. Część jest po polsku, część po angielsku. Grube tomy w twardych obwolutach – naukowe. Lżejsze, z cienkimi okładkami – najczęściej kryminały. Gdzieś pomiędzy nimi znajdują się książki, które z grubsza można uznać za rozliczenia z tym, jak w przeszłości traktowano kobiety: o pojedynku o życie Marguerite de Carrouges, o sprawie Joanny d’Arc, o czarownicach w Polsce, o procesach z Salem. Janina jest bardzo czuła na tym punkcie.

Przed położeniem się do łóżka zerka na swój ulubiony zegar – w stylu prowansalskim, z wymalowanymi na cyferblacie gałązkami lawendy. To prezent od Alex. Janinie jest trochę głupio, że lubi swoją chrześniaczkę bardziej niż dzieci rodzonego brata. Może dlatego, że on i jego życiowa partnerka niemal zupełnie się od Janiny odseparowali.

Przede wszystkim dali się w zupełności pochłonąć biznesowi, który założyli. Janina to rozumie: sama nieraz otarła się o pracoholizm, bo przecież jako młoda aspirująca absolwentka medycyny musiała przeżyć i przebić się w trudnych latach dziewięćdziesiątych. W czasach, gdy ówczesni menedżerowie (do dziś obejmujący intratne posadki) traktowali ludzi jak gówno, nieomal jak niewolników. Jednak teraz, z perspektywy lat, Janina już wie, że w robocie trzeba zachować jakiś umiar. „Jasiek sam taki nie jest, to ta babka wciągnęła go do wszystkich swoich szalonych projektów. Zbyt dużo nowych rzeczy musiał się nauczyć, zbyt wiele starych zapomnieć” – tłumaczy lojalnie brata.

Pracoholizm to jedno, a drugie to odległość. Przeprowadzili się do jakiejś głuszy, w głębi Mazur. Janina nawet nigdy u nich nie była. Zapraszali ją, aczkolwiek niemrawo, jakby bez przekonania. Ponoć mają tam ogromny teren, nadający się do przeprowadzania ich eksperymentów, do sprawdzania prototypów kolejnych urządzeń. „Jak oni dzieci tam edukują? Wychowają ich na jakichś małych dzikusów – utyskuje Janina. – Na szczęście Alex taka nie jest. Ma olej w głowie i wie, że pracy nie można się całkowicie poświęcać. No chyba że jest się Marią Skłodowską-Curie, wtedy można nawet umrzeć na chorobę popromienną. Ale nie każdemu trafiają się dwa Noble”.

Kiedyś Janina użyła tego argumentu na jednym z urodzinowych przyjęć małej Alex, na którym pojawił się też Wojtek – znajomy z dzieciństwa, który w latach osiemdziesiątych podkochiwał się w dziewiętnastoletniej Jance. Wpatrywał się w nią jak w obraz, mimo że był

kilka lat młodszy. A może właśnie z tego powodu wlepił w nią gały na ulicy, w kinie i kawiarni? Miała już wtedy dojrzałe kobiece kształty, podczas gdy koleżanki Wojtka z klasy wciąż wyglądały jak dzieci. Lecz teraz, po latach, po dawnej fascynacji Janką nie było już śladu. Wojtek wolał kobiety przynajmniej dziesięć lat od siebie młodsze – nie o kilka lat starsze, jak doktor Janina Byś. Wolał koleżanki z Instagrama swoich młodszych sióstr.

„Może niedługo w ogóle zaczniesz uderzać do dziewcząt, dla których mógłby być ojcem?” – szydziła Janina, gdy spotkali się na siedemnastych urodzinach Alex. I tym gorliwiej przekonywała swoją córkę chrzestną, by nie poświęcała się zbyt dużo pracy, ani karierze, ani miłości. Koniec końców wszystko rdzewieje. Dlatego trzeba się bawić, póki można. Carpe diem.

Janina bardzo by się zdziwiła, gdyby zobaczyła, co teraz robi Alex, zamiast odpoczywać i szykować się do świętowania.

ROZDZIAŁ 12

PRZED PÓŁNOCĄ

Alex ma nietęgą minę. Wygląda tak, jakby wydarzenia ostatnich godzin odebrały jej pewność siebie. Nie wydaje się już rzutką mediaworkerką przyslaną z popularnego portalu. Ani trzeźwo myślącą, utalentowaną dziesiętnastolatką, która wie, czego chce. W jej oczach widać niepewność, wręcz lęk. Ociąga się z powrotem na poddasze, jakby nie czuła się tam bezpieczna. Julia, choć sama przybita wypadkiem z drzewem, od razu to zauważa. Sama aż za dobrze wie, czym jest lęk.

– Pójdę z tobą na górę – proponuje. – Zobaczymy, czy tam wszystko w porządku z dachem i oknem. Poczekaj tylko chwilę, muszę sprawdzić, gdzie Roman wsadził te nasze powerbanki...

– Nie, nie trzeba – zapewnia Alex, aczkolwiek dość mało przekonująco.

– Może i nie trzeba, ale sprawdzić warto – odpowiada Julia, krzątając się dookoła. – Zresztą, pal licho powerbanki, idziemy.

– Zostawiłam tam po sobie straszny bałagan. Będzie mi głupio.

– Większy bałagan niż mamy teraz w tak zwanym salonie? Dobrze to przemyślałaś? – pyta ironicznie Julia. – No, widzę, że nie. Chodźmy na górę.

Wspinają się schodkami, które skrzypią bardziej niż zwykle. A może to wina glanów Alex i drewniaków Julii. Przez chwilę obie zerkają na zmianę na swoje buty i zaczynają chichotać.

– Nie mogę uwierzyć, że jest ci wygodnie w takich trepach – mówi Julia.

– Z ust mi to wyjęłaś – odpowiada Alex.

– Serio? Naprawdę uważasz, że moje chodaki są gorsze od twoich glanów?

– Tak, bo wyglądają, jakby trzeba było się starać, żeby nie spadły z nóg.

– Nic podobnego – zapewnia Julia. – Są arcywygodne. A na dodatek śliczne. Ten motyw z kwitnącymi japońskimi wiśniami jest jak z tego słynnego obrazu van Gogha, wiesz...

– Wiem, tylko on namalował kwitnący migdałowiec, nie wiśnie.

– O w pinezkę, nie wiedziałam. – Julia zatrzymuje się na szczycie schodów i poprawia okulary.

– Ja też, dopóki nie wsiąkałam w różne japońskie klimaty.

– Byłaś tam?

– A skąd. Ale chciałabym. Dlatego pracuję w takim, a nie innym portalu. I przyjmuję takie wyzwania jak wywiad z wami – odpowiada Alex. Zastanawia się nawet, czy nie nazbyt szczerze, ale co tam...

– I bardzo dobrze – przytakuje Julia. – Cieszę się, że trafiliśmy właśnie na ciebie, a nie na kogoś innego, zainteresowanego tylko plotkami i skandalami.

– Miło mi to słyszeć – odpowiada Alex i z lekkim niepokojem rozgląda się po strychu, jakby spodziewała się wypatrzeć wśród pudeł, półek i poduszek jakiegoś intruza.

Julia też wodzi wzrokiem po poddaszu, mija bez słowa skotłowany na materacu śpiwór, rozwalone kartony z książkami, aż jej wzrok zatrzymuje się na laptopie.

– O, widzę, że na klapie masz odpowiedni japoński wzór – wskazuje na komputer z nalepką z wielkimi japońskimi znakami, zza których wylania się rysunkowy kadr: twarz chłopaka z fryzurą przypominającą Beatlesów, a obok monstrualna facjata demona, wyglądającego jak krzyżówka Jokera, Kruka i Sandmana.

– A, to serial anime. „Notatnik śmierci” – rzuca Alex, wciąż taksując wzrokiem wszystkie zakamarki poddasza.

– Aha – chrząknęła Julia, jakby tytuł nic jej nie mówił. – Ja sobie odświeżyłam podczas pandemii filmy ze studia Ghibli. No wiesz: „Księżniczkę Mononoke”, „Podniebny zamek”...

Alex robi enigmatyczną minę, godną sfinksa. Tymczasem Julia wymienia dalej:

– I jeszcze „Mój sąsiad Totoro”, i oczywiście „Spirited Away: W krainie bogów”...

– wylicza na palcach, aż w końcu orientuje się, że tytuły te nic nie mówią jej rozmówcy, albo mówią niewiele.

– No tak, to już klasyka anime – chrząka Alex z zakłopotaniem. – Ja wybieram trochę młodsze rzeczy. Nowe pomysły, trochę inna grafika i tak dalej.

Teraz to Julia chrząka z zakłopotaniem.

– No dobra, co my tu mamy? – zmienia temat, podnosi głowę i rozgląda się po suficie. – Wygląda na to, że nic nie przecieka. Okno szczelne, żadna gałąź go nie wybiła, na szczęście.

– Na szczęście, bo woda mogłaby tutaj uszkodzić parę rzeczy – Alex pokazuje na kartony. – Przepraszam, że tak nabałaganiałam i zostawiłam, ale trochę się przestraszyłam, gdy zgasło wtedy światło.

– Zdarza się. – Julia gładzi ją po plecach. – Nawet najlepszym...

– Czy to możliwe – wchodzi jej w słowo Alex – że tutaj są jakieś myszy albo szczury?

– Raczej nie – odpowiada zdziwiona Julia. – A zobaczyłaś lub usłyszałaś jakieś?

– Nie jestem pewna. W ciemności coś przebiegło mi po stopie.

– Poczulaś to przez but? To musiałby być istny król szczurów.

– Nie, buty miałam wtedy zdjęte.

– Hm... Trzeba byłoby zapytać mojego Romeo – stwierdza Julia. – Domek był wysprzątnany na błysk. Roman łaził tu i sprawdzał, czy nie ma pajaków i innego robactwa. Był zadowolony, więc zakładam, że skoro nie wypatrzył małych potworów, to tym bardziej tych większych. A może kuna zamieszkała tu na dachu, wlaźła na strych przez okno, gdy wietrzyliśmy poddasze, i teraz gdzieś się chowa w jakimś zakamarku?

– Może – odpowiada Alex, a minę wciąż ma niepewną.

– A może to tamten kocur ożył? – Julia wskazuje na skulonego wypchanego rysia. Alex aż się wzdryga. – Wiem, słaby żart – przeprasza Falk. – Ale paskudztwo. Jak mogli zostawić coś takiego na wierzchu? Schowajmy to okropieństwo do pudła. Wolę już tam postawić jakieś bibeloty.

Julia rozgląda się i dopiero zauważa, że nad półką ze zwierzątkami wykonanymi z kasztanów i żołądzi najwyraźniej czegoś brakuje. Wisiała tam strzelba. Spogląda pytająco na Alex, a potem szybko odwraca wzrok. „To chyba nie ona, tylko Roman. A może lepiej to na wszelki wypadek sprawdzić, skoro jest taka bojaźliwa?”

– Słuchaj, pomogę ci trochę z tymi kartonami – proponuje.

- Dziękuję, nie ma sensu. I tak zaraz idę spać – odpowiada Alex.
- Tym bardziej trzeba upakować te książki i sprawdzić w pozostałych, czy nie czai się tam gdzieś kuna.
- Mówisz poważnie z tą kuną? – waha się Alex.
- Ja nie wierzę, żeby tu coś było, ale na pewno poczujesz się lepiej, gdy to sprawdzimy, nie?
- No, okej – przyznaje Alex i obie przybijają żółwika.
- Na szczęście żółwiki nie przenoszą już covida – rzuca żartem Julia. Obie wybuchają głośnym śmiechem.

Roman gasi światła na dole i wygląda uważnie na zewnątrz przez każde okno. Tyle że niczego nie widzi. Na zewnątrz nie ma światła, a szyby pokryte są kroplami deszczu. Wtedy Falk zaczyna nasłuchiwać. Najpierw w salonie, przy oknie zabitym korkową płytą. Potem w kuchni.

Lecz nic nie przebija się przez szum wiatru. W końcu i on słabnie, a krople deszczu spływają w dół szyb. Pogoda najwyraźniej się uspokaja. Roman wypija resztkę wina z butelki. Chyba będzie już tej nocy spokój. Oby.

– Kuku, kuku! – wrzeszczy nagle drewniany ptak nad głową Romana. Falk aż podskakuje i omal nie uderza głową w kuchenną szafkę. „Kuźwa, czy ta kukułka naprawdę musi wyskakiwać co godzinę?” – myśli poirytowany. Wręcz wściekły, że dał się tak głupio i łatwo przestraszyć.

Potem dochodzą do niego śmiechy z poddasza. „Co te dziewczyny właściwie tam robią? Dziewczyny? Kobiety!” Przez głowę przechodzi mu jeszcze inna, głupia, ale natarczywa myśl. Może Alex wcale nie jest tym, kim się wydaje? Może źle ocenił sytuację? Nie za dobrze tam się bawią na górze, bez niego?

„Alex, kim ty naprawdę jesteś? Menedżerka wybrała cię do wywiadu tak po prostu? Naprawdę masz tylko dziewiętnaście lat i żadnych planów wobec nas?” – zastanawia się Roman, a skóra pod brodą swędzi go tak mocno, że rozdrapuje ją aż do krwi.

Jeśli chcą schować paskudnego rysia, to muszą wcześniej coś wyjąć z kartonów. Może po prostu upchać go do jednego z pudeł po książkach, a stare tomy ustawić na półce? Tyle że pudła książkowe są za małe na zwierzaka, nie zmieści się. Julia rozważa różne możliwości – mimochodem dyskretnie sprawdzając, gdzie podziła się dubeltówka – aż w końcu zagląda do malowanej skrzyni pod kominem. Broni nie znajduje, tylko jakiś stary aparat telefoniczny. Poza tym sporo tam miejsca.

– Dobra, tutaj będziesz miał nowe legowisko – oznajmia, wpychając biednego starego kocura do kufra. Zatrząskuje nad nim wieko, a potem z dumą strząsa z dłoni niewidzialny kurz, jak po dobrze wykonanej robocie.

Teraz na półkę zwolnioną przez rysia mogą powędrować stare książki.

– No chyba że jeszcze będziesz ich potrzebować jako siedziska do komputera jutro rano? – zwraca się do Alex.

– W sumie to niewykluczone – odpowiada mediaworkerka z lekkim zakłopotaniem. – Tylko nie chciałabym powodować kolejnych problemów...

– Żaden kłopot – uspokaja ją Falk. – Jesteś naszym gościem, należy ci się chociaż odrobina komfortu.

– To poddasze w sumie jest bardzo fajne, tylko odrobinę ciasne przez te wszystkie bambetle dookoła – zwraca uwagę Alex.

– Ech, jesteś zbyt miła. To po prostu skład pudeł i staroci. Przynajmniej w takiej formie. Ale zaraz coś na to poradzimy. Skoro kocur poszedł do skrzyni, a książki potrzebują nowych kartonów, bo stare się rozleciały, to na półkę przeflancujemy zawartość innych pudeł. Co my tam mamy? – Julia zaczyna sprawdzać je po kolei, tak jak wcześniej Roman.

– Naczynia i sztuce albo obrazki i fotografie – mówi Alex, zaglądając Julii przez ramię.

– No to trzeba wyciągnąć trochę tych drugich. Chodź, zobaczymy, co się nadaje, żeby tam postawić – rzuca propozycję Julia, przesuwając pudła w stronę materaca. Robi to jednak tak niezgrabnie, że się potyka, a próbując złapać straconą równowagę, chwyta za koszulę Alex. Niczym w slapstickowej komedii obie balansują chwilę, każda na jednej nodze, po czym padają w plątaninę poduszek, części śpiwora i sflaczałego materaca.

Po raz kolejny wybuchają śmiechem, od którego aż trzęsą się ściany.

Roman schodzi do piwnicy. Sufit jest tam tak niski, że musi chodzić w kucki, a korytarz tak ciasny, że nie może rozprostować ramion. Na dole jest jednak wszystko, czego potrzebuje. Są najważniejsze narzędzia do ewentualnych napraw. Są bezpieczniki od instalacji elektrycznej. Jest mała kontrabanda, z której Julia nie byłaby zadowolona. I dubeltówka, którą zawiesił w pionowej metalowej szafce, przeznaczonej na roboczy drelich i gumiaki.

Nawet tutaj Roman słyszy, jak Julia i Alex dobrze bawią się bez niego. W ogóle nie jest im potrzebny. A może uważają, że Roman sam wysprząta pokój z „Minotaurem”? Bo przecież jutro muszą w nim znów pracować, gra sama nie powstanie. Warto byłoby także poinformować właścicieli, co się stało. Czyli trzeba skontaktować się z siostrą Julii – najlepiej rano, gdy przybędzie Marylka z wypiekami. To także jego działka? Jasne, przyjazdu Marylki nikt nie przyspieszy, ale żona nie zamieniła z nim ani słowa na ten temat. Ona woli siedzieć na górze z Alex przez iks.

Roman wie, że chandra dopada go nie tylko przez serię denerwujących zdarzeń w ich rajskim domku na Mazurach. Musi chodzić o coś więcej, skoro tak go nosi. Czy jest w stanie to przyznać? Czy skręca go zazdrość, czy może ma mdłości po kolacji? Lecz z winem przecież nie przesadził, bo wypili wspólnie ledwie butelkę – to tyle co nic. Może powinien po prostu demonstracyjnie pójść spać i niczym już się nie przejmować?

Ma małą tajemnicę: ukrytego w piwnicy skręta z zapalniczką. Wyjmuje je ze schowka, jaki zaimprovizował w gumiaku. Tu nie będzie palił, Julia natychmiast wyczuje. Chowa swoją kontrabandę do szerokiej kieszeni na udzie ogrodniczek, zamykanej na zamek błyskawiczny. Będzie tam czekała na odpowiedni moment.

Czuje delikatne wibrowanie w tylnej kieszeni spodni. To pewnie sygnał, że bateria komórki jest już na wykończeniu. Wyjmuje telefon, jakby chciał sprawdzić, czy o to właśnie chodzi. Powinien ją podładować. Nigdzie z niej nie zadzwoni i nie skorzysta z Internetu, ale nadal służy mu jako zegarek, latarka i aparat fotograficzny. „Powiniennem był sfotografować ten bajzel w pokoju z »Minotaurem«. Miną lata, a będziemy to wspominać” – mruczy pod nosem. Może jeszcze nie jest za późno? Wprawdzie doprowadzili już pokój do jakiego takiego porządku, ale nadal wygląda, jakby przeszło przezeń tornado.

Roman wraca na górę i przechodzi do salonu. Włącza światło i robi kilka zdjęć. Potem sprawdza, czy się udały. Wyglądają miernie i mizernie, ale zawsze to jakaś dokumentacja wydarzenia, o którym długo nie zapomną. Nie może znaleźć nigdzie plecaczka Julii, w którym zostawił powerbank, więc podłącza komórkę kablem do ładowarki w kontakcie i przysiada. Przejrzy aparat, nim trochę się podładuje.

Roman wyświetla zdjęcia z popołudnia, znajdujące się w katalogu Galeria.

I wtedy dostrzega coś dziwnego, wręcz niepokojącego. Przeciera oczy ze zdumienia.

Julia i Alex siedzą na materacu i wyjmują z kartonów jeden obrazek za drugim, fotografię za fotografią. Większość to mazurskie pejzaże – trochę nijakie, słabej jakości. W sumie nic dziwnego, bo są dość stare. Nie zmienia to jednak faktu, że wieje od nich nudą.

– Nieważne – stwierdza Julia. – Wezmę na półkę cokolwiek, byle miało ramki i mogło stać.

– O, to jest fajne – Alex podaje jej ramkę z obrazkiem. Za szkłem znajduje się zasuszona gałązka. Wygląda jak zwyczajna paproć, ale z dziwnym kwiatostanem. – Myślisz, że prawdziwe?

Julia ogląda osobliwą roślinę, potem odwraca ramkę. Widać tam jakiś napis, nabazgrany ołówkiem: „Kwiat paproci, 1950”.

– Aha, czyli ktoś sobie stworzył takie cudo. Złożył z innych roślin. No chyba że bajki nie kłamią i kwiat paproci istnieje – mruczy. – Ale ładne, bardzo ładne.

– Nada się? – pyta Alex.

– No pewnie. Tyle że przydałoby się, żeby całe pudło pełne było takich małych skarbów.

– No to szukamy dalej. – Alex wyciąga z kartonu kolejne eksponaty. Zdjęcia ludzi nad wodą, ale same dalekie plany. Czarne i białe łabędzie pióra, zamknięte za szybką. Ładne. Grafiki jakby wykonane ręką dziecka (a może żył tu jakiś miejscowy Nikifor?). Grupa osób wyglądających jak widma, pod nimi napis „Zimni biali ludzie”. Podobna do żaby sylwetka wynurzająca się z wody, z umieszczonym wśród fal słowem „Topich”. Dziwny krasnal wydostający się z otwartych

ludzkich ust, opatrzony podpisem „Kautek”. Kot sypiący z sierści iskrami, podpisany jako „Kłobuk”. Ręka wystająca z bagna, nad którym wirują dziwne światła, z wypisanym ostrzeżeniem „Uważaj na ogniki i bagiennika”.

– Cała upiorna seria – komentuje Alex.

– Trochę straszne, ale śmiało postawię je na półce. Niezła kolekcja. Co tam jeszcze masz?

– Arkusz papieru z jakimś wierszem. Wygląda na gruby, ma u góry dziurę, jakby wisiał na ścianie. Może to była część kalendarza. – Obie pochylają się nad pożółkłą stroną.

– Na szczęście po polsku, a nie po niemiecku, gotykiem – mruczy Julia. – Jezu, czytasz to, Alex? – dodaje po chwili, zaskoczona treścią wiersza.

A z porana w niedziele

Posła panna na ziele.

Na zielicka drobnego

Do ogródka swojego.

I posła wianki wić,

A o Bogu nie myśleć.

Zajechał jej z Rusi pan,

Z piekła rodem satan.

„Dobry dzień, dziewecka,

Cwora dziątek matecka”.

Pan Bóg zapłać ci, panie,

Z piekła rodem satanie.

„Po cem tyś mie poznała,

Coś mię takim nazwała?”

Po koniku wronym,

Po siodelku smolonem.

*„Stąpaj, dziewcyno, na kenień,
Z kenienia na mój koń.
Otwórz, bracie, nowy dwór,
Joze panne na wybór”.*

*Co ta panna działała,
Co się tutaj dostała?
„Cworo dziątek straciła,
A o piatem myśliła.*

*Jedno leży pod krusko,
Zadusone podusko.
Drugie leży pod miedzo,
O tem ludzie nie wiedzą.
Trzeciem świnie karmiła,
A czwarte w piecu spaliła”.*^[6]

Kiedy obie docierają do końca, odkładają kartkę bez słowa, z lekkim niesmakiem. Najwyraźniej trudno im w jakikolwiek sposób to skomentować.

– To wszystko? – pyta cicho Julia.

– Prawie. Jest jeszcze jedna, ostatnia ramka.

– Jakiś kolejny wiersz? A nie, tekst plus obrazek. Wygląda jak artykuł wycięty z gazety...

– I to jaki obrazek. Poznajesz ten dom? – Alex palcem wskazuje przez szkło na nieco już wyblakłą grafikę, zajmującą pół wycinka.

– O, nasza chata. Niewiele się zmieniła. Tylko wokół niej... Serio? – wzdycha Julia.

Nie ma wątpliwości, że wokół domu narysowane są cztery groby. Niewielkie mogiły z krzywo, jakby niedbale ustawionymi krzyżami. Pomiędzy nimi

przechadza się przygarbiona postać w sukni. Za nią sunie krępy mężczyzna.
W rękach trzyma siekierę.

GODZINA 23:30

Agnieszka zerka z niepokojem na dzwoniącą komórkę. 23:30. Kto, u licha, zawraca jej głowę tuż przed północą? Na wyświetlaczu pojawia się głowa starej kobieciny z koszem grzybów i podpisem „Helcia”.

– Słucham? – pyta Orbik z niepokojem w głosie. – Co pani mówi? Zagrożenie dla życia? I co teraz pani z tym zrobi? Co my zrobimy, pyta pani? A co ja w tej chwili mogę? Przecież tam nie pojadę...

Przez kilkanaście sekund kiwa głową, wsłuchując się w monolog po drugiej stronie. Kilkakrotnie otwiera usta, żeby coś wtrącić, jednakże nie jest w stanie się przebić przez ścianę dźwięku, jaką tworzy trajkotanie staruszki. W końcu Agnieszce się udaje.

– Też tak myślę. Skoro covid nie zabił, to i teraz skończy się na strachu – stwierdza i kończy rozmowę.

Wysiada z windy apartamentowca, który na desce projektanta najwyraźniej miał nawiązywać do twórczości Gaudiego, a w rzeczywistości wygląda jak kiczowaty tort przykryty plastikowym kloszem. Agnieszka jest na poziomie garażu. Gdzieś tu stoi jej lexus, tylko że Orbik – niby taka perfekcjonistka – nigdy nie pamięta gdzie. Asfalt chrzęści pod jej szpilkami, jakby posypany był piaskiem albo pokruszonym szkłem.

– Mogliby zamontować więcej świateł – mamrocze pod nosem.

Gdy wydaje się jej, że słyszy za sobą jakieś kroki, odwraca się gwałtownie. Lecz to tylko jakieś niepozorne zwierzę przemknęło między autami. Duży szczur albo mały kot. Do eleganckiego apartamentowca pasowałby raczej ten drugi, ale kto wie... Może czas porozmawiać z administracją. Byle trutek nie rozkładali, bo komuś „ciulała” zdechnie.

Wsiada do auta pachnącego jeszcze skórą tapicerki. Włącza „Je t’aime... moi non plus” Serge’a Gainsbourga i Jane Birkin. Na siedzeniu obok stawia swoją torbę w stylu Hermes Birkin. Nawet wygląda tego wieczoru jak dojrzała Jane (tyle że z jasnymi włosami). U niej też duże dziewczęce oczy z wiekiem zrobiły się wąskie, aczkolwiek pozostały wesole. Najważniejsze, że usta wciąż ma zmysłowe.

ROZDZIAŁ 13

TROPY

– To jakiś żart? – Julia zerka na Alex.

– Jeśli już, to nie mój.

– Nie to miałam na myśli, wybacz – wycofuje się Falk. – Jeśli ktoś miałby przygotować tutaj taki żarcik dla mnie, to moja siostrzyczka. Tylko dlaczego chowałaby to zdjęcie do pudła, gdzie mogłam go nie znaleźć? – pyta i patrzy uważnie na Alex.

– Zdefiniuj, co masz na myśli, mówiąc „żart” – słyszy w odpowiedzi.

– Kawał. Żeby mnie przestraszyć. Ona wie, że... czasem działają na mnie takie rzeczy.

– Czyli ten artykuł w ramce to jakiś fejk? To masz na myśli? Czy może artykuł jest prawdziwy, ale podrzucenie go tutaj to makabryczny żart? – zaczyna rozważać Alex.

– Naprawdę... Nie wiem, co o tym sądzić – wzdycha ciężko Julia.

– Ciekawe, o czym mówi tekst wokół obrazka. Z tego, co widzę, jest po niemiecku – Alex wskazuje niezrozumiałe zdania.

– Przetłumaczysz?

– Nie znam, niestety. – Mediaworkerka wpatruje się w artykuł, jakby próbowała wyszukać w nim jakiegokolwiek słowo, które zrozumie.

– W pinezkę. A sądziłam, że każdy na Mazurach zna. Zwłaszcza gdy interesuje się historią – mówi Julia i zaraz zastrzega: – Nie potraktuj tego, Boże broń, jak jakiś przytyk.

Alex jest odporna na takie uwagi.

– Uczyłam się angielskiego i trochę japońskiego, na niemiecki nie miałam już czasu – odpowiada, nie odrywając wzrok od artykułu. – Widzę tylko, że to musi być

o waszym uroczysku, bo w tytule pojawia się Upierz, a raczej U-p-i-e-r-t-z – literuje głośno.

– Nie jestem zaskoczona. – Julia pochyła się nad ramką, a tymczasem Alex dostrzega kolejne rzeczy.

– Spójrz, to wygląda jak tylko fragment, bo artykuł na stronie zaczyna się wprawdzie od tytułu, ale tekst nie kończy się kropką, tylko słowem „und”, czyli „i”, więc na pewno jest ciąg dalszy.

– Aha. – Julia zdejmuje okulary i przeciera je rękawem. – Może jest coś po drugiej stronie?

Alex podważa paznokciem kartonowe dno ramki i próbuje wyciągnąć kartkę, ale się nie udaje.

– Nie wiem, jak to zrobić, żeby nie uszkodzić całości. Ta kartka jest cienka i wygląda, jakby przykleiła się do tej szybki od ramki.

– To oderwijmy ten karton albo stłuczmy szybkę – radzi Julia. – Przecież i tak nikt nie zwróci na to uwagi.

Alex znajduje jednak inny sposób: zagląda między odchylony karton i kartkę.

– Patrz, teraz widać stronę z tyłu. – Wskazuje palcem.

– Faktycznie. Ale tu nie ma wydrukowanego tekstu, tylko jest jakaś mapa.

– No to kłops. – Alex robi kwaśną minę.

– Najwyraźniej dokończenie artykułu było w innej części gazety. A nie wiemy nawet, jakie to czasopismo, z którego roku, który numer... – myśli na głos Julia. – Ale właściwie o czym mogą tu pisać, jeśli opatrzyli artykuł taką ilustracją rodem z horroru?

– Nie mam pojęcia. Szkoda, że nie potrafię zrozumieć nawet tytułu – ubolewa Alex.

– Możemy przeszukać kartony, a nuż któraś z tych książek to słownik? – proponuje Julia, podnosząc się z kolan.

– To nie będzie potrzebne – powstrzymuje ją Alex. – W moim kompie jest zainstalowany tłumacz niemiecko-polski.

– Ale przepisywanie tekstu potrwa ze dwie godziny, a i tak nie ustrzeżemy się błędów, bo nie znamy niemieckiego.

– Nie przejmuj się. – Zadowolona Alex zaciera ręce. – Są przecież aplikacje, które odczytują tekst ze zdjęć. Sfotografuję ten artykuł, wrzucę na lapka i gotowe.

– Przecież nie mamy Internetu, skąd weźmiesz tę aplikację?

– Ją też mam zainstalowaną. Przydawała się podczas wizyt w bibliotece uniwersyteckiej.

– A w ogóle nie chwaliłaś się, że studiujesz. Mówiłaś o grach, escape roomach, a o tym nie – dziwi się Julia.

– Tylko zaocznie, nie ma o czym mówić. – Alex wyjmuje komórkę i stara się tak sfotografować tekst w ramce, by nie padał na niego cień i od szybki nie odbijało się światło. Mruczy coś pod nosem, bo okazuje się to niełatwym zadaniem.

– A powiesz chociaż, co takiego studiujesz? Chyba nie polonistykę, jak my kiedyś? – wykrzywia usta Falk.

– Nie, nie. Dziennikarstwo, oczywiście.

– Jeszcze jest taki kierunek? W dzisiejszych czasach, gdy dziennikarstwo umiera? Opłaca się? – dziwi się Julia.

– Zobaczmy. Przynajmniej nawiążę znajomości, porozglądam się, będę miała wtyki... – odpowiada Alex, bardziej skupiona na sprawdzaniu, czy fotka jest wystarczająco ostra. – No dobra, teraz czas przerzucić to na lapka – oznajmia, po czym zaczyna rozglądać się za ładowarką. – Gdzie ja to znowu posiałam?

Julia, jakby czytając jej w myślach, wygrzebuje spod śpiwora biały kabelek.

Alex podnosi klapę laptopa i wpisuje hasło. Julii wydaje się, że zauważyła, co to za słowo. Nabiera pewności, gdy widzi, jaki obrazek pojawia się na desktopie komputera. Ekstrawagancko ubrani Catherine Deneuve i David Bowie, między nimi napis „The Hunger 1983”, a w tle rockowy zespół zamknięty w klatce. Wokalista wygląda trochę jak demon z klapy laptopa, który którego wcześniej Julia wzięła za hybrydę Jokera, Sandmana i Kruka.

– Lubisz popkulturę z lat osiemdziesiątych? – pyta Julia, gdy Alex przerzuca zdjęcie z niemieckim tekstem.

– To zależy. Raczej tę z pierwszej połowy, bo potem było już głównie Europe, Bon Jovi i filmy o japiszonach.

– O japiszonach? Ktoś jeszcze pamięta to słowo? – dziwi się Julia.

– Tak. Moi rodzice. Nie znoszą waśniaków w garniturach, maklerów i banksterów.

– Ostatnio chyba znów wróciła moda na lata osiemdziesiąte, nie? – dopytuje Falk, wciąż zerkając rozmówczyni przez ramię. – „Stranger Things”, Kate Bush i tak dalej. Zdziwiałe.

– No – przyznaje Alex. – Ale zdziwiałe też, jak bardzo przekłamany jest wizerunek tamtych lat. Niektórzy wierzą, że w pokojach wszystkich dzieci wisiało pełno kolorowych plakatów, stały mikrokomputery i maskotki E.T. albo klocki z „Gwiezdných wojen”. Tymczasem w polskich domach na ścianach była boazeria, dzieci grały w statki, a słuchać mogły co najwyżej muzyki z radiomagnetofonu. Tak rodzice mi opowiadali.

– Chyba widziałam nawet taki mem – potwierdza Julia.

– To pewnie widziałyśmy ten sam. – Alex kiwa głową, nie przestając klikać na klawiaturze. Wrzuca obrazek do aplikacji odczytującej tekst ze zdjęcia i czeka, aż się załaduje. – Mama mówi, że śmiesznie to wygląda, zwłaszcza jak się zestawi rzeczywistość ze „Stranger Things” z realiami PRL. W Polsce w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych dzieci nie miały walkie-talkie, komputery były rzadkością i widziało się je najczęściej w salonach gier, a w mniejszych miastach słabo było nawet z telefonami. Rozmowy telefoniczne z Ameryką trzeba było zamawiać i czekać kilka godzin albo nawet dni. Nastolatki nie jeździły samochodami, bo te nawet dla dorosłych stanowiły rarytas. Dzieci używały byle jakich rowerów i nie zmieniały ich latami. Nudziły się, bo nie było co robić. Nikt nie znał gier fabularnych, nawet planszówki wycinało się z gazet i sklejało. Amerykańskie filmy docierały z dużym opóźnieniem. Tak samo muzyka z Zachodu. Kopiowano ją nielegalnie i nikt o to nie dbał. Nagrywano na kasety, czasem wielokrotnie, jakoś bywała straszna...

– Ale ja to wszystko wiem, Alex – przerywa jej Julia. – Urodziłam się w 1987. Jak byłam mała, to świat jeszcze tak bardzo się nie zmienił, nagle się nie wzbogaciliśmy. Hm... to znaczy my, Polacy.

– Sorry – przeprasza Alex. – Tak tylko sobie gadam, żeby zabić czas oczekiwania na ten cud. – Patrzy na ekran, na którym pojawia się wreszcie niemiecki tekst. Musi jeszcze tylko usunąć niepotrzebne przerwy między wierszami i myślniki przy przenoszonych wyrazach, po czym wrzuca artykuł do tłumacza.

Roman też pracuje na sprzęcie elektronicznym. Na własnej komórce. Podłącza ją do gniazdka w kuchni, żeby podładować. Siada obok i sprawdza raz za razem serię zdjęć zrobionych kilka godzin wcześniej. Zbliża je i oddala. Stosuje rozmaite filtry, wyostrza. Wciąż nie jest zadowolony z efektu i próbuje dalej.

Zatrzymuje się z uporem na szczególe, który wypatrzył w trawie, pod samochodem Alex.

– Nie ma innego wyjścia – szepcze wreszcie sam do siebie, usatysfakcjonowany, pociągając łyk z małej buteleczki.

Zostawia komórkę, żeby ładowała się dalej, bo zaraz będzie jej potrzebował jeszcze bardziej. Potem sprawdza, czy klucz w drzwiach wejściowych jest przekreślony. Następnie po raz kolejny już obchodzi wszystkie pomieszczenia na parterze, jakby spodziewał się tam jakichś niespodzianek. Ogląda okna. Są zamknięte, zabezpieczone, zasłonięte.

Teraz musi już tylko zejść do piwnicy po strzelbę.

I młotek. Tak na wszelki wypadek.

Wydaje mu się, że znów słyszy kukułkę.

Alex zaczyna czytać.

Upiertz, czyli historia o powracających z zaświatów

Przybyła do Prus polska ludność z Mazowsza przyniosła swoje przesady. Dowodem były wydarzenia podczas zarazy w 1710 roku we wsi Haarschen, opisane przez szanownego pastora Helwinga. Kiedy pojawiła się tam dżuma i żadne środki nie pomagały żywym, zaczęto szukać winnych wśród zmarłych. Przybysze z Mazowsza wierzyli, że zarazę roznoszą zmarli powstający z grobu. Mówili o nich „upierc” (upiertz). W Haarschen rozkopano więc groby i szukano zmarłych, których zwłoki były zadziwiająco dobrze zachowane, albo takich, którzy gryźli własne całuny lub mieli gęby opuchnięte od krwi. Należało takiej kreaturze uciąć głowę.

Być może echem tamtych wydarzeń był incydent w folwarku von Celtiusów, podczas epidemii cholery w roku 1855, od którego wzięła się nazwa uroczyska Upiertz. Kiedy umierały kolejne osoby, miejscowi przypomnieli sobie, że tuż przed zarazą

administratorowi, mieszkającemu w nowo postawionej chacie nad jeziorem, zmarła w połogu żona. Rozpowiadano, że wcześniej zabiła kilkoro swoich dzieci, poświęcając je diabłu, i że ta „czarownica” tak bardzo nie chciała mieć potomka, że ostatecznie uśmierciła razem ze sobą. Nie było to do końca prawdą, o tym jednak później. Faktem jest, że grób kobiety rozkopano, ucięto jej głowę i...

– I to koniec – mówi Alex. – W tym miejscu rękopis się urywa... – potwierdza Julia.

– Słucham?

– Nie, nic, taka formuła, która zawsze mnie irytowała pod przetłumaczonymi zapiskami sprzed wieków. – Falk patrzy na przekład z niemieckiego, jakby chciała z niego wydusić więcej, niż Alex przed chwilą przeczytała. Ale nie da się. To wszystko.

– Czyli nazwa uroczyska nie ma nic wspólnego z praniem. Nic jednak dziwnego, że właściciele o tym nie mówią, a stare dokumenty pochowali – Alex chrząka znacząco. – Z nazwą pewnie łatwo poszło. Po wojnie nie takie rzeczy się działy w dawnych Prusach Wschodnich. Nazwę wioski Puppen, po niemiecku „lalki”, spolszczono na Pupy, co tak się nie podobało, że ostatecznie wioskę ochrzczono Spychowem. Wstydliwą nazwę zastąpiono mianem fikcyjnej miejscowości rodem z „Krzyżaków” Sienkiewicza i wszyscy byli zadowoleni.

– Szkoda, że wsadzono w ramki tylko ten jeden fragment artykułu – przerywa Julia, jakby nie mogła się oderwać od przeczytanej opowieści.

– Szkoda, ale nic na to nie poradzimy. Żadnych gazet tu w kartonach nie widziałyśmy, ani innych ramek z wycinkami – mówi Alex, jakby usatysfakcjonowana tym, co już udało się osiągnąć.

– Ale zaraz, chwileczkę – ożywia się Julia. – Chyba się pomyliłyśmy. W ramce wcale nie znajduje się fragment gazety. Spójrz na lewy dolny róg stronicy. Jest zaplamiony i lekko naderwany, ale widać na nim cyfrę. Widzisz?

– Tak, 224 – przyznaje Alex.

– Właśnie. Żadna gazeta nie ma ponad dwustu stron. Górna krawędź, nad tytułem, wygląda jak wycięta nożyczkami. Natomiast prawy brzeg strony jest poszarpany, jakby ktoś ją oderwał. Ewidentnie to kawałek strony z książki. Książki, która musi być gdzieś tutaj. – Julia wskazuje palcem na tomy w kartonach.

Alex nie odpowiada, bo na schodach rozbrzmiewają ciężkie kroki. Po chwili pojawia się głowa, a potem reszta sylwetki Romana. Przygarbiony Falk trzyma w dłoniach strzelbę. Julia spogląda na męża z mieszaniną zdziwienia i zgorznienia.

– Pojechało cię, Romeo? – Nie wytrzymuje i zrywa się na równe nogi.

– Kiedy wy się tu dobrze bawiliście, ja przeprowadziłem małe śledztwo – odpowiada żonie mężczyzna, po czym odrywa lewą rękę od dubeltówki i wyjmując z kieszeni telefon komórkowy. – Popatrzcie tylko.

– Na nic nie będę patrzyła, póki nie odłożysz tej broni – mówi Julia drżącym głosem. Widać, że ledwo nad sobą panuje. – Rozumiem, że dbasz o nasze bezpieczeństwo, ale odnosi to skutek odwrotny do zamierzonego. Wystraszyłeś mnie i naszego gościa – mówi powoli i wyraźnie, jak do dziecka.

Jej stanowczy głos sprawia, że mąż momentalnie się uspokaja.

– Skoro tak mówisz... – Roman przewiesza broń przez ramię. – Niech będzie po twojemu. Teraz dobrze?

GODZINA 00:12

Kartka z napisem „00:12”, otoczonym wielkimi uśmiechami, wisi na lodówce rodziców Alex. Jednak oni sami wcale nie wyglądają na szczęśliwych. Wykręcają numer córki raz za razem, ale nikt nie odbiera. „Abonent jest niedostępny”. „Abonent jest niedostępny”. „Abonent jest niedostępny”. „Abonent jest niedostępny”...

– Zapowiada się świetny finał porąbanego dnia – psioczy ojciec. Zerka na butelkę musującego wina w lodówce. To cava, rzecz na szczególne okazje, nie byle co. Korci go, ale jednak nie, nie teraz.

– Łukasz, a pamiętasz, jak Janek rozważał, czy nie wszczepić swojemu dziecku jakiegoś chipa? – pyta żona.

– Gdybym miał dzieciaka, który znika w lesie na pół dnia bez zapowiedzi, też bym tak zrobił – odpowiada mężczyzna.

– Więc Alex nie daje ci powodów do zmartwień?

– Nie, Ewciu – kłamie Łukasz.

– Kłamiesz.

– Chip, smart watch z namierzaniem i podsłuchem, co jeszcze? Za naszych czasów radziliśmy sobie bez takich smyczy. Nasi rodzice też. A wyrabialiśmy cuda. – Mężczyzna macha ręką.

– Czasem wydaje mi się, że pozwalaliśmy sobie na zbyt dużo – wzdycha Ewa.

– Serio? A w mediach gadają, że to teraz nastolatki robią, co chcą...

– Nieważne – przerywa Łukaszowi żona. – Dzwonię dalej.

„Abonent jest niedostępny”. „Abonent jest niedostępny”.

ROZDZIAŁ 14

FOLIE À TROIS

– Popatrzcie tylko! – Roman zaczyna pokazywać zdjęcia ze swojej komórki.

Fotografia z godziny 11:53, czyli chwilę po przyjeździe Alex. Wraz z Julią stoi przed aveo. Uśmiechają się. Lecz nie ich twarze chce analizować Roman. Powiększa zdjęcie i pokazuje tylne koła samochodu. Stoją w wielkiej kępie dmuchawców o puszystych kulach.

Wspólne selfie z godziny 11:56. Tym razem wszyscy znajdują się przed wejściem do domu. Kadr jest nieudany, bo z prawej strony wcina się za bardzo tył auta. Roman ponownie robi zbliżenie na fragment przy kołach, z kilkadziesiątoma pękatymi dmuchawcami.

Zdjęcie z godziny 17:23. Przed pechowym – jak się okazało – odjazdem, Alex przybija piątkę z Julią. Stoją przy samochodzie, którego tył znów jest dobrze widoczny. Roman powiększa palcami zdjęcie i pokazuje kępę dmuchawców. Połowa kul jest rozdeptana i połamana.

– Fotografii jest oczywiście więcej. Na tych najlepiej widać, o co chodzi – tłumaczy Roman.

– A o co chodzi? – Julia przekręca głowę, jakby nie była pewna, co jej mąż ma na myśli.

– Alex – Falk odwraca się w stronę gościa – powiedziała nam, że nie trafiła tu sama. I faktycznie mówiła prawdę. Z tym że nie chodziło o jakiegoś chłopca spotkanego na polnej drodze, gdy stąd wyjeżdżała i zepsuł się jej samochód. Chodziło o kogoś, kto w tajemnicy przyjechał tu razem z nią w południe, a potem niepostrzeżenie wy dostał się z auta.

– W tajemnicy? Niepostrzeżenie? – Julia robi wielkie oczy. – Ty coś piłeś, Romeo?

– Daj spokój – wchodzi jej w słowo Alex. – Przecież wiadomo, o co Romanowi chodzi. Przywiozłam w bagażniku kogoś, kto wymknął się, gdy rozmawialiśmy.

Plan był sprytny, ale intruz przy wydostawaniu się z auta połamał dmuchawce.

– Więc przyznajesz się do winy? – pyta Roman, garbiąc się jeszcze bardziej.

– Do winy?! Do jakiej winy? – Po raz pierwszy oczy Alex wydają się większe od oczu Julii za szklanymi okularów.

– Przywiozłaś tu kogoś. Intruza. Złodzieja, bandytę.

– Nic podobnego! – Dłonie Alex zaczynają się zaciskać w pięści. Julia patrzy na to z niepokojem, jednak milczy.

– Od kiedy się pojawiłaś, dzieją się tu dziwne rzeczy: gaśnie światło, zostaje wybita szyba w naszej pracowni, opowiadasz o jakimś chłopcu i duchu... – zaczyna wymieniać Roman. – A potem siedzicie tutaj nad czymś jak na sabacie...

– Przypominam ci tylko, że już wcześniej coś pogryzło nasze rowery – odzywa się wreszcie Julia, uporządkowawszy myśli. – A podczas naszego „sabatu”, jak to ładnie powiedziałeś, znalazłyśmy tutaj coś bardzo ciekawego.

– No widzisz – podchwytuje Roman. – Tam, gdzie pojawia się Alex, znów dzieje się coś dziwnego i niepokojącego.

– Dobra. – Alex klaszcze w dłonie. Falkowie patrzą na nią pytająco. – Nieźle mnie nabraliście. To było naprawdę dobre. Przez moment wystraszyłam się, że mam do czynienia z wariatami w wariackim domu. Totalnie mnie wkręciliście. Ta awaria światła, te opowieści o upiorach, te zdjęcia, zaczęło mi odbijać. Ale poddaje się. – Alex ze śmiechem podnosi na chwilę ręce do góry. – Tylko powiedzcie mi: czy wy faktycznie jesteście tymi Falkami i przygotowaliście tutaj taką ustawkę, żeby było bardziej odjazdowo? Czy też jesteście aktorami, których ktoś wynajął, i wykorzystaliście fakt, że nic nie wiedziałam o Falkach? Kto was zwerbował? Moja szefowa Baśka do spółki z Agnieszką Orbik albo z moimi szalonymi rodzicami?

– A dlaczego miałyby to wymyślać? – dziwi się Julia.

– Bo... – Alex pokazuje godzinę 00:13 na wyświetlaczu swojego telefonu – ...dziś są moje urodziny. Właśnie zaczęłam dwudziesty rok życia. Takiego prezentu się nie spodziewałam, przyznaję.

– Skoro tak, to zagrajmy w otwarte karty – odpowiada Julia poważnym tonem. – Jesteśmy tymi Falkami i nikt nas nie wynajął. Zaczynam natomiast się zastanawiać, czy ty nie jesteś elementem dziwacznej zabawy, w którą wciągnęła nas moja siostra? Nie ma to jak wkręcić w grę kogoś, kto sam gry wymyśla, nieprawdaż?

– Nie, nie trafiliście. Mam dziś urodziny i mam tego dość – odpowiada Alex. – Zabieram swoje klamoty i wynoszę się stąd. Nieważne, czy pada, wieje, czy chodzą tam dziki.

– Nie wypuścimy cię – zapowiada Roman, poprawiając na ramieniu strzelbę. – Nie wiemy nawet, kim naprawdę jesteś, Alex przez iks.

– To znaczy co? Mam się wylegitymować?! – Alex doskakuje do Falka i niemal krzyczy mu w twarz. – A kto ty jesteś, że mam się przed tobą tłumaczyć?

– Posłuchajcie mnie, proszę. – Julia wchodzi między nich i rozpycha się siłą, choć jest najmniejsza z całej trójki. – Jeśli odbywa się tutaj jakaś gra, to czas ją skończyć. Jeśli nie, to mamy do czynienia z jakimś gigantycznym nieporozumieniem, które może się bardzo nieprzyjemnie zakończyć dla nas wszystkich.

– Co proponujesz? – pyta Roman, nie odrywając wzroku od Alex.

– Schodzimy i zostawiamy tutaj ciebie, Alex, samą. Nie niepokoiimy cię, możesz robić, co chcesz. – Julia stara się być opanowana. – Nie możesz tylko wyjść z tego domu, bo nie powinnaś: to zbyt niebezpieczne. A rano wszyscy pojedziemy do wsi razem z Marylką, gdy tylko się pojawi.

– Czyli mam się dać wam zamknąć na noc? Dobrowolnie stać się więźniem? Dobrze zrozumiałam?

– Spójrz na to inaczej: oddajemy ci część domu – tłumaczy cierpliwie Julia. – Obie strony z czegoś rezygnują, okej?

Alex marszczy czoło, myśli chwilę, po czym kiwa głową.

– Okej, niech będzie – zgadza się.

Napięcie wyraźnie spada. Roman pozwala sobie nawet na to, by pocałować żonę w policzek.

– Ty to umiesz negocjować – mówi.

Na ten moment rozluźnienia czeka też Alex. Daje susa w stronę schodów, odpychając Romana i Julię. Falkowie uderzają w barierkę, która trzeszczy okrutnie, jakby zaraz miała pęknąć. Roman łapie bezradnie powietrze rękami, próbując zachować równowagę. W ostatniej chwili chwyta go żona.

Tymczasem Alex zbiega schodami i rusza od razu w stronę drzwi wejściowych. Szybko przekręca klucz. Szarpie za klamkę i po chwili droga do wolności staje przed nią otworem.

Wypada w mrok. Robi pierwszy krok, potem drugi. I zatrzymuje się. Szuka po kieszeniach komórki, by oświetlić sobie drogę, ale nie może jej znaleźć. Telefon został na górze, a ciemność jest przytłaczająca. Zbyt straszna, by wejść w nią samemu. Owca

Zrezygnowana Alex cofa się w stronę światła. Łapie się za głowę, jakby to miało pomóc wydobyć z niej lęk przed ciemnością, pozbyć się go raz na zawsze.

Julia z trzaskiem zamyka drzwi. Roman przekręca klucz.

– Po prostu chodźmy spać – mówi Julia spokojnym głosem. – Coś dziwnego dzieje się z nami. Musimy to spokojnie przeczekać. To jakieś *folie à deux*...

– Raczej *folie à trois*, jeśli już – dodaje Roman.

– Tak czy owak, szaleństwo, paranoja, w którą coś nas wpędziło. Ale rano będzie dobrze. – Julia spogląda w puste, pozbawione wyrazu oczy Alex. – Proszę, zapomnijmy o tym. Czas do łóżka. Musimy się wyspać. Jutro przed tobą daleka podróż. – Chwyta dziewczynę lekko za przedramię i zabiera w stronę schodów. Prowadzi ją delikatnie, niespiesznie na poddasze.

Roman zostaje na dole sam. Zagryza wargi. Zastanawia się, jak doszło do tego szaleństwa i czy sam go nie sprowokował. Potem myśli, że czeka go ciężka noc, bo wcale nie ma zamiaru zasnąć. Będzie pilnował swojej żony i swojego domu – nawet jeśli to tylko dom tymczasowy.

– Znowu zgłodniałem – mówi, gdy widzi Julię schodzącą po schodach. Mężczyzna odwraca się i idzie do kuchni. Wyjmuje z lodówki wędlinę, szpera w chlebaku w poszukiwaniu pieczywa.

– Nie uciekaj przede mną. – Słyszy za sobą głos żony. – Musimy pogadać.

– Nie uciekam – odpowiada, biorąc gryz kanapki. – Chcesz drugą połówkę rogalika? Nie zjem całego.

– Może za chwilę. Na razie poważnie musimy porozmawiać o tym, co się tutaj odpięrdala.

– Wolę słowo „odjaniepawła” – mówi Roman z pełnymi ustami.

– Możesz sobie woleć. Siadaj. I zdejmij z ramienia tę pukawkę. Po pierwsze: czy ty w ogóle miałeś kiedykolwiek w rękach broń?

Alex kuli się i otula śpiworem.

Nie zmruży oka.

Co chwilę zerka na ładującą się komórkę. „Wszystko przez ten cholerny brak zasięgu” – myśli. Czuje, że jest jej duszno. Odkrywa się, ale to nie pomaga. Coś ciężkiego wisi w powietrzu. Wstaje i podchodzi do okna. Jest całkiem spore, ale klamka znajduje się na górze, przy suficie. Trzeba wspiąć się na palce, by jej dosięgnąć.

Alex wdycha świeże powietrze, a potem wraca pod śpiwór.

Znów spogląda na służbowy telefon. „Dlaczego ten szmelc tak powoli się ładuje? Starsze modele działały o wiele dłużej” – myśli. Najwyraźniej producenci celowo stosują słabsze podzespoły, żeby sprzęt chodził krócej. „Tak działa biznes. Tak się robi pieniądze”.

Spogląda w stronę schodów. Jak ma tu spać? Jak ma czuć się bezpiecznie? Przecież jest jak w pułapce. Zachowanie Falków to granda. Ale czy naprawdę są groźni? Nie bardziej niż dwóch pijanych chłystków nocą na ulicach Warszawy. Dużo straszniejsza jest ciemność.

– Po drugie – Julia dźga męża oskarżycielsko placem wskazującym – czy ty coś piłeś?

– Tylko wino – kłamie Roman.

– Na pewno? Wiesz, co z tobą robią mocniejsze trunki.

– Przecież takich tutaj nie mamy – broni się mężczyzna.

– Na pewno?

Z nudów Alex wyciąga drugi telefon, prywatny. Zaczyna przeglądać zdjęcia, z którymi nigdy się nie rozstaje – zawsze je przenosi przy zmianie aparatu. To jej fotografie urodzinowe. Niektóre sprzed paru lat, robione w ogrodzie z drona. Inne dużo starsze. Gdy była jeszcze podrostkiem i lubiła smak tortów. Na kilku widać Jankę. Jednak najbardziej podoba się Alex fotografia z czasów podstawówki, gdy na jej urodzinach pojawiła się cała grupa przyjaciół rodziców sprzed lat: gruby

Wojtek komputerowiec i Janek ze śmieszną fryzurą, maskującą łysinę. Bardzo chciała ich poznać i zrozumieć, jak to jest mieć przyjaciela, na którego zawsze i wszędzie możesz liczyć. Takiego, obok którego przeżyjesz całe życie. Alex też by tak chciała. Tyle że się nie udało. Jeszcze nie.

Spogląda w stronę okna. Z ciemnej czeluści za szybą wieje chłodny wiatr. Nie, nie zaśnie.

Spogląda na komputer. Na ekranie widać tekst tłumaczenia, lekko przysłonięty bąbelkami wygaszacza ekranu, które zderzają się, przewalają i odbijają jak bilardowe kule. Oczy Alex podążają za jedną z nich i zatrzymują się na ostatnim zdaniu tłumaczenia.

Faktem jest, że grób kobiety rozkopano, ucięto jej głowę i...

Potem Alex przenosi wzrok na kartony z książkami, rozłożone obok malowanej skrzyni, na której stoi komputer. „Skoro i tak nie zasnę, to może chociaż rozwiązę tę zagadkę? – przychodzi jej do głowy. – Może przyda się do artykułu, nawet jeśli gównem z niego wyjdzie?” Dziewczyna znów wydobywa się ze śpiwora i zaczyna przeglądać kartony.

Wie, że książka powinna liczyć grubo ponad dwieście stron. Wie też, jakiego tom może być formatu. A przynajmniej jakiej szerokości powinny być kartki. Bo, w którym miejscu artykuł został odcięty od strony i ile zostało jej na górze, trudno powiedzieć.

To nie potrwa długo. Alex oddycha głęboko, jakby wiatr ją ożywił.

GODZINA 00:42

„To już pół godziny po czasie” – niepokoi się Ewa, odrywając wzrok od cyfr wyświetlających się na starej wieży stereo, ustawionej w salonie zamiast telewizora. Rodzice Alex mieli zwyczaj składać córce życzenia urodzinowe tuż po godzinie 00:00. Wszak urodziła się zaledwie dwanaście minut po północy. Przezywali ją nawet agentką 0012.

Kiedyś po prostu budzili ją w łóżku, z tortem i prezentami. Czasem nawet udawało się jej dotrzeć do tego szczęśliwego momentu bez spania. Albo przykrywała się kołdrą i tylko udawała, że śpi. Lecz to było dawno temu. Od kilku lat wyglądało to już całkiem inaczej. Od trzynastych urodzin wyjeżdżała gdzieś w Polskę z jednym z rodziców – w jakieś fajne miejsce typu Słowiński Park Narodowy czy zamek w Niedzicy – a drugi o wiadomej porze dzwonił z życzeniami. I wypytywał, czy nadbałtyckie wydmy się Alex spodobały lub czy szukała już legendarnego skarbu Inków.

Poczynając od osiemnastych urodzin, Alex spędzała już urodziny we własnym gronie, bawiąc się po swojemu. Jednak zawsze o 00:12 odbierała telefon szczęśliwa i uśmiechnięta. „Rozświetlacie mi mroki nocy, nawet jeśli nie mam przed sobą waszego tortu ze świecami” – mówiła. Nie do końca rozumieli, o co jej chodzi z tym mrokiem. Uznawali więc, że wciąż pociągały ją gotyckie klimaty.

W tym roku też mieli przekazać córce życzenia tylko zdalnie. Układali już w głowie, co dokładnie powiedzą. Po to, by jakoś podkreślić ostatnie zmiany w życiu córki – mieszkała i pracowała ponad dwieście kilometrów od domu, była już dorosła, miała własne plany i aspiracje.

– Oby tylko te ambicje nie obejmowały pracoholizmu i chodzenia na pasku korporacji – powtarzał ojciec, chociaż czuł, że gada jak stary zrzęda, którym nigdy nie chciał być.

– Chyba nie masz zamiaru jej tego powiedzieć?

– No nie wiem, Ewka. Może powinniśmy?

– Ona o tym wszystkim wie. Może nawet lepiej od nas. Kiedyś gadała nawet o tym z Janką. Chyba jesteś odspawany od rzeczywistości, jeśli sądzisz, że nasza córka chce być korpolutkiem.

W takiej atmosferze wymyślili piękne życzenia dla swojej jedynaczki. Cóż jednak z tego, skoro nie mogli ich złożyć. Uświęcony rytuał został tym razem nagle zakłócony.

ROZDZIAŁ 15

ZMORY

Roman przyznaje, że przesadził. Lecz w głowie kotłuje mu się mrowie rozmaitych myśli.

– Może się mylę, ale niech mi ktoś wyjaśni, o co chodzi z tymi połamanymi dmuchawcami – mówi, biorąc kolejną kanapkę. – Niech mi ktoś to racjonalnie wytłumaczy.

– To chyba nie jest trudne. – Julia nerwowo poprawia okulary. – Mógł tam przebiec jakiś zwierz. Lis albo kuna. I gotowe.

– Akurat – mruczy Roman.

– Alex mówiła, że gdy zgasło światło, coś w pokoju zaczęło się ruszać, jakby przemknęło obok niej.

– Przecież widziałaś, co działo się z nią w drzwiach. Ona najwyraźniej boi się ciemności. Więc, gdy w domu zgasło światło, wyobrażała sobie nie wiadomo co. Chora głowa. – Roman wymownie puka się w czoło.

– Nie mów tak. Ty też masz swoje lęki. – Julia rusza dłonią po stole, naśladowując szarżującego pajaka i wbiega na rękę Romana. Ten łapie ją, zamiast strząsnąć.

– Ale nie takie – mówi. – Zresztą, masz rację. Bo ten lęk przed ciemnością może przesłaniać coś ważniejszego. Alex coś ukrywa. Ktoś jeszcze tu jest i ona coś wie, tylko nie chce nam powiedzieć.

– Kto taki?

– Intruz, złodziej, bandyta. Ktoś groźniejszy niż dzikie psy obgryzające opony od rowerów.

– Więc stawiasz, że to były dzikie psy?

– Nie wiem. To już nieważne. Bardziej martwi mnie ten konar, który wybił okno. O świcie sprawdzę, czy nie był podpiłowany. Teraz i tak niewiele bym

zobaczył, nawet z latarką.

– Przede wszystkim to teraz nigdzie bym cię nie wypuściła. Zwłaszcza jeśli twierdzisz, że mogą się tu szwendać jakieś zdziczałe psy – prycha Julia.

– Spokojnie, poczekam do świtu. To już za niecałe cztery godziny. – Roman bierze łyk wody prosto z czajnika, gdyż właśnie dostał czkawki.

– Co cię tak wzięło na jedzenie? I to w środku nocy? To niezdrowe – zwraca mu uwagę Julia.

– Zjadam stres – odpowiada. – Też powinnaś... hik!... spróbować.

Stary atlas geograficzny. Same mapy. Odpada. Książka kucharska. Wydrukowana inną czcionką, po dwie kolumny na stronę. Odpada. Seria powieści Karola Maya o Winnetou. Za mały format. Odpada. Zbiory wierszy i zielniki – odpadają. Bliżej niezidentyfikowane tomiki w twardych okładkach – zbyt cienkie. „Mazury pruskie” Oskara Kolberga – wystarczająco grube, ale po polsku.

Wreszcie Alex wpada na tom, który wygląda odpowiednio. Odnajduje strony 221 i 222. Po nich widać przyciętą kartkę z tekstem i kawałkiem mapy. Na odwrocie krótki akapit i kwietny ornament, najwyraźniej to zakończenie jakiegoś rozdziału. To ewidentnie miejsce po wyciętym fragmencie, gdzie zaczynał się nowy rozdział. Dalej jest strona 225 – pełna tekstu, który ciągnie się jeszcze na dwóch kolejnych kartkach.

Alex bierze aparat i zaczyna fotografować. Po kilku minutach wrzuca zdjęcia na komputer. Jeszcze parę kliknięć myszą i dalszy ciąg historii z Upier(t)za przestanie być tajemnicą.

Kiedy urządzenie pracuje, Alex postanawia sprawdzić, z jakiej w ogóle książki pochodzi opowieść. Na okładce nie ma żadnych napisów. Gdy otwiera stronę tytułową, widzi wiele mówiący tytuł „Vampirismus in Preussen”. Autor anonimowy. Rok wydania: 1922.

– Zabrałeś z góry tę śmieszoną dubeltówkę. Przetrzęsnałeś pudła w poszukiwaniu naboju. A do malowanego kufra zaglądałeś? – pyta męża Julia. Chyba jest

zdenerwowana, bo znowu się drapie po rękach, chociaż żadnych komarów ani ukłuć po insektach nie widać.

– Tak, pewnie. – Roman pije kolejną szklankę wody.

– Tam jest telefon, zauważyłeś?

– Owszem. Dość stary, chociaż już nie tarczowy.

– Więc może działać? Trzeba tylko znaleźć gniazdko? – pyta Julia.

– Agnieszka tak mi sugerowała – odpowiada Roman. – Nie powiedziała tylko, gdzie jest to gniazdko.

– Zaraz, zaraz! Moja siostra powiedziała ci o tym telefonie?

– No tak, jak tylko przyjechaliśmy. – Roman wzrusza ramionami.

– Ale nie powiedziała ci, gdzie go podłączyć?

– Nie.

– Dobra. Tego już dla mnie za dużo, kurwa mać. Idę spać. – Julia teatralnie wstaje od stołu.

– Nie rozumiem.

– Ja tym bardziej, kochanie. – Julia szybkim krokiem drecze do sypialni.

Nikt nie jest w stanie tak szybko wyprowadzić jej z równowagi jak siostra. Julia czuje, że Agnieszka zbyt często wbija jej szpile, podkłada świnię, nie traktuje jej poważnie. A przecież to dzięki Julii Falk Rulez istnieje i odnosi sukcesy. Nic nie ujmując Romeo i Adze, są tylko istotnym dodatkiem do przedsięwzięcia. Teraz zaś, gdy znaleźli się w jakiejś spirali szaleństwa, tylko Julia zachowuje się rozsądnie. Roman wygląda, jakby się upił, zaś na Agnieszkę nie może liczyć, bo jak zwykle ich olała i nie podała najbardziej istotnej informacji o telefonie alarmowym!

Jednak kiedy Julia kładzie się do łóżka, przychodzi jej do głowy, że w tym szaleństwie może być metoda. A jeśli wszyscy są w zмовie i się z niej zgrywają? Roman, Agnieszka i nawet – a może przede wszystkim – Alex? Wszyscy urządzili sobie zabawę kosztem Julii, całkiem jak w tym filmie „Gra” z Michaeliem Douglasem. Udają, improwizują, wprowadzają w błąd. A potem będą się śmiali i powiedzą, że chcieli dobrze. Że zamierzali tylko rozerwać Julię, natchnąć. I nikt nie wpadł na to, jak stresująca może być dla niej ta gra. Jakby nikt tak naprawdę Julii nie znał.

– A czego się spodziewałaś? – mówi trójką, błyskając miarowo.

„Cholerny Krytykant. Tylko ciebie tu brakowało!” – Julia wzdryga się. Nie chce, żeby znów ją prześladował. Niech idzie precz! Tak było jej dobrze bez niego, tyle czasu...

– Nikt cię nie zna tak dobrze jak ja – zapewnia trójką. – Ani siostra, ani mąż.

– Nie słucham cię. Nie widzę – mówi Julia, ale nawet zamknięcie oczu nie pomaga. Krytykant pojawia się w ciemności u nasady nosa, pulsując niczym trzecie oko.

– Wiesz, że są w zмовie? – kontynuuje trójką. – Ale czy zdałaś sobie już sprawę z najgorszego? To jest gra, ale nie dla zabawy. Twoja siostra i twój mąż chcą się ciebie pozbyć. Zniszczyć. Złamać. Będziesz znów nikim, tak jak kiedyś.

Ekran laptopa wyświetla zapisany maczkiem tekst polskiego przekładu. Alex przypomina sobie, jak kończyło się poprzednie tłumaczenie: *Faktem jest, że grób kobiety rozkopano, ucięto jej głowę i...* Po czym zerka na ciąg dalszy.

...między rozwarte szczęki wciśnięto cegłę. Następnie czerep „czarownicy” położono w nogach. Piers przybito metalowym kołem do trumny, tak by upierc nie mógł się wydostać. Na koniec zaś wokół rozsypano mak, bowiem wedle wschodnioeuropejskich przesądów zmora nie może przejść obojętnie wobec ziaren i musi je wszystkie przeliczyć. Jeśli zajmie jej to czas aż do rana, żyjący w pobliżu są bezpieczni.

Liczni świadkowie potwierdzili, że tak właśnie postąpiono. Nie ma zaś dowodów na to, że kobieta zamordowała wcześniej czworo swoich dzieci i pochowała wokół domu. O tym, że to tylko plotka, zapewniał mąż zmarłej. A jednak sąsiedzi mówili, że po kilku kieliszkach alkoholu mężczyzna skarżył się na nachodzące go nocami dziecięce zmory. Pokazywał też swoją strzelbę, w której kolbie ukrył Hostię. Wedle mazurskich wierzeń taka broń nigdy nie chybia, a zdaniem niektórych odstrasza nawet demony z zaświatów.

Wszystkie te historie sprawiły, że uroczysko przy folwarku von Celtiusów zaczęto nazywać Upiertz. Wiara w takie stwory łączy zresztą ziemie zamieszkałe wspólnie przez Polaków i Niemców. Wstający z grobu polski upierc ma odpowiednik w niemieckim Nachzehrer powracającym z zaświatów. Poza wspomnianym pastorem Helwingiem z Mazur, pisali o tym w owych latach także śląski proboszcz Nicolai ze Schweidnitz^[7] w 1678 roku, a później także świątobliwy Lauterbach z Terra Lubucensis^[8] w kronice zarazy

we Fraustadt^[9], w 1709 roku. Jak relacjonował ten ostatni, wielu rozprzestrzenienie się choroby przypisywało czarnoksiężskiej, diabelskiej sile. Winą obarczono zmarłe kobiety, uważane za wiedźmy. Zdaniem mieszkańców Fraustadt nie mogło być inaczej, skoro na pogrzebach pojawiały się wielkie kruki niczym wysłańcy z piekieł. Gdy zaś wykopano i otwarto trumny wiedźm, ciała tych kobiet wydawały się rumiane, a twarze uśmiechnięte i zakrwawione. Zwłoki natychmiast pozbawiono głów.

Pewne przypadki z Francji, Włoch i innych krajów wskazują, że za podobne zmory brano częstokroć osoby pospiesznie i nieostrożnie pogrzebane żywcem, ponieważ uznano je za zmarłe, choć w rzeczywistości były nieprzytomne, w letargu. Budząc się w grobie, raniły rękę, próbując wydostać się z pułapki. Dusząc się, zagryzały w bezradnej wściekłości całun, którym je zakryto, co zabobonni brali za jakąś rzecz czarnoksiężską. Tylko niektórzy mieli to szczęście i uniknęli najgorszego losu – jak kobieta z Mediolanu, którą w trumnie przebudziła z letargu kropla gorącego oleju z lampy. Tak samo rzymianka, którą byliby pochowali grabarze, gdyby nie zauważyli, że poduszka pod jej głową jest ciepła. Albo Francuzka z Lyonu, która podczas zarazy obudziła się w masowym grobie, przykryta ziemią i trupami. Krzyczała, lecz ludzie albo nie słyszeli, albo bali się podejść do mogiły zadzumionych. Nieszczęsna kobieta cztery dni przeleżała wśród zwłok, bez jedzenia i picia, z głodu jedząc welon, którym zasłonięto jej twarz. Dopiero gdy na miejscu pojawili się grabarze z kolejnym transportem zadzumionych do pochowania, usłyszeli uwięzioną kobietę i wydobyli ją. Wróciła do domu i przeżyła w zdrowiu jeszcze wiele lat.

Niestety, rzadko kiedy na ziemiach zamieszkanym przez Polaków i Niemców donoszono o tak szczęśliwych przypadkach jak mężczyzny z Vilgut^[10], który wrzucony do grobu obudził się i zaczął krzyczeć na grabarza: „Co robisz, świnio przeklęta?“, dzięki czemu się uratował.

Lecz jedna jeszcze sprawa związana z uroczyskiem Upiertz wymaga wyjaśnienia. Co stało się z dzieckiem, z którym „czarownica” była w połogu? Przynajmniej jedna dobrze poinformowana osoba przekazała mi, że zaopiekowali się nim sami von Celtiusowie. Sprawa pozostaje niejasna i zagmatwana. Jedno nieostrożne słowo grozi pozwem sądowym.

Dlaczego? O co chodzi? Niedawny wciąż jest casus hrabiny Węsierskiej-Kwileckiej i jej męża Zbigniewa, mających liczne posiadłości w Prowincji Poznańskiej. W 1897 roku przyszedł im na świat syn. Nieoczekiwanie, bo byli już w wieku niemłodym, od zawsze bezdzietni. Stąd pojawiły się plotki, jakoby hrabina udawała ciążę, a dziecko zostało kupione przez nią za granicą. Krewni oskarżali Węsierską-Kwilecką, że zakupiła w Paryżu gumowy, dmuchany sztuczny brzuch, z którym się obnosiła. Zrobiła to ponoć, by po śmierci

hrabiostwa ich majątek nie wpadł w ręce nielubianej części rodziny. Sprawa wylądowała w berlińskim sądzie i była głośna na całym świecie. Nawet w Ameryce „New York Times” pisał o trzystu tysiącach ludzi demonstrujących z jej powodu w stolicy Niemiec. Choć hrabinę oczyszczono z oskarżeń już w 1903 roku, to procesowano się jeszcze dwanaście lat.

Po co wspominam o tym przypadku sądowym? Ponieważ tuż po wspomnianej zarazie w roku 1855 pani von Celtius powiła dziecko. Jak rozповідаł w towarzystwie jeden z sąsiadów, bardzo dziwne było to, że podstarzałym i bezdzietnym ludziom nagle urodził się syn. Co więcej, nikt właściwie nie zauważył wcześniej ciąży u pani domu.

Nie wiem, jaka jest prawda. Faktem natomiast jest, że czterdzieści lat później, w roku 1895, dziedzic von Celtiusów kazał wznieść dla siebie kilkumetrową piramidę grobową. Nie postawił jej na terenie dotychczasowej nekropolii rodu, lecz niedaleko chaty administratora. Jak twierdzą niektórzy najstarsi mieszkańcy okolic, dokładnie tam, gdzie znajdował się zapomniany już grób „czarownicy”.

To zapewne bujda. Wypada to podkreślić zwłaszcza po procesie Węsierskiej-Kwileckiej. Bo lepiej uważać z plotkami, niż wylądować przed berlińskim sądem.

Alex kończy czytać i przeciera oczy. Dochodzi już pierwsza w nocy. „Jeszcze ze dwie, trzy godziny i zacznie świtać” – myśli, zerkając na okno, za którym wciąż panują egipskie ciemności.

Julia śpi w łóżku. Nie ma snów, unosi się w bezmiarze nicości.

Roman zasypia przy kuchennym stole. Jego senne myśli błądzą po wydarzeniach z bliższej i dalszej przeszłości. Dlaczego nie może doczekać się od Julii uznania i szacunku? Dziś żona prawie zrobiła z niego wariata wymachującego bronią. Furiata, zazdrośnika, szowinistę. Owszem, nie jest i nie był ideałem. Lecz przecież Julia też bywa trudna do wytrzymania. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo. Nie wie, że gdy wyszła kiedyś z domu po kolejnym cichym dniu, Roman pomyślał z nadzieją: „A gdybyś już nie wróciła? Nie byłoby łatwiej?”.

Tylko Alex wciąż nie może zasnąć. Nie ufa już swoim gospodarzom. Przeczytany fragment o upiorach nie sprawił, że czuje się mądrzejsza czy bezpieczniejsza. Dla niej powietrze wciąż pachnie szaleństwem.

Wtedy słyszy wystrzał, który wstrząsa całym domem.

GODZINA 1:23

Na dźwięk wystrzału z drzew wokół chaty zrywają się ptaki.

Z grobowca von Celtiusów wydobywa się dziwny hałas.

W blasku księżyca pająki tkają sieci.

ROZDZIAŁ 16

KREW NIE WODA

Ewa patrzy na męża, którego twarz powoli przybiera rysy starego basseta. Ma obwisłe policzki, podkrążone oczy, świecący nos i porytą zmarszczkami szyję. Kobieta aż boi się sama spojrzeć w lustro. Dzień oboje mieli fatalny, a na deser czekała ich ta afera z Alex. Dlaczego nie odbiera? Zawsze odbierała.

Może faktycznie teraz z kimś jest. W łóżku. Dorosła jest. Wydawała się dorosła, jeszcze zanim potwierdziły to paragrafy.

Inni rodzice narzekali, że ich nastoletnie dzieci są rozerotyzowane i nie ma dla nich żadnych tabu, jednak Ewa miała odmienne zdanie. „Po prostu eksperymentują – tłumaczyła. – Pamiętacie naszą młodość? Ilu z nas i naszych znajomych eksperymentowało z alkoholem, z lekami i z psychodelikami? To wtedy było tabu, które łamaliśmy. Ilu słuchało zakazanej muzyki, czytało zakazane książki, opowiadało zakazane dowcipy? To też było łamanie tabu. W dzisiejszym świecie nastolatkom pozostało już mało zakazanych tematów. I właśnie to eksperymentowanie z własną seksualnością jest jednym z ostatnich. Do tego ważnych, bo też dotyczy sfery wewnętrznej wolności, własnych wyborów, określania samego siebie – tak jak kiedyś wybór przyjaciół, zainteresowań, życiowej drogi”.

Na te słowa najczęściej reagowano zdziwieniem. Zwłaszcza, że padały właśnie z ust Ewy, psychologa policyjnego. Wtedy podkreślała, że policjantem nigdy nie była, a mówi to jako matka, nie psycholog. Dyskusję kończyło zazwyczaj pouczenie, by Ewa uznała prawo innych matek do decydowania o ich dzieciach.

Tak słyszała także w budzie, do której chodziła z Łukaszem, a po latach uczęszczała tam ich córka. Wprawdzie patrona szkoły po 1989 roku nie zastąpił żaden bardziej poprawny w nowych czasach, lecz w innych sferach zaszły istotne zmiany. Łukasz pracuje tam jako nauczyciel historii, więc wie. W tej szkole

rozegrały się tego dnia sceny iście dantejskie – przynajmniej jak na miejscowe standardy.

Chociaż trwały wakacje, w budynku panował ruch. Organizowano tam półkolonie, jakieś dni otwarte, bywali młodzi Ukraińcy chcący skorzystać z darmowego Internetu. Tymczasem na ich oczach wybuchł skandal. W holu, naprzeciw głównego wejścia do szkoły, pod wielkim herbem miasta – wyobrażającym hojnie obdarzonego przez naturę byka przechadzającego się pod biskupim pastorałem przypominającym drzewo – ktoś nabazgrał na ścianie na czerwono „CZTERY ROGI”. Napis był naprawdę olbrzymi. Każda litera wysokością niewiele ustępowała herbowemu buhajowi. Napis został karykaturalnie rozciągnięty na szerokość całej ściany.

Choć wydawał się kompletnie bez sensu, młodzież i dorośli byli nim wyraźnie zaintrygowani. Fotki i filmiki śmigały z komórki na komórkę, już o godzinie 7:05 pojawiły się w Internecie. Opiekunowie z półkolonii i dyżurujący nauczyciele byli oczywiście oburzeni „aktem wandalizmu”, ale większość wzruszała tylko ramionami. „Badań grafologicznych raczej robić nie będziemy. Szkoda, że ktoś w weekend wybrał się na prace plastyczne, zamiast na plażę albo do lasu” – powiedział przez telefon marzący już o wcześniejszej emeryturze dyrektor, rachując w myślach, ile wyda na przemalowanie ściany.

Jednak lekceważył napis tylko do czasu. Dopóki nie odebrał telefonu od szkolnej katechetki. „ To musiała być jakaś sekta. Nic, tylko sataniści. Przecież chodzi o rogi. I to rogi pod biskupim pastorałem w naszym herbie!” – ostrzegła, nalegając, by dyrektor pojawił się w liceum i zbadał sprawę. Ten ugiął się. Słowa katechetki zasiały w nim ziarno niepokoju. Jej złowieszcza interpretacja graffiti mogła bowiem wzbudzić w lokalnym mikroświecie krótką sensację, niczym czołówka plotkarskiej gazety. Oczyma wyobraźni dyrektor widział nagłówki w mediach: „Sataniści w liceum”, „Spotkania sekty na koloniach?”, „Młodzież na celowniku szaleńców”.

Dlatego sprawa miała swój dalszy ciąg w jego gabinecie, kilka godzin później. To była poufna rozmowa, w wąskim gronie. Po pierwsze: dyrektor miał do dyspozycji nielicznych nauczycieli, którzy w wakacje pozostali w mieście. Po drugie: wybrał tych, którym z różnych przyczyn ufał. Odpadli najmłodszy nauczyciele – których nazywał ludźmi bez właściwości, oraz najstarsi – których miał za „peerelowskie złogi” lub zazdrośników dybiących na jego stanowisko.

W gronie zaufanych znalazł się, ku własnemu zdziwieniu, ojciec Alex. Miał prawie dwudziestoletni staż pracy, aczkolwiek zawsze pozostawał na uboczu, gardząc przepychankami i intrygami, jakich nie brakło w środowisku nauczycielskim. Oprócz niego w specgrupie dyrektora była wspomniana katechetka oraz nauczyciel WF-u.

Pierwszy skwitował sprawę napisów wuefista.

– To tylko hormony! – oznajmił i zaczął gorączkowo szukać po kieszeniach chustki, żeby opróżnić jak zwykle zapchany nos. – Wybaczcie, przesadziłem z klimatyzacją w samochodzie.

– Oby nie covid... – mruknął dyrektor, ale rozkręcała się już katechetka.

– Spodziewałam się, że ktoś z państwa doda chociaż *O tempora, o mores!*^[11] Pamiętajmy, że „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Nie możemy pozwolić na profanację i obrazę uczuć religijnych – wygłosiła dość przewidywalną przemowę.

– Czyli co pani postuluje? Mamy wezwać egzorcystę? – pozwolił sobie na ironię Łukasz, drapiąc się po jak zwykle rozczochranej głowie.

– Pan w ogóle nie powinien się wypowiadać, bo pańskie dziecko samo wyróżniało się aż nadto, w sensie mało pozytywnym – odpowiedziała kobieta, z obrzydzeniem patrząc na jego z lekka punkową fryzurę. – Właściwie może być symbolem problemów, jakie mamy teraz z młodzieżą, przesiąkniętą obcymi nam ideologiami i rojeniami o...

– Wypraszam sobie – przerwał jej Łukasz, na co katechetka nagle zmieniła temat.

– A widział pan dyrektor, że w szkole węszył już ten dziennikarzyna z radia? – spytała obcesowo.

– Jaki znowu dziennikarzyna? – zaniepokoił się dyrektor.

– No, ten rozwodnik.

– Aha, to już wiem. No i? – Zerknął na rozmówczynię. Zapadła kilkusekundowa cisza.

– No przecież wiemy, że jemu zależy tylko na sensacji – odparła.

– Uwierzcie mi, to tylko hormony – powtórzył wuefista. – Przecież my też byliśmy kiedyś młodzi.

– Tak. Trzydzieści lat i dwadzieścia kilo nadwagi temu, jeśli o mnie chodzi – zaśmiał się dyrektor.

– *Hic transit gloria mundi* – westchnął Łukasz. – Ile wszyscy byśmy dali, żeby znów poczuć się jak dawniej? – spytał, a katechetka spojrzała na niego z ukosa. Nic nie zdążyła dodać, bo w powietrzu nagle rozeszły się dźwięki „Etiudy Rewolucyjnej” Chopina. To dzwonił telefon dyrektora. Odebrał go pośpiesznie.

Dwie minuty później siedział blady, schowany w skórzanym fotelu, a uczynna katechetka, z równie nietęgą miną, podawała mu szklankę wody.

– Mógłby pan jeszcze raz powtórzyć, co powiedzieli? – zapytała cicho, jakby wystraszona, że to swoim gadaniem wykrakała kłopoty.

– Po pierwsze: ten dziennikarz poinformował policję, że uczniowie wytropili więcej podobnych graffiti. Po drugie: podobno to nie była czerwona farba, tylko krew. – Dyrektor zaczął manipulować przy kołnierzu swojej koszuli, jakby chciał poluzować krawat, którego nie miał. Nie wyglądał najlepiej.

Łukasz uznał, że za chwilę pogrążą się w jakiejś otchłani szaleństwa, więc szybko zadzwonił do żony. Pracowała w lokalnej komendzie policji jako psycholog, więc mogła powęszyć i sprawdzić, czy są jakieś przecieki.

Sprawa się przeciągała. Dyrektor rozmawiał z kolejnymi pracownikami szkoły o tym, gdzie znaleziono inne napisy i kto ich zdaniem mógł za nie odpowiadać. Oczywiście w tej drugiej kwestii nie mieli nic poza poszlakami. Na dodatek panowała obawa, jak zareagują na aferę dzieci kolonijne: czy się wystraszą, może wpadną w panikę? Zresztą, jeśli to krew, to, rzecz jasna, kolonie trzeba będzie zamknąć! Na razie wszystkie dzieci zabrano na wycieczkę.

Sztab kryzysowy zbierał się co trzy godziny. Tuż przed kolejnym dyrektor krzyczał przez telefon do kogoś z lokalnego radia, by przestał rozpowszechniać „skandalizujące treści”. Zza niedomkniętych przez przypadek drzwi gabinetu było słychać jego podniesiony głos. Wyrwał z zadumy zasępioną katechetkę. Zaciekawiona podeszła bliżej gabinetu. Koniecznie chciała usłyszeć, o co dokładnie chodzi. Jednak właśnie wtedy dyrektor nagłym szarpnięciem otworzył drzwi.

– Ja... tylko... – wybąkała, przerażona, że posądzą ją o podsłuchiwanie.

– Proszę! Ma pani jakąś sprawę? – zapytał oschle dyrektor.

– No przecież mamy zebranie sztabu – wyłonił się zza jej pleców Łukasz. Chyba po raz pierwszy była mu wdzięczna, a przynajmniej spojrzała na niego życzliwszym okiem.

Dyrektor wyglądał, jakby zrobiło mu się głupio, więc w gabinecie na zmianę milczeli i chrząkali. Po kilku minutach dyrektor podał im wydruki. To były zdjęcia napisów w szkole.

– Widzieliście je?

– Chyba nie wszystkie – odparł Łukasz.

– To co robiliście przez tyle godzin?

Gdyby miał być szczerzy, Łukasz musiałby odpowiedzieć, że właśnie czytał, co nowego mówi o wojnie w Ukrainie Garri Kasparow – słynny szachista i jego idol z czasów chłopięcych, a zarazem zaprzysięgły wróg Putina. Lecz na szczęście pytanie dyrektora było retoryczne.

Katecheta przyglądała się obrazkom z widocznym strachem.

– Tyle krwi! Ależ to upiorne, mój Boże.

– Nie mamy pojęcia, czy to krew czy sok lub farba – starał się ją uspokoić dyrektor.

– Poza tym – dodał Łukasz – z tego, co widzę, tworzą one dość banalny...

– Miło, że pan zauważył – przerwał mu z przekąsem dyrektor. – Napisy układają się w znany chyba wszystkim tekst dziecięcej piosenki: „Mam chusteczkę haftowaną / Co ma cztery rogi / Kogo kocham, kogo lubię / Rzucę mu pod nogi”.

– Tak, to bardzo dziwne – przyznał wuefista, który wszedł właśnie do pokoju spóźniony, zdyszany i zakatarzony. – Przepraszam, ale dorwali mnie na korytarzu najpierw rodzice kolonistów, a potem jakiś gryzipiórek. Prosił o wypowiedź, ale kazałem mu się wypchać i zadzwonić do rzecznika.

– Ale szkoła nie ma rzecznika – zdziwiła się katecheta.

– O to mi właśnie chodziło! – odparł wuefista i wysmarkał nos.

– Czyli wie pan już o piosence? – spytał dyrektor.

– Tak. Nie wiedziałem, że nastolatki ją znają.

– Podejrzewasz więc, że to ktoś starszy zrobił? – spytał go Łukasz.

– Sam nie wiem. Dziwne to.

– Może to guru tych satanistów. – Katechetka wciąż uważała, że na ścianach musi być krew. – Ci zwyrodnialcy mają swój sposób działania. Wystarczy poczytać odpowiednie książki. Dobrze wiadomo, jak osiągają cel i podsycają swe fantazje.

– To chyba pani za bardzo fantazjuje – mruknął wuefista.

– To się dopiero okaże. Niech pan lepiej się modli, żeby nie wyszło na to, że doszło do jakiegoś porwania.

– Do porwania?! – zachnął się dyrektor.

– Jak satanizm, to i ofiary z ludzi – odparła katechetka. – Przecież ta krew na ścianach to...

Łukasz już nie słuchał. Przeprosił i wyszedł z pokoju, by zatelefonować do żony. Odebrała i przekazała mu w tajemnicy, że według chemików napisy wykonano krwią, aczkolwiek sztuczną. Podobną do tej, której używa się w filmach. Mieszanka syropu klonowego i różnych barwników spożywczych. W Internecie można bez trudu znaleźć dokładne informacje, jak ją przygotować.

Łukasz zastanawiał się, czy przekazać tę wiadomość w gabinecie dyrektorskim czy dalej obserwować odbywający się tam cyrk. Gdy wszedł do środka, katechetka była na etapie wyciągania od dyrektora planów szkoły, by zaznaczyć na nich miejsca odnalezienia napisów, połączyć kreskami i sprawdzić, jaki utworzą kształt.

– Ani chybi to pentagram, czyli gwiazda zarazem bolszewicka i szatańska. W jego centrum powinna być złożona piekielna ofiara – wyjaśniała.

– Chyba lubi pani horrory – skomentował Łukasz. – Muszę jednak panią rozczarować – stwierdził i wyjawiał, czego udało mu się dowiedzieć.

Dyrektor i wuefista spojrzeli na niego z wdzięcznością, jednak katechetka była nieprzejednana.

– Wciąż nie mamy oficjalnego stanowiska policji, więc nie ma się jeszcze z czego cieszyć.

– Zaiste – przyznał dyrektor.

Kiedy zebrali się po kolejnych trzech godzinach, nastroje były już spokojniejsze. Potwierdziło się, że użyto sztucznej krwi. Ewa przekazała Łukaszowi, że jakiś młody aspirant zwrócił uwagę, że ta rymowanka pojawia się w hip-hopowym utworze, dość popularnym wśród miejscowej młodzieży. W teledysku nastolatek

zabija po kolei dziewczyny, które odrzucały jego zaloty, a potem pisze na chustce przyznanie się do winy i skacze z okna.

– Na papierowej chustce? – zdziwił się wuefista. – Z praktyki wiem, że kiepsko się na nich pisze. Z kolei takich tekstylnych nikt już nie nosi, chyba że do okularów.

– To naprawdę ważne? – Dyrektor zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– Po prostu wydaje mi się to mało życiowe.

– To niech się pan cieszy, że piosenka nie była o strzelaniu do kolegów w szkole, jak w Ameryce – obruszyła się katechetka. – Trzeba zrobić coś z tym, czego nastolatki słuchają i co oglądają. Od kiedy mają smartfony, kompletnie straciliśmy nad tym panowanie.

– Dobrze, zajmiemy się tym w nowym roku szkolnym – uspokoił ją dyrektor.

– A czy są jakieś podejrzenia co do tego, kim jest wandal?

Łukasz pokręcił przecząco głową.

Ewa została po godzinach na komendzie i już wiedziała. To nie był, jak pisano na forach internetowych, „przedwcześnie zwolniony recydywista”, „wyznawca pogańskich kultów”, „zaniedbywany przez rodziców młodociany socjopata” czy „rezun z Ukrainy”. Kluczem okazała się owa hip-hopowa piosenka. Była popularna, bo napisał ją chłopak z tego miasta. Teledysk zrobił za grosze. Miał parcie na szkło, ale się nie przebił. Teraz przyznał w rozmowie z policją, że to on włamał się do dawnej szkoły i wykonał napisy. Po co? Dla sławy. Żeby zaistnieć. Żeby ktoś poza rodzinnym miastem też go dostrzegł. Internet zalało już tyle artykułów, że jutro jego piosenka będzie mieć kilka milionów odsłon na YouTube, a on stanie się jednym z najbardziej znanych wykonawców w całym kraju.

Ewa przypomniała sobie, że ten nieszczęsny chłopak wcześniej chodził do klasy z Alex. Spojrzała na godzinę. Dochodziła siódma wieczorem. Alex powinna już skończyć pracę, można do niej zadzwonić. Oczywiście nie z życzeniami, ale z informacją o dawnym koledze. Może się ucieszy i wykorzysta temat, bo sprawa jest medialna. Niestety, Alex nie odbierała telefonu. A właściwie chyba znajdowała się poza zasięgiem, sądząc po komunikacie „abonent jest niedostępny”. Wtedy Ewa postanowiła zadzwonić z wieściami o hip-hopowcu z klasy Alex do Łukasza.

Przechadzał się właśnie szkolnym korytarzem, oglądając obrazki wykonane przez dzieci z Ukrainy. Niestety, były to sceny z wojny. Spadające bomby.

Strzelające czołgi i działa. On jako mały chłopiec bazgrał takie rysunki dla zabawy, wyobrażając sobie ludzi walczących z Godzillą albo rebeliantów z „Gwiezdných wojen” stających przeciw Imperium Galaktycznemu. Rozmyślał nad traumami tych małych uchodźców, gdy zadzwoniła żona. Odetchnął, gdy dowiedział się, że sprawa napisów najprawdopodobniej została rozwiązana. On również chciał się podzielić nowinami z córką. I też usłyszał w odpowiedzi jedynie informację, że abonent jest niedostępny.

Jeszcze kilkakrotnie próbowali się dodzwonić do Alex, jednak bez efektu. „Gdyby pracowała i wyłączyła telefon, to chyba komunikat byłby inny? – zastanawiali się. – Bo chyba nie dodała nas do czarnej listy?” Obracali to w żart, wyobrażając sobie, jak Alex imprezuje ze znajomymi już dzień przed urodzinami i dlatego jest niedostępna. Im później jednak się robiło, tym większy był niepokój Ewy.

– Zawsze tak masz, gdy robi się ciemno – uspokajał ją Łukasz. – Wiecznie podejrzewasz, że Alex boi się ciemności, a ty odbierasz ten lęk, jakbyście były połączone kablem. Tylko że pępowina już dawno przecięta, muszę ci przypomnieć.

– Możesz się śmiać, ale matkę i dziecko zawsze łączy coś nierozzerwalnego.

– Zapewne, ale etap fascynacji „Z Archiwum X” mamy już za sobą, nie? Zobaczysz, że gdy zadzwonimy dwanaście minut po dwunastej w nocy, to odbierze. Damy jej na razie spokój. – Łukasz tonował nastrój żony, chociaż sam też czuł się nieswojo. Alex wciąż nie odbierała.

– To musiało kiedyś nadejść – stwierdził Łukasz. – Może jest z kimś dla niej ważnym, najważniejszym? Może kto inny rozświetla jej mroki nocy?

Ewa najpierw milczała, słysząc te życiowe mądrości, a potem zaczęła nerwowo przeszukiwać swój telefon, jakby spodziewała się dostać zwrotny SMS od córki.

– Tak naprawdę rodzice słabo znają swoje dzieci. A już nastolatki to największa tajemnica, z jaką się zetknęliśmy, uwierz mi. Weźmy choćby tę historię dzisiaj ze szkoły... – uspokajał ją znowu mąż, próbując pocałować w błądy policzek. Lecz Ewa nie potrzebowała kolejnej dawki jego mądrości. Podetknęła mu pod nos SMS sprzed kilku dni.

Alex napisała w nim dokładnie, gdzie i u kogo będzie dzień, a właściwie kilkanaście godzin, przed swoimi urodzinami. Cieszyła się, że dostała takie

prestizowe zadanie. I martwiła się, czy stary chevrolet nie rozkraczy się gdzieś na mazurskich drogach.

GODZINA 1:26

To jest sen.

Zaczyna się od wielkiego, starego zegara z wahadłem, stojącego w rogu sypialni. To on pokazuje godzinę 1:26. Lecz, czy jest dzień czy noc, nie wiadomo. Okna są zasłonięte. Światło wpada przez niedomknięte drzwi.

Śni, że jest ojcem, który stoi przy tym zegarze, przy małżeńskim łóżku i powoli, starannie wybiera pasek, jakim będzie łań. Czy lepszy będzie ten szeroki, wojskowy? A może stary, po dziadku, będzie lepiej „ciągnął”? Tego eleganckiego, od garnituru, trochę szkoda. No i jest jeszcze ten śmieszny, z ćwiekami. Śmieszny, bo nikt nie wie, skąd się wziął w domu. Jest krótszy od pozostałych, jakby należał do kogoś obcego.

Lecz to właśnie ten pas wybiera w swoim śnie. Jest ojcem ze skórzanym pasem nabijanym ćwiekami. Podchodzi do swojego dziecka. Czym mu zawiniło? Tym, co zawsze.

Nie uczy się. Nie może znaleźć dla siebie miejsca. Zaczepia innych i szuka guza. Wydaje ich pieniądze na pierdoły.

Jakiś kobiecy głos zwraca nieśmiało uwagę, że dzieciak nie uczy się, bo nawet na podręczniki ich nie stać. Nie może znaleźć dla siebie miejsca, bo dom wiecznie okupują znajomi dorosłych, pobrzękujący szybko opróżnianym szkłem. Zaczepia innych i szuka guza, bo trudno już znieść wyzwiska ze strony innych dzieciaków, dla których bieda to dobry powód do szyderstw. A że wydaje ich pieniądze na pierdoły? Przecież to są pieniądze, które dostali od państwa na jego potrzeby.

Nie słucha tego anioła stróża.

Jest ojcem i podchodzi do zgiętego człowieczka, który okazuje się nim samym. Tym bardziej jest wściekły. Tym mocniej zaciska w ręku skórzany pas. Zaczyna tłuc sam siebie. Taki sen.

ROZDZIAŁ 17

WŚRÓD NOCNEJ CISZY

Panika. Nie wyobrażasz sobie, jak się zachowasz, dopóki w nią nie wpadniesz, nie poczujesz na własnej skórze, jak to jest. Alex irracjonalnie boi się ciemności, lecz ma przecież instynkt samozachowawczy, instynkt przeżycia. Kiedy niewyspana, po stresującym wieczorze, słyszy piętro niżej strzał, a potem krzyki Julii, naraz ścierają się w niej dwa lęki. Strach przed ciemnością i strach przed śmiercią. Ten drugi jest silniejszy.

Podsuwa kopniakiem karton z książkami pod okno i wspina się na parapet. Jest na tyle szczupła, że da radę się przecisnąć. Staje na zewnętrznej krawędzi okna. Ciemności wciąż się obawia, ale zdoła ją pokonać: w zębach ma swoją komórkę z włączoną latarką. Drugi aparat, służbowy, też wzięła – na wszelki wypadek. Ma go w tylnej kieszeni dzinsów. Nie powtórzy już błędu z nieudanej pierwszej ucieczki.

Alex łapie rękoma za krawędź okna, zwiesza nogi i skacze. W locie wypuszcza z ust komórkę. Trawa jest śliska po deszczu, więc Alex nie udaje się utrzymać równowagi. Na to była nawet przygotowana, jednakże nie na chrupnięcie w lewej kostce.

– Kurwaaa, ale boli – syczy. Lecz nie ma czasu do stracenia. Szybko podnosi się i zaczyna kuśtykać przed siebie. „Boże, oby tylko nie zobaczyli przez okno światła z mojej latarki” – modli się, odszukując w trawie aparat.

Wbiega w zarośla i tam przyczają się pod szerokim rozłożystym drzewem. Zastanawia się, w którą stronę ruszyć. Oczywiście, że do samochodu. Pojedzie swoim chevroletem nawet jeśli miałyby mu koła odpaść. „Cholerny złom” – rzuca w myślach, jednocześnie schylając się i gładząc nogę w kostce. Przez glany niewiele może zrobić i sprawdzić. Z drugiej strony takie trepy dobrze usztywniają bolące miejsce, a może i pomogły przy upadku. Alex na pewno nie odważy się

zdjąć buta, by sprawdzić, co z kostką. Czuje przecież, że noga puchnie. A jeśli zaraz zrobi się jak bania, to mogłaby buta z powrotem już nie wcisnąć.

Spogląda w stronę domu, całego w poświacie od strużek światła z okien przesłoniętych firanami i z otwartego okna na poddaszu. Uspokaja się, widząc, że nikt za nią nie wybiegł z chaty. Więc chyba nie zorientowali się jeszcze, że zniknęła. Powinna to wykorzystać i zmykać ile sił w nogach, nawet kuśtykając i podpierając się byle kijem. Lecz w głowie Alex pojawiają się pewne wątpliwości. Co właściwie dzieje się w domu i co oznaczały krzyki? Czy zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za nieudzielenie pomocy, jeśli komuś stała się krzywda? Lecz chyba każdy sąd uniewinni Alex, skoro wcześniej Roman nastraszył ją bronią? I po tym, jak Falkowie *de facto* uwięzili ją na poddaszu?

Alex uznaje, że prawo ma po swojej stronie. Lecz czy nie będą jej w przyszłości dręczyć wyrzuty sumienia? Trudno stwierdzić, co się stało w tej przeklętej chacie. Nawet jeśli doszło tylko do przypadkowego postrzału, to ktoś może umrzeć z braku odpowiedniej pomocy. Alex jest po szkoleniu ratowniczym, jej rodzice o to zadbali. A Roman i Julia?

„Cokolwiek się dzieje, w niczym nie zawiniłam. W niczym” – powtarza sobie. Sumienie nie daje jednak za wygraną. „Nie zawiniłaś, ale czy mogłaś pomóc? – pyta. – Jak zachowaliby się twoi rodzice?”

Alex odpowiada swojemu wewnętrznemu duchowi, że starzy obdarowali już ją nyktofobią, więc nie są dla niej autorytetem. Owszem, kocha ich, ale ma własny rozum. I chociaż sama nie wie, jak by się zachowali na jej miejscu, to na pewno nie chcieliby, żeby wracała do tego domu wariatów.

– Romeo! Jezus Maria! – wrzeszczy Julia, wybiegając z sypialni w koszuli nocnej.

Roman stoi półprzytomny pośrodku kuchni z dubeltówką w dłoniach.

– Nie wiem, jak to się stało – próbuje się wytłumaczyć. – Zasnąłem. Broń chyba wypadła mi z dłoni. Pewnie przypadkiem wystrzeliła.

– Ty mamucie jebany! – Julia podbiega do męża i wyszarpuje mu broń z rąk. – Oddawaj mi to!

– Uważaj, do diabła! Sama przecież nie wiesz, jak tego się używa!

Mocują się przez chwilę, po czym uderzają strzelbą o ścianę z taką siłą, że rozpada im się w dłoniach na kilka części.

– No i masz! – Roman patrzy na żonę z wściekłością. – Teraz dopiero narobiłaś, idiotko.

– I bardzo dobrze! – Julia z rozmachem kopie rozrzucone części. Lufa znika gdzieś pod stołem. Kolba uderza ponownie o ścianę i otwiera się jak zaczarowane pudełko. Wewnątrz widać jakiś przedmiot o regularnym kształcie. Falkowie są tak zaskoczeni i zaintrygowani, że natychmiast przestają się kłócić. Przykucają przy kolbie-niespodziance i nie wierzą własnym oczom.

– Poznajesz ten symbol? – pyta Roman.

– Poznaję, Romeo. Też byłem u pierwszej komunii.

We wnętrzu kolby znajdował się okrągły opłatek z wytłoczonym krzyżem oraz literami IHS. Ciało Chrystusa.

– O co tu chodzi? Dlaczego ta kolba miała skrytkę i dlaczego na Hostię? – pyta znowu Roman.

– Czy to ma pomagać? Sprzyjać szczęściu? Ale czy z punktu widzenia Kościoła takie wykorzystanie komunikantu to nie grzech? Przecież dla wierzących to prawdziwe ciało Jezusa – zastanawia się Julia.

– Oho, zapamiętałaś co nieco z katechizmu – mruczy mąż, zbierając opłatek z podłogi i z pewnym zakłopotaniem odkładając go na stół.

– Więcej niż z paragrafów o moralności seksualnej – odpowiada mu żona, lecz to nie jest dobry czas ani na przekomarzanie się, ani na żarty. – Niby nic, a jednak kolejne dziwaczne wydarzenie – stwierdza.

– I kolejna skrytka – dopowiada Roman.

– To znalazłeś już jakąś? Nic o tym nie wiem.

– A, to tylko był drobiazg. Taka atrapa książki z wnęką pod okładką.

– To tam znalazłeś kule do tego świństwa? – Julia wskazuje na kawałki strzelby.

– Nie... – śmieje się Roman. – Wyobraź sobie, że naboje znalazłem w piwnicy. Leżały w misce pod skrzynką elektryczną, wymieszane z korkami.

– Że co?!

– Tak jakby ktoś je ukrył, ale z humorem. Nie tak, żeby nie można było ich odnaleźć.

– Brzmi jak kolejna sprawka mojej siostry. Tak jak z telefonem – zastanawia się głośno Julia.

– Może i tak...

– No dobra, to naboje. – Julia wraca do tematu. – A co schowano w tej atrapie książki?

– Ech... – Roman ucieka wzrokiem w bok.

– No?

– To była piersiówka. Z bimbrem – przyznaje Roman z pewnym wstydem.

– I wychlałeś ją? – Słyszysz oskarżycielski ton, którego bardzo nie lubi.

– Jeszcze nie – odpowiada, ale jego głos nie brzmi przekonująco.

– Obiecałeś uważać z alkoholem.

– Przecież mówię, że tego nie piłem – broni się Roman. – Nie ryzykowałem. Przecież nawet nie wiadomo, ile to ma lat.

– To skąd wiesz, że to alkohol?

– A co innego może być w piersiówce? Przecież nie woda święcona.

– Nie? A słyszałeś o przechowywaniu komunikantów w kolbie karabinu?

– To strzelba, nie karabin – poprawia żonę Roman.

– Przestań chrzanić. – Julia znów dźga męża oskarżycielsko palcem. – Przyznaj się, czy piłeś. Może to rzuciło ci się na mózg i zacząłeś szaleć?

– Nie piłem. Tylko otworzyłem i powąchałem. Śmierdziało alkoholem. Schowałem na później w piwnicy – odpowiada mężczyzna bez przekonania. – No mogę nawet ci ją przynieść, jeśli nie wierzysz i jeśli nie starczy, że chuchnę.

– Co to da, wino piłeś. – Julia macha ręką.

– Nie upiłem się i nie wystrzeliłem po pijaku, rozumiesz? Spałem – zapewnia ponownie mężczyzna. W ciszy mija kilka dłużących się sekund.

– Dobra, wierzę ci – odzywa się w końcu Julia.

– Cieszę się – odpowiada kwaśno mąż.

– Nie ciesz się za bardzo, Romeo, bo inna rzecz mnie niepokoi.

– Mianowicie?

– Dlaczego po wystrzale i naszych kłótniach nie usłyszeliśmy zbiegającej po schodach Alex? Aż tak mocno zasnęła czy aż tak nas się wystraszyła? Chodźmy

tam, tylko daj mi włożyć dzinsy, nie chcę latać w samej koszulinie.

„Nie wiem, jak by się zachowali, ale na pewno nie chcieliby, żebym tam wracała” – odpowiada Alex swojemu sumieniu. Z tym że ona zwykła postępować wbrew swoim rodzicom.

Dlatego kusi ją, żeby dokuśtykać z powrotem do chaty i podsłuchać pod oknem, co się dzieje wewnątrz. Jedno jej nie pozwala: ból nogi. Kostka strasznie spuchła. Przydałoby się ją obłożyć czymś zimnym. Lecz przecież nie po to Alex uciekała z tego domu wariatów, żeby teraz wracać tam, bo chce skorzystać z lodówki.

Pozostaje schłodzić nogę w wodzie. Tylko skąd ją wziąć? Przecież nie będzie szukać kałuży. Studnia, z tego, co Alex pamięta ze zwiedzania uroczyska, od dawna nie działa. Zresztą, nawet gdyby była sprawna, to korzystając z niej trzeba byłoby narobić takiego hałasu, że równie dobrze można wrócić do chaty.

„Nie ma wyjścia: muszę doczłapać do jeziora i tam schłodzę nogę – postanawia. – Tylko przez pół godziny, a gdy się poprawi, pobiegnę do samochodu”.

Alex podnosi się z trudem. To tylko kilkadziesiąt kroków, nie więcej. Byle nie pomylić drogi. I byle nikt z domu nie wypatrzył światła latarki z jej komórki. Okazuje się jednak, że to nie jedyne problemy. Po deszczu jest grząsko i ślisko. Lepiej nie wpaść w jakieś bagno.

Skupia się na bezpiecznym stawianiu kolejnych kroków. To pozwala jej nie myśleć o wszystkim, co może czaić się w ciemnościach, co może na nią skoczyć, otrzeć się o jej nogę, naruszyć jej strefę komfortu. Coś przyszło w nocy i zniszczyło rowery Falków, o ile ci nie kłamali. Nie, musi się skupić na drodze, na kolejnych krokach, które trzeba postawić.

Wreszcie Alex widzi upragniony brzeg jeziora. Przyspiesza kroku. Czuje się nieomal jak dzikie zwierzę, które na sawannie wypatrzyło wodopój. Przysiada na powalonym pniu wielkiego drzewa, którego kawałek wisi bezpośrednio nad taflą jeziora. To idealne miejsce, by zanurzyć bolącą nogę w chłodnej wodzie. Nawet przez grubą sztuczną skórę buta czuje ulgę.

Komórkę kładzie tak, by jej światło nie było widoczne od strony chaty. „Co też mogło się tam wydarzyć? – zastanawia się. „A jeśli Roman zacznie jej szukać?” – pyta w myślach i sama odpowiada: „Na pewno pobiegnie drogą w stronę

samochodu”. Alex uświadamia sobie, że, paradoksalnie, przez swoją kontuzję trafiła w miejsce, gdzie nikt nie będzie jej szukał.

Nawet koniec świata by jej tu nie dosięgnął. Nawet grzyby atomowe. Rodzice opowiadali jej, jak w dzieciństwie wystraszyli się awarii w Czarnobylu. Poznali nawet człowieka, który był tam ratownikiem. Miał na imię Aleksander – a właściwie Aleksandr – i Alex zastanawia się czasem, czy to nie po nim odziedziczyła swoje imię. Czarnobyl... Rodzice Alex, już będąc dorosłymi ludźmi, myśleli, że nazwa nigdy nie będzie straszyc. A tu proszę, nagle wybucha wojna na wschodzie, pod czarnobylską elektrownią pojawia się wojsko, miliony ludzi znów boją się ludzkiego błędu, który sprowadzi na nich nieszczęście. To lęk, który powraca jak nyktofobia.

Roman i Julia stoją skonsternowani na poddaszu i zastanawiają się, gdzie znikła Alex i jaki będzie jej kolejny krok? Bo co do tego, w jaki sposób uciekła, nie mają żadnych wątpliwości. Okno jest otwarte na oścież, a pod nim stoi karton z książkami z wyraźnym odciskiem ciężkiego buta.

– Ciekawe, kiedy uciekła? Jak dawno temu? Gdy tylko zaprowadziłaś ją na górę?
– Roman skrobie się po głowie, jak zwykle skulony, by nie rąbnać głową o wystające z sufitu poziome belki jętek.

– Może nawet nie słyszała twojego strzału na wiwat, kto wie – odpowiada Julia.

– I uciekła prosto w noc, choć boi się ciemności?

– Może tym razem miała ze sobą latarkę i to wystarczyło. Nie wiem, ale jej komórki nie widzę, więc to by pasowało.

– Tylko dlaczego zostawiła laptop, Sherlocku?

– Może uciekała w pośpiechu, Watsonie – odpowiada Julia. – To by pasowało do wersji, że jednak ulotniła się po twoim strzale. A propos komputera, spójrz na ekran. Wygasił się o 1:24. Czyli jeszcze niecałe pół godziny temu Alex go używała. To również pasuje jak ulał do hipotezy, że to strzał tak ją przeraził, że zwiła.

– A co to za tekst za tymi kulami latającymi na ekranie? To materiał o nas? – Roman pochyla się nad komputerem i zaczyna bez większego sensu stukać w klawiaturę.

– Czekaaj! – Julia odpędza go zbyt późno. – Co ty jesteś, komputerowy idiota? No co żeś narobił?

Na ekranie znikły kule, znikł tekst, a pojawiło się żądanie hasła.

– Sorry, jakoś tak wyszło – chrząka Roman z zakłopotaniem.

– Co za mamut! – jęczy Julia, wpatrując się w pasek na hasło. Potem szybko wpisuje siedem literek: B-a-u-h-a-u-s. Zgadzaają się. Hasło jest prawidłowe.

– Skąd wiedziałaś? – dziwi się Roman.

– Ostatnie trzy litery poznałam przypadkiem, gdy wpisywała je Alex. Pozostałych się domyśliłam, kiedy zobaczyłam desktop z filmem i zespołem. Pamiętasz, widzieliśmy „The Hunger” na zajęciach z tej tak zwanej akademii filmowej na naszych studiach.

– Jasne. „Zagadka nieśmiertelności”, dumny polski tytuł, jak zwykle. Ze sto lat temu to było – przytakuje Roman. Oczywiście, że pamięta. Był wtedy przystojnym studentem otoczonym wianuszkami platynowych blondynek w typie Agnieszki Orbik, pozującym na romantycznego buntownika z nieco patologicznej rodziny. Julia zaś była szarą myszką z burymi włosami, zadającą się z jakimiś wydziałowymi kryptogejami. A jednak coś ich wtedy do siebie przyciągnęło. – Ciekawe, czy Alex kręca wampiry i horrory? Gotką jest? Koszulę też miała czarną...

Lecz Julia już nie słucha. Ma coś bardziej interesującego do roboty niż komentowanie podejrzeń Romana. Z zapartym tchem czyta dokument, który Alex pozostawiła otwarty. Przetłumaczony ciąg dalszy historii uroczyska Upierz. „A może sama to wymyśliła? – zastanawia się Julia przezornie w trakcie czytania – Bo skąd by to wzięła?”

Wtedy kątem oka dostrzega przy klawiaturze odłożoną grubą książkę. Gdy zagląda do środka, nie ma już wątpliwości, że to nie wymyślił Alex ma przed sobą.

– Wiesz co, Romeo? – mówi po skończonej lekturze. – Wydaje mi się, że powinniśmy jednak uruchomić ten telefon alarmowy.

GODZINA 1:55

Baśka ma dosyć słuchania o kłopotach innych. Zerka ze zniecierpliwieniem na swój elegancki zegarek, podarek od niegdysiejszego wielbiciela. To nieprawda, że wszyscy sprawdzają godzinę już tylko na własnej komórce. „Babki z klasą dobrze wiedzą – nieraz dowodziła Baśka koleżankom – że szykowny zegarek to symbol statusu, galanterii, a nawet seksualnej atrakcyjności”. Dzisiaj jednak na nic się jej nie przyda. Jej rozmówca to wypalony aktor, który przyćpał o kilka razy za dużo, dał się złapać w niewygodnej sytuacji, okrasił to stekiem wyzwisk na temat kolegów z branży i Polaków, a teraz usiłuje rozpaczliwie ratować swoją karierę.

Baśka półgębkiem obiecuje pomoc. Głowę ma jednak zaprzątniętą czym innym. Zastanawia się, czy pomocy nie potrzebuje kto inny. Ktoś, za kogo jest osobiście odpowiedzialna jako szefowa. Teraz ma do siebie pretensje, że wybrała osobę tak niedoświadczoną, kierując się tym, że po pierwsze: dziewczyna nie jest zepsuta przez branżę, po drugie: pochodzi z Mazur, a po trzecie i najważniejsze – interesuje się tematyką, w której siedzą bohaterowie jej wywiadu. „Tylko tym się kierowałam? – powtarza sobie w myślach Baśka i uśmiecha się delikatnie. – W sumie to naprawdę niemało. To były znakomite powody, by wysłać do Falków właśnie Alex”. Uspokaja się.

– Uśmiechasz się, Basiu. To znaczy, że widzisz dla mnie jakąś szansę? – Upadły aktor zauważa jej grymas. – Mogę do ciebie mówić „Basiu”?

– Tak, tak. – Redaktorka odrywa się od swoich rozmyślań.

– Tak, widzę dla ciebie szansę? Czy: tak, możesz mi mówić „Basiu”?

– Poczucie humoru cię nie opuszcza. To znaczy, że nie jest źle. – Baśka wykręca się od odpowiedzi.

– Poczucie humoru! Polska to kraj nieśmiesznych kabaretów. A z rzeczy najbardziej zabawnych nikt się nie śmieje, bo są naszą codziennością. Wiesz, co kiedyś powiedział o poczuciu humoru...

Lecz Baśka znów nie słucha żalów celebryty. „Jeśli coś się stało Alex, to na pewno nie z mojej winy” – pociesza się wśród migających świateł baru.

– Jeśli mi nie pomożesz, to już nie wiem, co zrobię – kontynuuje skompromitowany aktor. – Myślałem sobie nawet, że zajmę się hodowlą psów. Mieszałbym różne rasy i sprawdzał efekty. A szczeniaczki rozdawał znanym znajomym.

– To legalne?

– Oczywiście. Na przykład zmieszałbym husky i labradora. Albo kudłatego chow-chowa i tego śmiesznego żółtego japońskiego psa, nie pamiętam nazwy rasy. Wiesz, w przyrodzie takie hybrydy to normalność. Na przykład legrys to krzyżówka samca lwa i tygrysicy, a tygiew – lwicy i tygrysa...

Baśka nie wie, czy przebrzmiały gwiazdor mówi serio czy żartuje. Chciałaby mu odpowiedzieć, że może to i legalne, ale niezbyt mądre. W schroniskach pełno przecież niechcianych zwierzaków, a on – bez żadnego merytorycznego przygotowania – chce hodować kolejne. „Aktor skundlony”, wyobraża już sobie tytuł w tabloidach i to, nie wiadomo czemu, poprawia jej humor.

ROZDZIAŁ 18

UROCZYSKO

Alex czuje przyjemny chłód wokół spuchniętej stopy zanurzonej w wodzie. Także podmuchy wiatru uderzające w jej plecy, sklejone ze spoconą koszulką, są więcej niż miłe. Po tygodniu upałów trudno tego nie docenić. Dziwne natomiast – zwłaszcza w jej wypadku – że chociaż jest sama nocą nad jeziorem, to z każdą chwilą czuje się coraz bezpieczniej. Czyżby zaczęła przewycięzać nyktofobię? Światło latarki daje Alex – być może złudne – poczucie bezpieczeństwa. Lecz nie tylko ono pomaga. Wiatr przegonił już chmury i na czystym nocnym niebie Alex widzi morze gwiazd. Księżyc łśni pełnym blaskiem. Nawet w nocnych odgłosach ptaków i żab, dobiegających do jej uszu, Alex odnajduje spokój i jakiś rodzaj schronienia. Nie czuje stamtąd żadnego zagrożenia. Z każdą chwilą staje się coraz bardziej elementem tego świata, tego pejzażu. Zapada się w nim, zlewa z całością. W chwili odwagi gasi nawet na chwilę latarkę.

Serce uderza trochę mocniej, ale szybko się uspokaja. Alex nabiera przekonania, że nikt jej tutaj nie może dostrzec, tak bardzo zlała się z otoczeniem. Jest bezpieczna, nic jej nie grozi. Tym razem noc udziela jej schronienia. To niezwykle i nieznane jej uczucie.

„A może by wytrzymać tutaj do świtu? To już pewnie mniej niż dwie godziny – przychodzi jej do głowy. – Tylko co to mi da? I tak muszę dostać się do auta. Gdyby jeszcze dało się to zrobić bez przechodzenia obok tego przeklętego domu”. Alex patrzy na Fącelty, rozciągające się jeszcze daleko na lewo i prawo. Tafla wody jest tak spokojna i czysta, że odbija rozgwieżdżone niebo. Spokój. Wytchnienie. To czuje. Prawie odprężona, bawi się łańcuszkiem z kluczami jak dziecko.

– Lubisz nocą chodzić po cmentarzach? – słyszy nagle głos, który wszystko burzy.

Roman z cichym wyzwiskiem na ustach odskakuje od otwartej skrzyni. Nie takiej zawartości się spodziewał. Nie wypchanego rysia, który jego zdaniem za każdym razem wygląda inaczej.

– Ach, zapomniałam ci powiedzieć. – Julia odsuwa męża. – Wrzuciłam tutaj to paskudztwo, bo straszło Alex. Telefon jest pod spodem.

– Szkoda, że nie ma tu myszy. Może by go zjadły. – Roman ze wstrętem bierze wypchanego rysia z rąk żony i odkłada pod półki zastawione dziwadłami z szyszek i żołądzi.

Potem Julia wyciąga aparat. Okazuje się przy okazji, że pod nim, na dnie skrzyni, jest coś jeszcze. Czarno-białe zdjęcie w grubej oprawie.

– A to ciekawe – szepcze Julia i wyjmuje fotografię. Pokazuje ją Romanowi.

To stare rodzinne zdjęcie. Sądząc po strojach sportretowanego stadła – przedwojenne. Na fotografii widać trzy osoby stojące przed chatą na uroczysku. Mężczyzna w stroju myśliwskim ma przewieszoną przez ramię strzelbę. Kobieta w białej sukni trzyma w dłoniach poduszkę, a na niej klucz. Dziecko w ciemnym mundurku ściska lichtarz z czterema zapalonymi świecami. Trudno powiedzieć, jaki to wszystko ma sens. Tym bardziej, że jeden upiorny szczegół rzutuje na całość. Twarze tych osób są wydrapane. Wycięte. Jakby w głowach mężczyzny, kobiety i dziecka zrobiono miejsce na nowe twarze.

– Jeszcze takiego dziwadła potrzebowaliśmy – mruczy Roman. – Upiorne.

– Paskudne. Może dlatego schowali aż na dno skrzyni – mówi Julia z tajemniczym uśmiechem. – Dobra, to gdzie może być gniazdko? – Podnosi aparat i wymachuje końcówką kabla.

– Praktycznie wszędzie.

– Raczej teoretycznie wszędzie – poprawia Romana żona. – W praktyce telefony najczęściej stawiano w salonach lub w korytarzach. Czyli tam zaczynamy.

– Jak sobie życzysz, Sherlocku – odpowiada jej mąż. – Wyjaśnij mi tylko: gdzie i po co chcesz dzwonić? Uwierzyłaś w te bajki z książki? Czy przekonałem cię, że ktoś nas prześladowuje?

Julia nie odpowiada. Schodzi już po schodach. Roman rusza za nią.

Chyba wie, kto to. Ale na wszelki wypadek Alex oświetla jeszcze niewyraźną sylwetkę, która pojawiła się za jej plecami.

– Weź, nie po oczach. – Hak osłania twarz dłonią.

– Przepraszam. – Alex zmienia kąt ustawienia aparatu. Przedtem jednak zauważyła na przedramieniu chłopca długą ciemną smugę. Wygląda jak krew. – Coś ci się stało w rękę? – pyta.

– A, nic takiego. – Hak zerka od niechcienia na ranę. – Do wesela się zagoi.

– Widzę, że w końcu założyłeś trampki.

– Szkoda nóg.

– Co tutaj robisz o tej porze, Hak? Nie powinieneś być w domu?

– Burza mnie złapała. Schowałem się, przespałem chwilę. – Chłopiec wzrusza ramionami, jakby było to coś zupełnie normalnego.

– A co z rodzicami? Może cię szukają?

– Żartujesz sobie. – W jego głosie słychać i drwinę, i gorycz.

– Dlaczego? Przecież...

– Nie chcę o tym mówić, dobra? – odpowiada, po czym szybko dodaje: – To ja już pójdę, cześć.

– Czekaj – powstrzymuje go Alex. – Dlaczego powiedziałeś, że chodzę po cmentarzu?

– A nie jest tak?

– Tu nie ma żadnych grobów. Tylko tam dalej, ta piramida...

– No jest. Grób pradziadka – podchwytuje Hak. – Odwiedziłem go. Ale śpi.

– Czyli wszystko u niego w porządku. Kto śpi, ten nie grzeszy, jak to mówią. – Alex stara się zaśmiać. – Tyle że to jeden grób, a ty mówisz o całym cmentarzu, jakby mogił było tu więcej.

– A nie ma? Dasz głowę? – odpowiada chłopiec pytaniem.

Alex pamięta, rzecz jasna, grafikę z książki, ale nie chciała o tym Hakowi od razu wspominać. „Sądziłam, że to miejscowa tajemnica jeszcze z czasów niemieckich, ale może jednak wiele osób w regionie zna tę legendę”. Tylko taki

wniosek przychodzi jej do głowy. Przyznaje więc przed Hakiem, że czytała opowieść o grobach niechcianych dzieci.

– No widzisz. – Chłopiec przytakuje. – To cześć.

– Poczekaj jeszcze. Może posiedz tu ze mną do rana.

– A co, boisz się? – drwi dzieciak.

– Nie – zaprzecza Alex. – Martwię się raczej o ciebie.

– Martwisz się o mnie? A mnie się nie boisz?

– A dlaczego ktokolwiek miałby się bać ciebie? – odpowiada Alex z udawaną pewnością siebie w głosie. – Przecież widzę, że krwawisz. Duchy nie krwawią.

– Prawda. I jeśli coś krwawi, można to zabić – dodaje chłopak.

– Ha, to może ty mnie się boisz i dlatego nie chcesz zostać? – prowokuje go Alex. Bez powodzenia. Hak zmienia temat.

– A co ty właściwie tu robisz? – pyta.

– Nogi sobie moczę.

– Czemu nie w domu, z innymi turystami?

– Aaaa... Klótnia była. Nie chciało mi się już tam siedzieć – kłamie Alex.

– To pójdę zobaczyć, co u nich słychać. Cześć.

– Jak to? – Alex podrywa się. – Nie, nie rób tego!

– Dlaczego? Lubię do nich zachodzić.

– To niebezpieczne.

– Dlatego wezmę to. – Hak pochyla się i podnosi z ziemi kamień wielkości męskiej pięści.

– Przestań, nawet o tym nie myśl. – Alex wyciąga nogę z wody i przesuwa się po pniu w stronę chłopca. Łatwiej jej będzie, jeśli pomoże sobie obiema rękami, więc na moment odkłada komórkę.

– Zabraniasz mi? – W głosie chłopca, płynącym teraz z ciemności, znów słychać rozdrażnienie.

– Po prostu... Po prostu nie powinieneś. Tak, zabraniam.

– To masz! – Hak rzuca kamieniem. Trafia jednak nie w Alex, tylko w jej telefon.

Słychać tłukące się szkło i wściekły jęk zaskoczonej dziewczyny. Aparat ląduje w wodzie jak nieudolnie puszczona „kaczka”, światło gaśnie.

Śmiech odbiegającego w noc Haka miesza się z krzykiem i niecenzuralnymi wyzwiskami Alex.

– Słyszałeś to? – pyta Julia, przerywając na moment sprawdzanie ścian salonu w poszukiwaniu gniazdka telefonicznego.

– To chyba jakiś nocny ptak – uspokaja ją Roman, odsuwając materiały do „Minotaura” i myszkując w kątach pokoju.

– Brzmiał jak śmiech dziecka.

– Może gdyby brzmiał jak śmiech Alex, to bym się zaniepokoił – zbywa żonę Roman. – Skąd niby tu dziecko?

– No nie wiem.

– Chodzi ci o tę bujkę, legendę o grobach niechcianych dzieci? – pyta Roman, jakby nagle zrozumiał. – Spokojnie. Jak to duch, to jeszcze się odezwie.

– Bardzo śmieszne – prycha żona.

– O! Chyba mam ten kontakt – triumfalnie oznajmia Roman, pokazując miejsce za starą amerykanką, rozkładanym fotelem przykrytym kolorową narzutą.

– Dobra, podłączamy. – Julia wciska kabel do gniazdka.

Czar pryska. Alex czuje, że znów zmienia się w zastraszonego dzieciaka, zduszonego otaczającymi go ciemnościami. Księżyc przysłania chmura. Gwiazdy odbite w jeziorze prawie zanikają. Alex próbuje się opanować. Mówi sobie, że przecież przed chwilą czuła się komfortowo i chciała tu czekać do świtu. Dlaczego teraz miałyby poddać się panice? Tylko dlatego, że Hak zniszczył jej telefon? Na szczęście ma też przy sobie, w tylnej kieszeni spodni, służbowy aparat. Musi go tylko uruchomić.

Pieprzony gówniarz – mruczy pod nosem. – A idź sobie do tego domu wariatów.

Potem przypomina sobie, że takimi „pieprzonymi gówniarzami” byli też w dzieciństwie jej rodzice. Sami się chwalili. Wspomnienie znad Biebrzy nie było przecież jedynym, jakim z dumą uraczyli Alex. Nikt nie mógł nad nimi zapanować. Wszędzie ich było pełno, a szczególnie w miejscach zakazanych, do których nawet

dorośli nie mieli wstępu. Zgubić się, ukryć w lesie lub ruderze – to był ich żywioł. Łazili po cmentarzach, zwiedzali opuszczone gospodarstwa, szukali skarbów, pomagali komuś ściganemu przez władze. Robili rzeczy, za które mogli wylądować w poprawczaku, a ich rodzice – w więzieniu. To nie były rzeczy złe, lecz nielegalne. Zachowanie dzieciaków usprawiedliwiały: przyjaźń, lojalność i wrażliwość na krzywdę innych. Może Hak też taki jest, choć pozował na małego drania? I jednak potrzebuje pomocy i opieki kogoś starszego?

Alex rusza stopą w różnych kierunkach. Nie jest źle, dużo lepiej niż wcześniej. Może chodzić. Szkoda, że tabletki przeciwbólowe zostawiła w apteczce w samochodzie.

„Trudno, jakoś dam radę” – wmawia sobie. Włącza latarkę w służbowym aparacie i rusza w stronę domu na uroczysku. Tropem Haka.

– Nie ma sygnału. – Roman odkłada słuchawkę. – Do dupy.

– Pokaż, ja sprawdzę.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby Agnieszka nas wpuściła w maliny – zaczyna Roman, ale żona zaraz wchodzi mu w słowo:

– Ty zawsze jej bronisz. Zawsze po jej stronie, nawet teraz!

– Może wiatr zerwał linię telefoniczną? – zastanawia się głośno mężczyzna, rozdrapując kilka strupów pod czapeczką.

– A może przestań już wydziwiać i szukać alibi dla Agnieszki. To naprawdę niepotrzebne – odpowiada Julia i ze słuchawką przy uchu zaczyna naciskać guziki telefonu.

– Co robisz? – dziwi się Roman.

– Wykręcę numer do siostry.

– Żarty sobie stroisz. I co, dodzwoniłaś się?

– Przestań gadać – ucisza go Julia i nadstawia ucha. – Słyszałeś?

– Nie.

– Coś jakby pukanie.

– Chyba ci się wydaje. To ja z nas dwojga mam słuch „absolutny”. Zarejestrowałbym każdy niepokojący hałas.

– No dobra. – Julia patrzy na męża z dziwnym wyrazem twarzy. – To podaj mi jakiś inny numer.

– Po co? Przecież nigdzie się nie dodzwonimy, nie ma sygnału!

– No to popatrz tylko. – Julia zaczyna używać różnych kombinacji przycisków.

2-2-4. Nic. Odkłada słuchawkę i wybiera kolejny numer.

2-2-5. Nic.

1-8-5-5. Nic.

– Dziwne – mruczy Julia. – To może tak...

Wbija 3-1-2-1-9-2-4-2-5-2-6. Też bez efektu.

– Co ty wyprawiasz? – niepokoi się Roman.

– Nie przeszkadzaj – zbywa go żona. Wpatruje się w guziki aparatu telefonicznego, po czym nagle w jej oczach pojawia się błysk.

Wciska 8-7-4-3-7-9. Nic.

– Dziwne, byłam pewna, że to zadziała – mruczy Julia, po czym uśmiecha się. – Już wiem!

Wbija 8-7-4-3-7-8-9.

Zza ściany słychać łomot jak kopnięcie w drzwi. Potem coś się roztrzaskuje.

– To znowu ten skurwiel! – krzyczy Roman i wielkimi susami wybiega z salonu.

Julia, z zadowoloną miną, idzie za nim niespiesznie.

Najgorsze są pierwsze kroki. Noga boli, nie została cudownie wyleczona wodą z jeziora Façelty. Alex jednak nie panikuje. Zza gałęzi zaczyna majaczyć światło z okna na poddaszu chaty. Jest jak latarnia morska, do której kieruje się Alex. Po drodze udaje się jej jeszcze wypatrzeć w trawie solidny kij. Przyda się – choćby po to, żeby podierać się na nierównej drodze i nie narobić sobie jeszcze większych problemów z kostką. A może nada się i do czegoś więcej.

Już w korytarzu Roman i Julia widzą szczątki zegara z kukułką, wiszącego wcześniej między kuchennym oknem a wejściem do tego pomieszczenia. To on

nagle runął na ziemię i się rozsypał.

– Szkoda, ale nigdy go nie lubiłem. Denerwował mnie – mówi Roman. – Chyba gwóźdź się obłuzował.

– Gwóźdź? – śmieje się Julia. – Jasne.

– A co innego?

– Po prostu w końcu nacisnęłam właściwą kombinację.

– Czyś ty oszalała? – Roman patrzy na żonę jak na wariatkę. – Sądzisz, że to, co się stało z zegarem, miało coś wspólnego z twoim stukaniem w klawiaturę nieczynnego telefonu?

– Oczywiście!

– Stukałaś tak długo, że przez ten czas musiało się coś wydarzyć.

– Akurat. Uruchomiłam jakiś mechanizm, który spowodował to, co zaszło.

– I co niby wpisałaś na telefonie? Jakie zaklęcie? – drwi Roman.

– Najpierw próbowałam numery stron z książki, gdzie było napisane o tych zdarzeniach z Upierza. Potem wcisnęłam datę incydentu z tą całą „czarownicą”.

– A ten długi numer to co?

– Szczęśliwe liczby mojej babci, które przyniosły jej wygraną w dużym lotku.

– To chore, Julka. To naprawdę chore!

– Wcale nie! – Julia nie daje się zbić z tropu. – Potem zaczęłam wpisywać nie liczby i daty, lecz słowa.

– Czyli? – Roman wygląda na zdezorientowanego.

– Zaczęłam używać literek pod cyferkami na klawiaturze. Pod prawie każdą jakieś są. Czaisz? – tłumaczy żona. – Najpierw wpisałam tak U-P-I-E-R-Z. Kiedy to nic nie dało, zrozumiałam swój błąd. Przecież uroczysko ma swoją starą nazwę. Wcisnęłam U-P-I-E-R-T-Z i, jak widać, podziałało!

– Tak, podziałało! Ze ściany w kuchni spadł zegar z kukułką.

– Jestem pewna, że coś ciekawego w nim znajdziemy – odpowiada Julia, pochylając się nad drewnianymi szczątkami.

– Uważaj na jajka – drwi Roman.

– Przestań – odpowiada mu Julia. – Przestań, bo zaczynam zastanawiać się nad twoją rolą tutaj.

– To znaczy? – pyta mąż.

– Ten dom to escape room, Romeo. – Odwraca się do niego. – Zaprojektowany zapewne przez moją siostrzyczkę. Gdyby wypalił numer ze szczęśliwymi cyframi babci, miałabym pewność... A tak, jeszcze nie dam sobie ręki uciąć, że to Agnieszka. Może nie ma z tym nic wspólnego? Tak czy owak, pytanie brzmi: czy jesteś uczestnikiem tej gry razem ze mną czy też jej elementem?

– Ty naprawdę zwariowałaś. – Roman teraz już faktycznie nie wierzy w to, co słyszy.

– Ciekawe, czy jesteśmy obserwowani? Myślisz, że wszędzie tu są powtykane kamery? – Kobieta pokazuje palcem dookoła. – A twoja strzelba? Wystrzeliłeś z niej przypadkiem? A zauważyłeś, że nie ma nigdzie śladu po kuli? To jakieś ślepaki były? Są chyba ślepe naboje do dubeltówek?

– Jezus Maria, bredzisz, kochanie. Bierzesz jakieś proszki? – nie wytrzymuje Roman. – Trójkąt krytykant znów cię prześladowuje? Mam pomysł: zapytaj go o numery totka, skoro jest taki wszechwiedzący. Może wtedy pójdzie precz.

Lecz Julia czuje się zbyt pewnie, by czekać na wizytę złowrogiego trójkąta. Bez słowa grzebie w elementach rozbitego zegara, aż w końcu wydobywa z nich lśniący klucz z napisem „Gerda”.

– I co ty na to, Romeo? – Triumfalnie podnosi znalezisko.

GODZINA 2:11

Marylka budzi się cała spocona. Zerka na budzik z wbudowanym radyjkiem. Środek nocy! W domu jest gorąco, ale to nie dlatego Marylka czuje, jakby woda lała się z niej strumieniami. Coś nie daje jej spokoju. Może ci turyści, którzy zamieszkali na uroczysku?

Po pierwsze: są bardzo mili, ale małowówni. Cały czas skupieni na sobie i własnych sprawach, jakby pozbawieni chwili wolnego czasu. Nawet na kawę nigdy jej nie zaprosili. Nie wyglądają, jakby przyjechali do Upierza na urlop. I nie zadali Marylce ani jednego pytania o to miejsce. Trochę dziwne. Wiedzieli wcześniej? Tylko od kogo? Przecież ta firma, co dom przejęła, to nie mówi, co naprawdę w nim jest.

Po drugie: koło chaty na uroczysku Marylka widziała dziwne ślady. Początkowo je ignorowała, ale teraz nie dają jej spokoju. Bose stopy. Ta młoda kobieta z domu nie wygląda, jakby gdzieś boso chodziła, nie ten typ. A do tego dużego, jej męża, to rozmiar stopy nie pasuje.

Po trzecie: Marylka widziała dziś samochód jadący do Upierza. Ani chybi do tych państwa, do domu, bo gdzieżby indziej. W środku był... No, trudno powiedzieć, czy młody mężczyzna czy młoda kobieta. Ten ktoś nie wrócił, chociaż Marylka przesiedziała „poduszkowcem” wiele godzin, patrząc na drogę. No chyba że samochód przejechał, jak na Aniele Pańskim była, ale to cokolwiek za szybko by było, bo w tamtą stronę do Upierza za kwadrans dwunasta jechał. A skoro ktoś tam na noc pojechał, to czemu jedzenia więcej niż zwykle państwo z domu nie zamówili?

Jedzenie to ważna rzecz. Jakby na potwierdzenie tego faktu Marylka wstaje z łóżka – na tyle dyskretnie, by męża nie zbudzić – i zakrada się do lodówki po trochę kiełbasy domowej roboty. Ma do swego męża wiele pretensji i czuje się czasami, jakby była wdową, tak często on potrafi zniknąć na całe dni, ale żaden inny chłop nie umie takiej dobrej kiełbasy uwędzić.

„W telewizji gadają, że niezdrowo w środku nocy się pożywiać, ale przecież kiedyś tuż przed snem jadano i nazywano to podkurkiem – tłumaczy sobie Marylka. – Nic w tej telewizji o życiu nie wiedzą. O królowej Elżbiecie coś tam mają pojęcie. O zwykłych ludziach – żadnego”.

ROZDZIAŁ 19

AGNIESZKA

Jest aż jedenaście lat starsza od Julii. Dlatego zawsze uważała, że jej młodsza siostra była dzieckiem przypadkowym i niechcianym. Starła się tego nigdy siostruni nie mówić, ale nie zawsze Agnieszce udawało się trzymać gębę na kłódkę i w chwili złości potrafiła coś wypalić.

Z domu wybyła bardzo szybko. Nie dla niej były niedzielne obiadki, niekończące się wyprawy na grzyby i zajmowanie się młodszą siostrzyczką. Najpierw technikum z internatem – wybrała je celowo, żeby uciec od rodziny – potem studia. To nic, że na kierunku, który po 1989 roku coraz bardziej tracił rację bytu. Owszem, to nie miało sensu, lecz nawet nie warto wchodzić w szczegóły, ponieważ wkrótce potem życie Agnieszki bardzo się zmieniło. Zaczęło się kręcić tylko wokół jednego: wokół mężczyzny, w którym się zakochała. Nosił piękne imię Filip, ale ponieważ wszystkim kojarzyło się z filipem z konopi, kazał mówić do siebie „Phil”. Śpiewał piosenki o jej długich jasnych włosach, perłowych włosach. Były ślubne plany, zapowiedzi hucznego weseliska, aczkolwiek młodzi – wbrew powszechnemu zwyczajowi i ku własnej uciechu – zignorowali je i wybrali się od razu w podróż poślubną.

Do, bagatela, Australii.

Pieniądze jakoś się znalazły – w końcu babcia wygrała co nieco w dużego lotka – i polecieli. Po czterdziestu godzinach lotu i trzech przesiadkach wylądowali we wschodniej Australii. Stan: Queensland, miasto: Brisbane.

Agnieszka z przyjemnością odwiedziła krainę krokodyli. Odżyły liczne filmowe wspomnienia sprzed lat. Telewizyjny „Powrót do Edenu”. Kinowy „Krokodyl Dundee”. Saga o Mad Maksie i horror „Razorback” z kaset wideo. Tyle że wschodnia Australia w niczym nie przypominała pustyni, a krokodyli nie było za

dużo. Lecz i bez tego zakochała się w antypodach bardziej, niż mogła przypuszczać. Jej największą miłością stały się... koale.

– Już wolę krokodyle. Te miśki są nieprawdopodobnie głupie i słabe – drażnił ją Phil.

– Nie mów tak – strofowała go Agnieszka, urzeczona koalami jak dziecko. – Po pierwsze: one nie są niedźwiadkami. To torbacze. Po drugie: aż chce się je przytulać.

Gadała o koalach tyle, że niedoszły mąż zaczął już być zazdrosny. Choć to nie przez zazdrość doszło do godnej telenoweli sceny dwa dni przed zaplanowanym powrotem do Polski.

– Mów, co chcesz, ale po powrocie najbardziej mi będzie brak tych puchatych zwierzątek – westchnęła spocona na wymiętolonym łóżku w podrzędnym motelu.

– Po jakim powrocie? – zdziwił się Phil, zaciągając się trawką.

– No przecież niedługo mamy samolot.

– Może ty masz. Ja zostaję.

– Sam?!

– Ty zdecyduj.

– Ale to nielegalne. – Agnieszka pochyliła się nad Philem, jakby chciała sprawdzić, czy sobie nie żartuje.

– I co z tego? Ja zostaję, poradzę sobie, ciebie nie zatrzymuję.

Taka była to rozmowa. Dlatego Agnieszka uderzyła Phila w gębę i wielka miłość się skończyła. Była tylko zadowolona, że nie zaszła z draniem w ciążę. „Jest bardziej jadowita niż wszystkie pająki, węże i morskie paskudztwa z Australii” – rozpowiadał Phil znajomym. „Interesowałam się na studiach technologią żywności i wiem co nieco o truciznach – rewanzowała się pięknym za nadobne Agnieszka. – Ale żadna nie wywołuje takiego spustoszenia w mózgu jak przebywanie z Filipem ujaranym konopiami”.

Po powrocie do Polski zaczęła pracę w ogrodzie zoologicznym. Usłyszała bowiem plotkę, że do sławetnego wrocławskiego zoo mają być sprowadzone koale. Uważała, że po wizycie w Australii wie o nich już tyle, że z powodzeniem mogłaby zostać jedną z opiekunek torbaczy. Fachowcy szybko rozwiali jej złudzenia: żadne koale do Wrocławia nie przyjadą. „Przykra sprawa, ale na Starym Kontynencie

ciężko spotkać koale. Powód jest prosty: Australia przekazuje je w inne miejsca świata bardzo niechętnie” – tłumaczyli jej.

– Ale może to się zmieni? To ginący gatunek, warto więc chyba zabezpieczyć ich populację w różnych miejscach, tak na wszelki wypadek? Powodzie, pożary, wojny, liko nie śpi – argumentowała. I może nawet miała rację, aczkolwiek w żaden sposób nie mogło to wpłynąć na restrykcyjną politykę Australijczyków.

– Ech, dlaczego w Polsce nie można oglądać tych fantastycznych zwierząt? – narzekała przy którymś rodzinnym obiedzie. – Co tam pandy, z których Chińczycy zrobili sobie ambasadorów...

– Dziecko, znajdź sobie lepiej jakąś porządną pracę – doradzała matka.

– A nie mogę robić czegoś dla przyjemności? Chyba pieniądze z wygranej babci jeszcze się nie skończyły? – zażartowała. Raczej kiepsko, bo rodzice wcale się nie uśmiechali.

– Nie jesteś już dzieckiem, Agusiu. W tych trudnych czasach zajmowanie się jakimiś zwierzakami to absurd – oświadczył ojciec.

– Wiesz, gotowa byłabym nawet szorować kible, byle znaleźć pracę w zoo czy innym ośrodku dla koali. Na pewno są takie w Europie. Wystarczy poszukać i się postarać – odpowiadała rozżłoszczona.

– Masz jakąś obsesję na punkcie tych zwierząt – poirytowała się matka. – Chyba nawet przed snem liczysz w myślach te miśki niczym barany.

– To torbacze, nie miśki – odparła Agnieszka. – I są lepsze niż ludzie.

Koali przed snem nie liczyła, tyle że czasem po prostu o nich śniła. Na przykład, że wybudowała w mieście koalarium. Dla gromadki torbaczy sprowadzonych z Queensland. Żeby je podziwiać, przyjeżdżały nad Odrę rodziny z dziećmi z całej Polski, a nawet z zagranicy. We Wrocławiu poumieszczała w rozmaitych miejscach – na domach i słupach – żeliwne koale w różnych pozach i przebraniach. No, to musiało się wszystkim spodobać!

Sen nie sen, Agnieszka tak nabiła sobie koalami głowę, że zaczęła wydzwaniać do specjalistów z ogrodów zoologicznych w Polsce i sprawdzać, ile takie koalarium by kosztowało. Okazało się, że były już plany sprowadzenia torbaczy nad Wisłę lub Odrę, z pomocą bodajże bogatego japońskiego sponsora. Ostatecznie nic jednak z tego nie wyszło. Z wyliczeń wynikało, że już sam budynek, specjalnie przygotowany dla torbaczy, sporo by kosztował. To nie mini zoo z kucykami! Do

tego dochodzi fachowa obsługa oraz koszty sprowadzania świeżych liści eukaliptusa. Najgorsze jednak, że Australijczycy, nawet jeśli już decydują się gdzieś wysłać swoje futrzaste narodowe skarby, to wybierają renomowane ogrody zoologiczne. Nikt nie przekazałby cennych zwierząt dziwaczce żyjącej po drugiej stronie globu – nawet gdyby była milionerką.

A bogaczką Agnieszka nie była, tak samo jak reszta rodziny Orbików. Ojciec stracił większość pieniędzy na giełdzie, reszta poszła na drobne wydatki i edukację „niechcianej” i „spóźnionej” Julii. Agnieszka mogła tylko patrzeć, jak we Wrocławiu zamiast koali pojawiają się na ulicach żeliwne krasnale, budzące zachwyt turystów, zwłaszcza dzieci.

Nic tak nie dręczyło Agnieszki jak niespełnione marzenia, czy wręcz wykradzione przez innych (bo tak potraktowała pomysł z krasnalami, mimo że powstał niezależnie od jej szaleństwa na punkcie koali). Zmieniała pracę i mężczyzn, nic nie przynosiło jej satysfakcji. Kiedy weszliśmy do Unii Europejskiej, a zachodnie rynki otworzyły się na pracowników z Polski, znalazła sobie legalną robotę w Hiszpanii. Początkowo przy owocach, potem w hotelu. Wydawało się, że na pracę marzeń nie ma już co liczyć i wreszcie pogodziła się z własnym losem. Aż tu nagle pewnego dnia wysłała do Julii maila z dwoma zdjęciami. Pierwsze z ogrodu zoologicznego w Madrycie. Agnieszka stoi tam przy zagrodzie z koalami, tak roześmiana i szczęśliwa jak nigdy. Na drugim zdjęciu widać Agnieszkę w restauracji. W tle wiszą eksponaty z Australii. Sztuka Aborygenów, rysunki i zdjęcia zwierząt. Kangurów, krokodyli, dziobaków, kolczatek, wombatów, kuok, psów dingo, diabłów tasmańskich, kazuarów, strusi emu... I wielki ekran, na którym można podglądać życie koali zjadających się niespiesznie liśćmi eukaliptusa. Ten wspaniały kawałek Australii na Starym Kontynencie miał nawet wymyśloną odpowiednią nazwę: Euroliptus.

Właściciel restauracji został narzeczonym Agnieszki. Okazało się, że to niejedyna jego knajpka w Madrycie. Kiedy się pobrali, Agnieszce niczego nie brakowało. Żyli na wysokim poziomie. Byli ze sobą kilka lat, wyglądali na szczęśliwych, aż nagle Hiszpan zostawił Agnieszkę dla młodszej. Ponoć pracowała w madryckim ogrodzie zoologicznym.

Orbik wróciła do Polski dużo bogatsza – bo rozwód musiał męża-zdrajcę słono kosztować – z doświadczeniem w sprawach biznesowych oraz wyleczona z miłości do torbaczy. Nagle zainteresowała się swoją siostrą i jej mężem. Nie mówiła, że ich

lubi czy szanuje. Obiecywała tylko, że zrobi z Julii i Romana gwiazdy. Stało się to jej *idée fixe*. Byli jej nowymi kołalami. Tyle że oni nie mogli spać po dwadzieścia godzin na dobę i objadać się za darmo.

Droga do sukcesu trwała kilka lat. Wspinaczka na szczyt była bardzo trudna, lecz gdy Agnieszka coś sobie postanowiła i wierzyła w sukces, potrafiła pracować jak robot. Zdawała sobie sprawę, że w Julię i Romana trzeba odpowiednio zainwestować, dać im czas na rozwinięcie skrzydeł. Dlatego jednocześnie prowadziła inną działalność, która bardzo szybko stała się dochodowa.

Jej rodzice, zapaleni grzybiarze, nie potrafili uwierzyć, że spieniężyła (czy jak mówią w korporacjach: „zmonetyzowała”) ich pasję. Założyła dwujęzyczny, polsko-angielski kanał na YouTube, który nazwała „Wiedźma od grzybów” („Mushroom Witch”). Na jego bohaterkę wybrała starszą panią z sąsiedztwa, Helenę, zwaną Helcią. Znała ją co nieco, bo od lat wskazywała rodzicom najlepsze miejsca do zbierania grzybów w dolnośląskich lasach. Na filmie towarzyszyła starszej pani z kamerą podczas grzybiarskich wypraw. Staruszka opowiadała, jakie to cuda zdarzało się jej znaleźć. Gdzie był gigantyczny pięciokilowy prawdziwek, którego kapelusz mogła sobie nałożyć na głowę. Albo gdzie tak wysypało kozakami, że nie starczyło jej miejsca w koszyku i powtykała sobie grzyby pod ubranie, bo przecież szkoda było cokolwiek zostawić. Opowiadała o wyprawach ze znajomymi, podczas których ktoś albo mało się nie utopił w bagnie, albo zgubił kalosze i wracał pieszo, albo wystraszył swoim kozikiem myśliwych. Była nawet historia o grzybiarzu, który przypadkiem nakrył w lesie własną żonę figlującą z jego kolegą z pracy.

W każdym odcinku Helcia (po angielsku przedstawiana jako Hell, czyli piekło, żeby bardziej kojarzyła się z czarownicą) pokazywała również, jak przyrządza jakieś danie z grzybami. Zupy, krokiety, naleśniki, nawet kanapki i ciasta. Z grzybami świeżymi, gotowanymi, marynowanymi, suszonymi, we wszelkich możliwych kombinacjach. Kiedy zaś okazało się, że pomysł chwycił, Agnieszka zaczęła wzbogacać filmy o dłuższe wypowiedzi fachowców. A to toksykolog wymądrzał się o zatruciach, a to antropolog mówił o znaczeniu grzybów w kulturze, siwy rockman – o grzybach halucynogennych, historyk literatury – o motywie grzybobrań w książkach. Orbik zaczęła jeździć po całym kraju, a największą popularność zdobył odcinek ze zbieraniem kurek w Puszczy

Knyszyńskiej, zakończonym niebezpiecznym spotkaniem z żubrami, które najwyraźniej też miały chętkę na grzyby.

Z czasem udało się Agnieszce zebrać także trochę materiałów za granicą, wśród Polaków żyjących w zachodniej Europie i w USA. Polonusi nie mogli się nadziwić, jak mało wiedzą Amerykanie o grzybobraniu. Ileż to razy lokalsi przekonywali polskich imigrantów, że wszystkie grzyby to trucizna, brali ich za niespełna rozumu albo nawet dzwonili po pogotowie lub policję.

Już po kilku miesiącach Agnieszka otrzymała propozycję od dużej stacji telewizyjnej, by przenieść program na antenę. Wiązałoby się to z pewnymi zmianami technicznymi, ale zapewniłoby dużo większe przychody z reklam. Według umowy licencyjnej także ewentualna sprzedaż formatu „Wiedźmy od grzybów” za granicę przyniosłaby Agnieszce niemałe pieniądze. Weszła w to bez wahania. Doglądała też przygotowania związanej z programem aplikacji, której użytkownicy – za drobną opłatą – mieli dostęp do szczegółowych map i wskazówek, gdzie właśnie obrodziły grzyby. Żaden grzybiarz nie lubił dzielić się takimi informacjami. I żaden nie chciał być gorszy od innych. To właśnie oraz rosnąca podczas pandemii popularność grzybobrania wśród pokolenia dwudziestoparolatków (kiedyś rzecz nie do pomyślenia) napędziło koniunkturę.

Przez cały ten czas zdobyte pieniądze, kontakty i doświadczenia Agnieszka inwestowała w pomysły Julii i Romana. Musieli sobie radzić na trudnym rynku, gdzie wystarczająco zasobni producenci planszówek zaczęli od polskich wersji zachodnich hitów, a małe wydawnictwa, założone przez pasjonatów, skupiały się na własnych tytułach, których projekty trzymano od lat w szufladzie. Falkowie nie potrafili w ich środowisku sobie poradzić, nie umieli rozpychać się łokciami. Nie dało się z takiej pracy wyżyć, chociaż pomagali znajomym twórcom gier przy różnych projektach wykonywanych na zlecenie instytucji, muzeów, samorządów. Musieli więc pracować jako korepetytorzy i korektorzy, a czasem także tłumacze z języka angielskiego. Instrukcje, przepisy, książki, filmy – brali, co się da. Odkładali realizację marzeń o dużym domu, dzieciach, egzotycznych wakacjach.

Agnieszka musiała podtrzymać ich pragnienia. Ale także wyklarować, że nie da się odnieść sukcesu bez ukłonu w stronę szerszej publiczności. Przykład: Julia zmitrężyła ogromną ilość czasu, próbując stworzyć własną mutację „Osadników z Catanu”, która rozgrywałaby się w Ameryce Południowej, w realiach filmu „Misja”. Czyli w redukcjach, osadach zarządzanych przez jezuitów. Krótco

mówiąc, była to gra typu „zbieraj i buduj”, ale z humanistycznym przesłaniem. Z dobrymi Indianami, szlachetnymi zakonnikami, złymi handlarzami niewolników, podłymi najemnikami i politykami. „Na wczasy nad wodospadami Iguazú tym nie zarobisz – musiała klarować jej Agnieszka. – Znajdźmy coś, co będzie nośnym tematem i dla Polaków, i dla obcokrajowców. Coś oryginalnego w formie, a zarazem przystępnego w treści. Z czego da się zrobić fajne wersje elektroniczne, a nie tylko przesuwanie żetonów po planszy”. Tak wpadli na pomysł z kwaterą Hitlera – Wilczym Szańcem i wymyślili „Wilki i czaszki”.

Droga do sukcesu była skomplikowana – poza wsparciem internautów Agnieszka załatwiła dofinansowanie z lokalnych instytucji. Potem zainteresowała media, z którymi знаła się już dzięki „Wiedźmie od grzybów”. Najpierw załatwiła polską prasę, potem niemiecką i anglojęzyczną. A na sam koniec przy promocji za granicą pomógł Falk Rulez również łut szczęścia. Tak jak parę lat wcześniej amerykański gwiazdor Dwayne „The Rock” Johnson wrzucił do sieci rodzinną fotkę, na której w tle widać było wydaną przez Polaków książkę z mapami dla dzieci, tak pewien australijski gwiazdor dał się sfotografować z „Wilkami i czaszkami”. W rodzinie mówiono, że Agnieszce pomógł niesławny Phil, który kiedyś dostarczał owemu celebrycie z antypodów nielegalne używki. Jak było naprawdę, Orbik nigdy nie powiedziała. Ważne, że Internet oszalał, jak piszą w sensacyjnych nagłówkach sieciowi spece od clickbaitów.

Agnieszka pokonała daleką drogę – od istic dziecięcego szaleństwa na punkcie koali do wyciągania pieniędzy z mroków Wilczego Szańca. Nie postanowiła, że zostanie milionerką przed pięćdziesiątką. Ona wiedziała, że tak to się skończy. Musiała tylko zadbać, żeby Julia i Roman – jej para koali – nie rozleniwili się i za bardzo nie usamodzielnili w swojej klatce. Tylko tego się bała.

GODZINA 2:15

Boguszowa otwiera oko i czuje, jak do łóżka gramoli się jej ślubny. Zalatuje piwem mniej niż zwykle. Ale która to godzina? Kwadrans po drugiej? Czyli znowu kilka godzin przeleżał przed telewizorem do góry brzuchem. Nic tylko jakieś mordobicie oglądał, póki nie zasnął. Zastanawia ją, że też niektórzy mężczyźni żyć bez tego nie mogą. I że niektóre kobiety właśnie na takich trafiają, chociaż wydawałoby się przed laty, że dokonały najbardziej słusznego wyboru.

Sama nie znosi boksu. Dla Boguszowej to żaden sport. Przecież nie ma w nim nic zdrowego, a po latach tłuczenia się po głowach facet nawet na trzeźwo telepie się i bredzi gorzej niż po butelce mamrota. Dla Boguszowej boks nie ma też w sobie nic szlachetnego. W ten sposób okładać się potrafią nawet małpy. To nie szermierka. A jeszcze gorsze wydają się jej walki w klatkach, które często w telewizji pokazują, a ślubny chętnie ogląda. „I jeszcze kobiety się w nich tłuką! Kiedyś to było nie do pomyślenia – nie może się nadziwić Boguszowa. – I jak taka kobieta potem wygląda? Jakby stary prał ją dzień w dzień albo napuchła od picia barabolca^[12]”.

Boguszowa nie znosi też filmów, w których cała historia kręci się wokół tego, że jedni z drugimi okładają się bez tołku^[13] i ciągle strzelają. Dla niej to żadne interesujące historie. A poza tym to udawanie, że bicie i zabijanie ma sens, że rozwiązuje problemy, że robi z ciebie bohatera. Boguszowa odczuła na własnej skórze, że jest zupełnie inaczej.

Woli już od tego wszystkiego jakąś książkę przeczytać. Niedaleko łóżka trzyma sobie wymiętolony egzemplarz „Błękitnego zamku” Lucy Maud Montgomery. To pamiątka z dzieciństwa. Boguszowa wie, że nikt nie zrozumie, dlaczego czyta tę właśnie książkę. Powieść dla dzieci, dla dziewcząt. Starą i coraz bardziej odległą od naszych realiów. Boguszowa nie czyta jej jednak jak bajkę. Nie traktuje jak film kostiumowy. Raczej jak niespełnione marzenie. O własnym szczęściu. O świecie, w którym można być sobą. O życiu wolnym od bicia. Marzenie, które się nie ziści, lecz samo przypominanie o nim czyni najtrudniejszy nawet żywot bardziej znośnym i ludzkim.

ROZDZIAŁ 20

CIUCIUBABKA

Alex z trudem odciąga Haka po tym, jak chłopak kopnął z całej siły w drzwi domu na uroczysku. Zrobił to tak mocno, że aż czuć było, jak zatrzęsły się drewniane ściany. Chyba nawet coś spadło na podłogę.

– Zostaw, odczep się ode mnie. – Chłopiec wyrywa się jej z rąk – Nie ma się czego bać. Na pewno śpią, nie dogonią mnie.

– Nie, nie śpią. Są niebezpieczni. Mają broń. – Alex ucisza Haka i tym razem dzieciak jej słucha. Daje się odciągnąć pod drzewo. Tam, gdzie wcześniej przyczaiła się Alex po ucieczce z chaty. Kiedy jednak już są pod drzewem, Hak z rozmysłem kopie Alex w kostkę, tę skręconą. Potem wyrywa jej z rąk kij, którym się podpierała, i kilka razy uderza po plecach.

– Nie wtrącaj się, głupku, bo jeszcze ci dołożę! – ostrzega Hak zwijającą się z bólu dziewczynę, potem ciska drąg w trawę i biegnie na złamanie karku prosto do drzwi domu.

– Pewnie leżał schowany na daszku zegara i go nie widzieliśmy – tłumaczy żonie Roman, wpatrując się w kluczyk Gerdy.

– Nieważne gdzie, ważne dlaczego. Wygląda na klucz od kłódki. Chyba wiem, od której. Tylko jedną Gerdę tu widziałam.

– Eee tam... Mało to ludzi trzyma takie rzeczy po kątach? – Roman wyjmując żonie klucz z dłoni i przygląda mu się uważnie.

Wtedy znów słyszą łomot. Podobny jak przy wizycie Alex i przy upadku zegara. Tylko jeszcze głośniejszy, bo nie ma wątpliwości, że dobiega od drzwi, a oni są tuż obok.

– Nie, kurrrrrwa – sapie Roman. – Tego już za dużo.

Zaciska pięści i rusza do drzwi.

– Czeka! – Żona usiłuje go zatrzymać, ale Falk jest szybszy, niż można byłoby się spodziewać. W ułamku sekundy jest przy drzwiach, przekręca klucz i otwiera.

W świetle żarówki z korytarza widzi niewyraźnie jakąś sylwetkę w mroku.

– Czego tu?! – krzyczy Falk i wyciąga z kieszeni młotek. Drugą ręką sięga po komórkę, by lepiej oświetlić tajemniczą milczącą postać. Kiedy ta się odwraca i znika, Roman rusza za nią w pogoń.

– Czeka, mówię! – woła za nim Julia, lecz mąż już nie słucha. Sadzi przed siebie wielkimi susami jak pies gończy. Żona próbuje za nim biec, ale już po paru krokach traci z oczu światło jego latarki.

– Ja pierdołę! – krzyczy bezradna, nie mogąc nic już dojrzeć w ciemnościach. Musi wrócić do chaty. Rozgląda się po korytarzu, potem znika w głębi domu.

Alex przygląda się temu spod drzewa, drżąc z bólu i chłodu. Ma wszystkiego dosyć – i Falków, i tego małego potwora, i całego jebanego Upierza.

Po paru chwilach Julia wybiega z domu ze świecącą komórką w dłoni. Pędzi w stronę, w którą – jak się jej wydaje – pobiegł Roman za tajemniczym nieproszonym gościem.

Alex nie zatrzymuje Julii ani słowem. Wręcz przeciwnie. Przychodzi jej do głowy, że najchętniej spaliłaby tę piekielną chatę, lecz nie ma już na to siły.

Roman nie tyle widzi, co słyszy intruza, który przed nim ucieka. Słyszy jego chichot. Brzmi jak śmiech dziecka, ale równie dobrze może to być drżący z perwersyjnej uciechy głos kogoś dorosłego. Roman ściska w dłoniach młotek – gotowy ten rechot zdusić. Ma już serdecznie dosyć wszystkich niespodzianek i dziwnych zdarzeń, jakie ich spotykają na uroczysku. Ma również dosyć traktowania go jak wariata. Najpierw przez „Asteriksa”, potem przez Julię. Na dodatek Roman nie wytrzymuje już zmian nastroju żony – nagle zaczęła mówić o spisku, traktować to wszystko jak grę. Jego ojciec powiedziałby, że Julia albo ma okres, albo jest w ciąży. Ale rodzic to ostatnia osoba, z której Roman chciałby brać przykład. Za dobrze poznał jego „mądrość” na własnej skórze.

– Cokolwiek się dzieje w tym całym Upierzu, czas to skończyć – mówi sobie Falk.

Nie wie, kto przed nim ucieka. Może to Alex wróciła i zaczęła rozrabiać? Aczkolwiek przecież to nie ona zniszczyła im rowery – bo wtedy jeszcze nie było jej na uroczysku. No chyba że w tajemnicy krążyła tu już od paru dni. Tyle że na pewno nie ona rozbiła szybę w oknie – bo rozmawiała wtedy z Falkami. Jeśli nie Alex, to kto? Może ktoś, kto przybył razem z nią, schowany w bagażniku chevroleta? Tylko co z dewastacją rowerów? Kto ich prześladował, do cholery? Jaki bandyta i psychol?

– Roman, poczekaj! – słyszy gdzieś daleko za sobą wołanie Julii.

– Nie, zostaw mnie! – odkrzykuje, nie przestając biec.

Julia nie jest z tego powodu szczęśliwa, ale przynajmniej wie, że wybrała właściwy kierunek. Ślizga się na mokrej trawie, omal nie upada. Cholerne drewniaki nie nadają się do biegania. Musi zwolnić. Zresztą i tak wie, dokąd biegnie Roman i ścigana przez niego postać. „To byłby zbyt niezwykły zbieg okoliczności, gdyby wszystkie te wydarzenia nie były ze sobą powiązane. To wręcz nieprawdopodobne, by były przypadkowe” – powtarza sobie w myślach Julia, jakby stała się Sherlockiem Holmesem pouczającym doktora Watsona.

Alex marzy tylko o jednym: iść stąd precz, odejść jak najdalej. Odszukuje w trawie kij i, podpierając się nim jak kulą, podnosi się z jękiem. Potem zaczyna kuśtykać ścieżką z gospodarstwa w stronę drogi głównej. Komórkę z włączoną latarką zawiesza sobie na szyi. Nie wie, na ile jej starczy baterii; do świtu zostało mniej niż dwie godziny.

Zastanawia się: może powinna wykorzystać fakt, że Falkowie wybiegli z domu, wejść tam i poszukać latarki albo nawet zabrać swój laptop. Lecz przecież nie dałaby rady wdrapać się na strych w takim stanie. Szkoda byłoby też jej sił i czasu na myszkowanie po chacie w poszukiwaniu latarek. Pewnie są w piwnicy – w kolejnym miejscu, do którego nie dałaby rady bezpiecznie zejść.

„Ha, może najlepszym rozwiązaniem byłoby wejść do domu i zamknąć się od środka? I niech Falkowie gniją na zewnątrz albo dobijają się przez okna jak zombie – przychodzi jej nagle do głowy. – Ale nie ma co bawić się w ciuciubabkę

z wariatami. Coś osobliwego w tym miejscu rzuciło im się na mózg. Stali się naprawdę niebezpieczni, nieprzewidywalni”.

Alex przyspiesza kroku, jakby bała się, że ktoś może ją gonić.

Julia ostrożnie stąpa wśród drzew, uważając, żeby się nie potknąć. Przyświeca sobie latarką. Nie woła już za Romanem – czuje, że będzie na nią czekał na miejscu. Bo przecież wszystko wskazuje, że muszą pojawić się przy grobowcu, prawda? I tam rozwiązać zagadkę.

Polana powinna być tuż tuż. Tak to Julia zapamiętała. Jeszcze kilka minut i widzi zza traw kształt przypominający bunkier.

– Romeo? Jesteś tu? – pyta się i rozgląda, wodząc dookoła światłem latarki.

Ani śladu żywego ducha.

Julia podchodzi do kraty zamontowanej pośrodku ściany piramidy. A właściwie do kratowanej niewielkiej bramy. Jej dwa skrzydła spięte były kłódką. Wcześniej, za dnia. Lecz teraz kłódka była zdjęta, leżała na ziemi. „Czyli miałam rację. Romeo też się domyślił, do czego służy kluczyk z zegara – konstatuje z zadowoleniem Julia. – Albo od zawsze wiedział, bo przygotował to wspólnie z Agnieszka”.

Wejście do grobowca stoi przed kobietą otworem. Śmiało wchodzi do wnętrza. Nie czuć tam żadnego fetoru, ściany są gładkie i suche, kamienna podłoga wyczyszczona. Julia oświetla rodzaj katafalku, na którym stoi drewniana trumna. Przez jej uszkodzone deski widać głowę pochowanego. „Jest dość realistyczna. Dobra robota” – chwali Julia. Bardzo nie lubi, gdy umarlaki w escape roomach są plastikowe i śmieszne. Właściwie powinna nawet powiedzieć to głośno, bo podejrzewa, że gdzieś w suficie umieszczone są kamery i głośniki. Wodzi po stropie światłem latarki, lecz nic nie udaje się jej zauważyć. Mimo to postanawia sprawić przyjemność twórcom tego widowiska.

– Naprawdę dobra robota! – Macha w kierunku potencjalnych obserwatorów. – To co, pozostał ostatni akt? Zaraz wrócę. Sama jestem ciekawa, co przygotowaliście na koniec. Może Romeo odegra jakąś specjalną rolę, skoro zniknął po tym, jak otworzył mi tę piekielną bramę?

Potem wychodzi z grobowca i rusza w drogę powrotną do chaty. Musi wrócić tu z kilkoma rzeczami. Już nie może doczekać się nagrody.

Roman nie wie, gdzie jest. Nigdy wcześniej nie zabrnął tak daleko w tym lesie. Zdaje się, że dotarł na koniec niewielkiego cypla, otoczonego wodami jeziora Fącelty. Na pewno idzie w dobrą stronę, bo widzi przed sobą ślady stóp świeżo odcisnięte w rozmokłej ziemi. Dochodzi do wniosku, że to raczej nie ślady Alex. „Nawet jeśli zdjęła swoje trepy, to chyba ma nieco większe stopy – zauważa. – A skoro to nie ona, to pewnie jej współnik. Cwaniak z bagażnika”.

Mocniej ściska w rękę młotek.

– Pokaż się, gnoju! – woła. – No dalej, bądź odważny! Sam się zapędziłeś w kozi róg!

Roman świeci latarką dookoła. Drzewa nie są zbyt gęste, a krzaki niezbyt wysokie. Gdzieś tu powinna się skrywać podejrzana postać. Chyba że uciekinier wskoczył do wody. Tyle że wtedy musiałby wejść do niej bardzo cicho, inaczej Roman na pewno by to usłyszał. Falk wodzi światłem latarki w prawo i w lewo, w górę i w dół, metodycznie sprawdzając zarośla, jednak niczego podejrzanego nie dostrzega.

Niczego poza wielką pajęczyną, rozciągniętą między gałęziami na wysokości pasa Romana. Pośrodku sieci tkwi nieruchomo wielki krzyżak. Ma ze dwa centymetry. „A nie, to nie krzyżak. To tygrzyk paskowany” – orientuje się Falk. Za dnia szybciej by go rozpoznał. Jest żółto-czarny, trochę jak osa. Roman dobrze zna swoich wrogów. Wie, że samica tygrzyka zjada swego kochanka, czasem jeszcze podczas kopulowania.

Wzdraga się. Pająk nie śpi, porusza rytmicznie siecią, jakby przestraszony, a potem biegnie nagle w górę pajęczyny. Wtedy mężczyzna widzi cień, jakiś podejrzany ruch. Podnosi młotek... Lecz to tylko cień tygrzyka, karykaturalnie powiększony przez jego latarkę, poruszył się na korze drzewa.

Romana przebiegają dreszcze. Nie chciałby spotkać pająka takiej wielkości jak to mroczne widmo.

– Cholerne paskudztwa – mruczy Falk pod nosem. – Że też wszędzie muszą mnie...

Nie kończy. Dostaje potężny cios po obu stronach szyi, po którym świat wiruje mu przed oczami. Pada półprzytomny na kolana. W świetle latarki widzi, jak rozpięta sieć i tygrzyk zbliżają się. Roman chce krzyczeć, ale boi się otworzyć usta,

bo leci twarzą wprost na roztrzęsioną pajęczynę. W pamięci miga mu kadr z włoskiego horroru, z pajakiem buszującym w ustach ofiary.

Wtedy, pomimo wszystko, Roman krzyczy.

Coś za nią szeleści. Ktoś za nią idzie, jednak Alex nie wie, kto.

– Hak, to ty? – pyta, odwracając się i oświetlając zarówno drogę, jak i pobocza.

Szelestu już nie słyszc. Nikt się nie odzywa. Alex kuśtyka dalej.

– Hak, jeśli to ty, możesz się odezwać. Już się nie gniewam – mówi Alex, pokazując na swoją nogę. – Do wesela się zagoi.

Nie słyszy żadnej odpowiedzi. „Ile jeszcze do świtu? Ile jeszcze do samochodu? – pyta samą siebie. – Dobrze, że nie zostawiłam kluczy w plecaku”.

Szelest narasta. Alex odwraca się zniecka, by przyłapać żartownisia lub prześladowcę, lecz znów nie oświetla latarką niczego godnego uwagi. Coś jednak ją niepokoi. Jakim cudem Hak mógłby tak szybko znaleźć się na drodze i ruszyć za nią? Musiałby bardzo szybko zgubić Falków.

„A jeśli nie zgubił? – przychodzi jej do głowy. – Jeśli go dopadli?”

Alex przetyka ślinę.

„Nie, oni nie są przecież mordercami. Po prostu im odbiło. Nic mu nie zrobią” – uspokaja się.

Kuśtyka dalej w noc, której tak się boi. Nie wie, czy idzie za nią Hak, czy Czarna Dama z Osowca, czy cień pradziadkowego brata znad Biebrzy. A może wszyscy naraz?

GODZINA 2:26

Na prześcieradle, w blasku świec, kiwają się i podrygują dwie postaci. Młody mężczyzna jest proporcjonalnie zbudowany, lecz nieprzesadnie umięśniony – pakerów jego partnerka nie lubi. Jest sporo od niego starsza, nie ma ciała tak jędrnego jak dawniej, jednak aż kipi energią. Mężczyzna siedzi na klęczkach, ona otacza go nogami i ramionami, raz za razem poruszając się w górę i w dół. Namiętnie się całują. Cały czas, przerywają tylko wtedy, gdy zaczyna im już brakować oddechu lub ona chce z rozkoszą posapać i pojęczeć prosto w twarz kochanka.

Nagle kobieta się zatrzymuje, jakby się droczyła. Schodzi, zsuwa się z naprężonego, spoconego kochanka. Uśmiecha się trochę zawadiacko, a potem znów wskakuje na swojego partnera, tyle że do góry nogami. Teraz to jej uda obejmują jego szyję, a jej ręce zaciskają się na jego pośladkach. On wchodzi językiem między inne już wargi, ona pieści ustami coś większego i twardszego niż jego język.

Miniaturowa kamera, wystająca z otwartej birkinki, nagrywa wszystko. Ze szczegółami.

Kiedy zasapani kończą z jękiem swoje igraszki, padają na mokrą pościel. Ciała drżą lekko. Kochankowie szepczą coś niezrozumiale. Potem Agnieszka Orbik schodzi z łóżka i pręży się jak kot. Mężczyzna śmieje się i sam też próbuje wygrzebać się z pościeli.

Tymczasem Agnieszka zamyka swoją torebkę. Tego, co będzie dalej, już nie nagrywa. Tu nie chodzi o szantaż, o zbieranie haków, o zemstę. Orbik po prostu kolekcjonuje facetów, utrwała seks z nimi, a nie uniki, tłumaczenia i kłamstwa, które przychodzą później. Tego nie potrzebuje.

Jej obecny adonis, jednorazowy mężczyzna na tę noc, podchodzi do balkonu i otwiera na oścież okno. Świeży powiew z lasu rozrzedza duszną atmosferę hotelowego pokoju. Ale rozwiewa też nieubłagane erotyczną aurę i podniecający zapach, jakie unosiły się w powietrzu. Orbik zerka na zegarek umieszczony na hotelowej nocnej szafce. „Druga dwadzieścia sześć. Czas jechać – myśli. – Mam pół godziny jazdy. I cztery minuty na pożegnanie”.

ROZDZIAŁ 21

DWA SAMOCHODY

Głos fachowca w radio mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu: „Ta wojna to kopalnia tematów dla badaczy zajmujących się psychologią, propagandą, wojennymi PsyOps, czyli operacjami psychologicznymi. Ukraina była do tego świetnie przygotowana. Zaczęło się od obrońców Wyspy Węży, nieustępliwych niczym trzystu Spartan Leonidasa pod Termopilami. Odważnie i dosadnie kazali swoim wrogom się wypchać, niczym Cambronne – dowódca okrążonej napoleońskiej gwardii pod Waterloo. Potem usłyszeliśmy o Romach i rolnikach kradnących bezkarnie rosyjskie tanki. Na fotkach z frontu pojawiły się piękne dziewczyny z wyrzutniami rakiet przeciwpancernych. Zeleński bohatersko odmawiał opuszczenia ukraińskiej stolicy i przemawiał niczym Churchill. Zaś niezniszczalny Duch z Kijowa patrolował niebo nad miastem niczym zesłaniec Opatrzności. A że propaganda nie może opierać się tylko na przykładach pozytywnych, eksponowano także kolejne zbrodnie i barbarzyństwa putinowskich siepaczy. Nie chcę wyjść na cynika, ale PsyOps to bardzo ważna rzecz. I dla walczących, i dla ich potencjalnych sojuszników”.

Zaraz po tym specjaliście kolejny gość nocnej audycji opowiadać będzie o cenach węgla i ropy. Lecz rodzice Alex wcale tego programu nie słuchają. Radio gra, bo zawsze w ich domu grało, było obecne od czasu początków listy przebojów Marka Niedźwieckiego. Lecz dziś go nie słuchają. I nie pójdą też zaraz spać, chociaż rano muszą wstać do pracy. W zaistniałych okolicznościach nawet nie biorą tego pod uwagę. Jest środek nocy, a oni siedzą jak na szpilkach.

„Choćby skały srały, Alex odebrałaby nasz telefon w swoje urodziny” – denerwuje się Łukasz, skubiąc posiwiące bokobrody. Ewa, zwykle tak łatwo ukrywająca emocje za swoją porcelanową twarzą japońskiej lalki, nawet nie rozmyśla – ona po prostu wybija na telefonie numer za numerem.

– Tu nie ma co dumać, tu trzeba dzwonić – mówi.

Po pierwsze: sprawdza, gdzie dokładnie leży „ten cholerny Upierz”. Ledwo znajduje go na mapie. Faktycznie jest to koniec świata, zwłaszcza dla turysty z innego rejonu Polski. Chociaż leży zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od domu Łukasza i Ewy, tyle że na kompletnym wygwizdowie.

Po drugie: Ewa wypytuje w policji i innych służbach, czy nie doszło w pobliżu do jakiegoś wypadku.

– Wiem, że dzwonię w środku nocy, ale zróbcie to dla mnie, proszę – błaga tych mundurowych, których zna. Nieznajomych przeprasza i powołuje się na zrozumiałe nerwy rodzica. Tak czy inaczej, Ewa wyciąga potrzebne jej informacje. Upewnia się, że żadnego wypadku drogowego w pobliżu nie było.

Tymczasem Łukasz idzie w ślady żony. Też dzwoni. Najpierw do Wojtka – informatyka i programisty, starego technologicznego geeka i internetowego mola, przyjaciela od dzieciństwa. Gdy wybiera jego numer, pojawia się zdjęcie grubawego piegusa w okularach. Na szczęście odbiera, to typowy nocny marek. Słysząc jednak, że jest zaskoczony telefonem o tak późnej, nawet jak na niego, porze. Łukasz nie bawi się w konwenanse i szybko przechodzi do rzeczy. Pyta starego przyjaciela, czy może jakoś sprawdzić zasięg telefonii komórkowej w okolicy siedliska Upierz.

– Łupież? – dziwi się Wojtek. – A gdzie, do diabła, to jest? Na czyjej głowie?

– Upierz. U-p-i-e-r-z. Nad jeziorem Fącelty. Nie rób sobie żartów, to naprawdę poważna sprawa. – Łukasz opowiada mu pokrótce, o co chodzi. Wojtek już w trakcie tej opowieści bierze się do pracy. Szybko znajduje informację, że wciąż można spotkać w Polsce miejsca bez zasięgu i dotyczy to okolic jeziora Fącelty.

– No dobra, a w takiej strefie nie da się jakoś inaczej namierzyć Alex? – zastanawia się Łukasz.

– Niby jak? Z tym starym aveo, cudem techniki, w którym nawet klimatyzacji nie ma? Może gdyby go wysadziła powietrze, to ktoś by się zorientował..

– Oszczędź sobie, Wojtuś.

– Miałeś kiedyś CB radio w tym aucie, ale zdemontowałeś. Gdybyś zostawił, to mogłaby...

– Dobra, daruj sobie. Równie dobrze mógłbym Alex kupić telefon satelitarny.

– Albo Starlinka. Chcesz numer do Muska? – Wojtek stara się nieco rozładować atmosferę. – Stary, dajcie na luz. To nastolatka...

– Zaczyna dwudziesty rok życia, więc już nie jest taka mała – przerywa mu Łukasz.

– No właśnie – podchwytuje Wojtek. – Sam siebie posłuchaj. Już nie jest taka mała. Może w tej chwili z kimś się kocha.

– Wojtuś... – Łukasz krzywi się na te słowa i ma wrażenie, że zaraz będzie musiał starego kolegę naprawdę opieprzyć.

Agnieszka zawsze lubiła mężczyzn. Im robiła się starsza, tym młodszych od siebie preferowała. Nie widziała w tym nic zdrożnego. „Dlaczego ludzie oburzają się, gdy czterdziestoparolatka spotyka się ze studentem, dużo młodszym kolegą z pracy albo nawet z jakimś trzydziestolatkiem z Tindera? A co dopiero mówią, gdy tacy ludzie są w stałym związku! Jakby nie mogli uwierzyć, że młody chłop może polecieć na starą babę, a jeśli już to robi, to musi być jakiś felerny, prawie zboczony. Tak właśnie rozumuje społeczeństwo, nie udawajmy – klarowała kiedyś swojej siostrze w chwili szczerości, nad kieliszkiem koniaku. – Tymczasem owemu społeczeństwu nie przeszkadza, że jakiś stary pierdziel ugania się za nastolatkami, wymienia żonę na nowszy model. Wydaje im się, że będzie z niego spijała wiedzę i doświadczenie niczym z krynicy mądrości. A kto powiedział, że stary cap jest mądry? Młoda dziewczyna będzie z niego spijać coś zupełnie innego. Albo, jeśli jest wystarczająco cyniczna, przyssie się do jego portfela”.

Julia w pełni zgadzała się z siostrą, jednak nie lubiła tego tematu. Kojarzył się jej z wydarzeniem sprzed kilkunastu miesięcy, gdy zobaczyła Agnieszkę w dwuznacznej sytuacji z Romanem. Byli zbyt blisko siebie. Coś w ich spojrzeniu i mowie ciała zaniepokoiło Julię. Coś wisiało w powietrzu, może jakiś zapach, energia, niedopowiedzenie. Na dodatek to stało się wkrótce po wspólnym wyjeździe Agnieszki i Romana do Essen na targi gier planszowych. Julia nie mogła im towarzyszyć, bo była jeszcze na kwarantannie po pierwszym zakażeniu koronawirusem. Tłumaczyła sobie, że może to właśnie covid namieszał jej w głowie. Że faktycznie nic między Romanem i Agnieszką nie zaszło. Że to tylko mgła covidowa: zaburzenia węchu, omamy, jakaś psychiczna niepewność. Mimo to poruszania tematów damsko-męskich ze swoją siostrą odtąd z zasady unikała.

Kiedy odkryła, że mazurska chata jest w rzeczywistości escape roomem, Julia pomyślała sobie, że może właśnie o tym rozmawiali w tajemnicy jej mąż z siostrą. Nie o seksie w hotelowym pokoju czy w kuzetce pociągu. Nie o tym, w czym lepsza jest Agnieszka. Bo przecież zawsze była lepsza od młodszej siostry. „Wiadomo, psiakrew, wiadomo”.

Tak się składa, że gdy Julia biegła za Romanem, Agnieszka też o nim myślała – za kierownicą samochodu, jadąc przez noc.

Z rozmowy Łukasza i Ewy z Wojtkiem wynika powoli, że jedyne wyjście to wsiąść w samochód i pojechać w środku nocy do Upierza, rozglądając się po drodze, czy nie widać gdzieś chevroleta aveo ich córki.

– Nigdy nie byłem nad Fąceltami. To naprawdę zadupie, nawet jak na realia północno-wschodniej Polski – wzdycha Łukasz. – To oczywiście żadna przeszkoda, żeby tam jechać, ale...

– Słuchaj, patrzę tu sobie na mapę i wiesz, co widzę? – przerywa mu Wojtek. – Że tam całkiem niedaleko jest nowa rezydencja naszego kochanego Janka.

– Janka? – dziwi się Łukasz i zerka znacząco na żonę. – Rety, nie rozmawiałem z nim, od kiedy wrócił z Krakowa i się przekwalifikował.

– Czyli od kiedy zrobił karierę i zaczął zarabiać konkretne pieniądze, chciałeś powiedzieć – poprawia przyjaciela Wojtek.

Janek, z którym kiedyś mogli konie kraść, rozkręcał przez lata firmę budowlaną, po czym nagle zmienił specjalizację – być może pod wpływem swojej życiowej partnerki, zwanej w gronie znajomych Anką po politechnice. Wspólnie wladowali oszczędności w drony. Ludzie mało jeszcze o nich wiedzieli, gdy Anka je projektowała, a Janek zajmował się wykorzystaniem w praktyce. Oczywiście w celach cywilnych, nie dla nich były technologie wojskowe. Chociaż przecież, jak widać po nagraniach w Internecie, w razie potrzeby nawet cywilne drony można przerobić na śmiertelnie groźną broń.

– Co to znaczy niedaleko? – dopytuje Łukasz.

– Jakieś piętnaście kilometrów, z tego, co widzę.

– Ale chyba w linii prostej, co?

– No tak, wokół jeziora będzie trochę dłużej – przyznaje Wojtek. – Może niech Ewa do niego zadzwoni...

– Co? Teraz? W środku nocy? Po tym, jak nie odzywaliśmy się przez całą pandemię?

– Na pewno odbierze. Był przecież w Ewci kiedyś na zabój zakochany. Aż się pobiliście. – W głosie Wojtka słychać wesołą drwinę.

– Wojtuś, daj se siana! – Łukasz nie lubi, gdy mu przypomina tamten epizod. Zbyt wiele się wtedy działo, by trzymać nerwy na wodzy.

– Wojtek ma rację – włącza się do rozmowy Ewa. – Zadzwonię.

Gdyby to Agnieszka miała wypełnić kwestionariusz Prousta, jej odpowiedzi znacznie odbiegałyby od tych siostry. Niektóre pewnie nie nadawałyby się nawet do publikacji. „Pomyślmy” – wyobraża sobie Orbik w samochodzie.

– Jaka jest główna cecha twojego charakteru?

– Zawziętość. To znaczy konsekwencja i nieustępliwość; nie żebym była uparta lub uprzedzała się na całe życie do innych, gdy mi podpadną. Ba, nie jestem „zawzięta” nawet na fajnych facetów.

– Jakich cech szukasz u mężczyzny?

– Otwartości. W sercu i w głowie, w domu i w pracy, w życiu i w łóżku. Nie szukam ani starych sflaczałych nudziarzy, których horyzonty ograniczają się do grilla i emerytury, ani młodych, którzy chcą mnie sobie podporządkować, bo mają złotego kutasa i mogą co kwadrans.

– A jakich cech szukasz u kobiet?

– Odwagi. Za dużo jest wśród Polek nawet jeśli nie kur domowych, to babek zastraszonych i ograniczonych przez bliskich. Model „dzieci, kuchnia, kościół” może kiedyś się sprawdzał, ale dzisiaj to nie tylko przeżytek, lecz wręcz marnotrawstwo. Ile fajnych babek zaprzepaściło swoje talenty, dając się zniewolić przez taki tradycyjny podział ról? Ile stchórzyło, nie odważyło się na zmianę, chociaż była możliwa? Wystarczy się rozejrzeć.

– Twoja główna wada?

– Nie mogę usiedzieć w miejscu. Podejrzewam, że nawet gdybym odniosła sukces – o którym wciąż marzę i który, jak wierzę, jest już blisko – szukałabym dalej. Kombinowała, wymyślała. Może nawet wróciłabym do pomysłu budowy we Wrocławiu koalarium, czyli do projektu w praktyce zupełnie nierealnego, niewykonalnego.

– Twoje ulubione zajęcie?

– Seks. Kropka.

– Co byłoby dla ciebie największym nieszczęściem?

– Zatruc się grzybem na planie „Wiedźmy od grzybów”. Tak sobie ostatnio pomyślałam. Wiem, brzmi to niewiarygodnie. Lecz ja po prostu nie mam w głowie listy nieszczęść, które mogą mi się przytrafić. Myślę raczej o szczęściu, które przy dobrych wiatrach mnie jeszcze spotka.

– Twój największy lęk?

– Strata wszystkiego i powrót do tego naszego nędznego wrocławskiego mieszkanka, w którym spędziłam dzieciństwo. Na szczęście to już nierealne. Nie ma takiej opcji. Lecz czy lękamy się tylko realnych, prawdopodobnych zagrożeń? Wątpię. Czasem działamy zupełnie nieracjonalnie. Znam na przykład fajnego faceta, który strasznie boi się pajaków, choć w Polsce mamy tylko jakieś niegroźne maleństwa. Czasem zastanawiam się, co by powiedział, gdyby odwiedził Australię? Czy zasnąłby w ogóle, wiedząc, jakie monstra mogą się czaić wokół?

– Kim innym chciałabyś być, jeśli nie tym, kim jesteś?

– Wiadomo. Opiekunką w ośrodku z koalami. Od wieków o tym marzyłam. Tyle że nie okazałam się wystarczająco konsekwentna, choć przecież uważam się za zawziętą, pamiętacie. Po prostu, gdy byłam młoda, ten pomysł był nie do zrealizowania. Nawet gdybym została w Australii, musiałabym pracować na szmacie, a nie uczyć się o torbaczach. A potem, po powrocie do Polski, musiałam jakoś przeżyć, zadbać o siebie. Natomiast o koale i tak ostatecznie się otarłam – dzięki biznesowi w Madrycie, który prowadziłam ze swoim byłym mężem. Dobre i tyle.

– Kiedy kłamiesz?

– Najczęściej, gdy opowiadam o swoich byłych.

– Słowa, których nadużywasz?

– „Kochanie”. I pozostawiam to bez rozwinięcia czy komentarza.

– Podaj inne miejsce, w którym mogłabyś mieszkać.

– Tu nie będzie zaskoczenia. Australia. Może przy jakimś lesie z koalami. Poznałam kiedyś dziewczynę, u której koale pojawiały się w ogródku. Aż trudno mi sobie wyobrazić takie szczęście. Mniej więcej tak jak pewna znajoma Islandka marzyła, żeby zobaczyć sad pełen jabłek, bo czułaby się wtedy jak w raju. Tak bardzo odmiennym od jej lodowej wyspy bez drzew i pszczół.

– Kim jest twój ulubiony bohater literacki lub filmowy?

– Hrabia Wentzel z „Między ustami a brzegiem pucharu”. Chodzi mi oczywiście o film, a nie o powieść Rodziewiczówny. Hrabiego zagrał tam nieodżałowany Jacek Chmielnik, wcześniej wesoły szopenfeldziarz z „Vabanku”. Straszna szkoda, że zginął tak tragicznie i dość młodo. Nie, nie byłby dla mnie zbyt stary. Nie odmówiłabym mu wspólnej konnej przejażdżki.

– Twój ulubiony żyjący bohater?

– Ostatnio mamy deficyt bohaterów w starym stylu. Dlatego postawiłabym na te matki z Ukrainy, które musiały iść na poniewierkę z dziećmi. Starają się zapewnić im w miarę normalne życie, a jeszcze muszą wspierać swoich facetów i udawać, że wszystko dobrze się skończy. Czy na wojnie, niezależnie od rezultatu, możliwy jest happy end? Po tylu zbrodniach, przy tylu ofiarach? A jeszcze dzieci są straumatyzowane, załęcznione, bywają niepełnosprawne... Tak, te matki są bohaterkami. I nie mówię tak dlatego, że sama nie mam dzieci i na ich widok mięknie mi serce. Nie, po prostu obiektywnie doceniam wysiłek tych Ukrainek. Niektórzy powiedzą, że to wyłącznie ich instynkt tak działa, żadne to bohaterstwo. A u tych, co walczą z bronią, to też nie jest kwestia instynktów? Marzyłabym, żeby wszyscy ludzie to zrozumieli i pojęli. Także ci na Zachodzie. To gorszące, gdy z jednej strony giną bezbronni, niewinni ludzie, a z drugiej trwa dyskusja o tym, że standard życia Niemców nie może się obniżyć. Dzieci na Ukrainie mają ginąć, żeby te niemieckie mogły bez przeszkód grać na PlayStation – tak to wygląda.

– Czego najbardziej nie cierpisz?

– Poza polityką? Chamstwa i góralskiej muzyki. Taka prawda. Przykro mi. Kiedy widzę w telewizji Golec uOrkiestra, mam mdłości. Tu na razie jest ściernisko, ale będzie rzy-go-wis-ko...

– Dar natury, który chciałabyś mieć?

– Bardzo ciekawe pytanie. Chyba chciałabym móc ciskać gromy jak Zeus. Dosięgłyby kilku moich byłych. Na początek Phila, Filipa z konopiami, mojego pierwszego chłopaka. Podpiekłabym go tylko trochę, po piętach, bo niedawno sporo mi pomógł w sprawach biznesowych. Bardziej dałabym do wiwatu mojemu byłemu mężowi. Nie lubię tchórzliwych facetów. Siedziałabym w chmurze i patrzyła z góry, jak mu skwierczą gatki.

– Jakie błędy najłatwiej wybaczasz?

– Z góry dające się przewidzieć. *Errare humanum est* – to wszyscy wiedzą. Lecz mało kto zdolny jest przyznać, że zna siebie tak dobrze, że wie, gdzie i kiedy pobłądzi. Ja tak mam.

– Jak chciałabyś umrzeć?

– We śnie. Ale sama, bez asysty jednorazowego mężczyzny. Sama, czyli w najlepszym możliwym towarzystwie.

Agnieszka na pewno nie chce umrzeć sama w samochodzie, chociaż jedzie jak szalona.

GODZINA 2:34

Na drodze widać łosia z imponującym porożem. Wydaje się z nim prawie tak wielki jak słoń indyjski. Nie wiecie, jak odróżnić indyjskiego od afrykańskiego? Ten pierwszy jest trochę mniejszy i nie ma uszu w kształcie Afryki, tylko bardziej trójkątne.

Słoń to słoń, nawet mniejszy. Król zwierząt, nie to co leniuch lew zrzucający mokrą robotę na lwice. A łos wielkości słonia indyjskiego to prawdziwy król polskiej puszczy. Wcale nie smętny żubr, snujący się w stadach, lecz właśnie łos.

Teraz przechodzi przez jezdnię majestatycznie w świetle reflektorów, jakby wcale nie bał się ani samochodów, ani ludzi. Może wie, że z takiego starcia także kierowca nie wyszedłby cało. Aż nazbyt dosłownie obrazują to znaki ostrzegawcze na poboczu, pokazujące krzepkiego łosia oraz samochód zgnieciony w harmonijkę obok zwierzęcia.

Na wyświetlaczu obok kierownicy widać godzinę 2:34, a przed autem jeszcze długa trasa. I niebezpieczna. Trzeba uważać. Zwolnić. Starać się nie zasnąć, chociaż sen już morzy. W radio Kombi sprzed lat śpiewa, że „Noc jest wielkim kosmatym pająkiem, który czyha na nas. Tylko we dwójkę mamy jakąś szansę”.

Tajemnicze cienie, czarne damy, pająki i łosie. Nocą, na trasie przez las, sam już nie wiesz, co jest prawdą, co zwidem. Nie masz pewności, co może spotkać ciebie i twoich bliskich. To jest najgorsze. Nie trzeba koniecznie bać się ciemności, by lękać się tego, co może cię spotkać nocą na drodze. Wystarczy, że jesteś człowiekiem i znasz własne ograniczenia.

ROZDZIAŁ 22

OSTATNIE CIĘCIE

Kiedy Roman krzyczy, Julia jest daleko. Wróciła na chwilę do domu po kilka rzeczy z piwnicy i kuchni, które upchała za pasek spodni i w mały plecak. Nie słyszy więc w tym zamkniętym mikrokosmosie, jakim nocą jest Upierz, wrzasku męża. Jego słabe echo nie znaczy dla niej więcej niż pohukiwanie puszczyka. Albo rechot żab, który nagle pojawia się i narasta w miarę zbliżania się do moczarów przy jeziorze.

Julia oświetla snopem światła ciemną ścieżkę przez las. Wśród pięknie pachnących, ale ponuro teraz wyglądających lip. Wydaje się, że ich konary poruszają się nad nią jak nogi wielkiego pająka. Gałązki krzewów chwytają jej ubranie, smagają po udach. Światło z gwiazd i księżycy nie wystarcza, by iść pewnym krokiem i nie wpakować się w bagno.

Nie jest kotem, nie radzi sobie po ciemku, potrzebuje latarki. Niestety, po kilku minutach komórka zaczyna wydawać dziwne dźwięki. Okazuje się, że lada chwila padnie. „Dlaczego, do cholery, nie zwróciłam na to uwagi?” – złości się Julia, lecz nie chce znów zawracać. „Czas już skończyć tę zabawę – myśli. – Wygrałam”. Zerka, ile jeszcze baterii zostało. Cztery, pięć procent? Pasek wskaźnika jest tak wąty, że niemal niedostrzegalny. Ale powinno wystarczyć. A jeśli nie wystarczy, to Julia ma jeszcze w plecaku zapalki.

Zdaje się, że polana jest tuż tuż. Kolejny błysk światła z latarki i Julia dostrzega łąkę. Zza wysokiej trawy widzi zarys kamiennej trapezoidalnej budowli. „No to jestem prawie na miejscu. Oby tylko w tej trawie nie siedziały żmije”. Uświadamia sobie, że całkiem zapomniała, co może się kryć w takiej trawie. Julia wyciąga zza pasa siekiere o szerokim ostrzu.

Na szczęście nic jej nie grozi. Podchodzi spokojnie do wejścia do grobowca. Tam też nic się nie zmieniło. Kłódka leży w trawie, brama jest otwarta, nikogo dookoła. Wejście do grobowca stoi otworem i zaprasza.

Znów trzeba więcej światła. Krótki błysk z komórki. Bardziej pamięta, niż widzi to, co jest w środku mauzoleum. Stoi tam katafalk, a na nim rozlatująca się trumna z naruszonym wiekiem. Przez jego uszkodzone deski widać głowę. Niewiele więcej niż czaszkę, ciasno opiętą zmumifikowaną, prawie przezroczystą skórą. U góry siwe kłębowisko włosów, u dołu rozwarta szczeka z rzadkim uzębieniem.

Krótki błysk komórki, żeby zsunąć wieko.

W baterii pozostało już tylko trzy procent energii.

Teraz najtrudniejsza część. Wcale nie dlatego, że kobieta musi odegrać spektakl, w który nie wierzy. I nie dlatego, że brzydzi ją myśl o tym, co ma zrobić. Po prostu niezmiernie trudno przymierzyć siekierą i uciąć tę głowę mumii wciśniętej w trumnę. Potrzebuje jednego dobrego cięcia. Do tego zaś niezbędne jest światło z umierającej komórki.

Nastawia latarkę.

Uderza siekierą.

Udaje się bez problemu, aż sama Julia jest zdziwiona.

Bierze głęboki oddech. Potem chwyta głowę za włosy i przenosi czerep w nogi trupa, obute w jakieś rozpadające się kamasze, pozbawione już podeszew. Potem wyjmuje z plecaka kawał cegły – ciężący jej przez całą drogę na polanę – i wciska między zęby truposza.

Ma dwa procent energii w komórce i jeszcze dwie ostatnie rzeczy do zrobienia.

Wyciąga z plecaczka długi nóż kuchenny i wbija go w klatkę piersiową mumii. Wchodzi gładko, jakby to nie było prawdziwe ciało, a tylko jakiś styropianowy fantom, kukła z papier mâché. Julia dociska ostrze tak, żeby przeszło umarlaka na wylot i wbiło się w spód trumny. To może mieć znaczenie dla zwycięstwa.

I na koniec najprostsza rzecz. Z kieszeni plecaka Julia wyjmuje foliową torebkę z ziarnkami maku. Rozsypuje je hojną ręką wokół katafalku.

Jeden procent energii. Komórka zaczyna wydawać ostrzegawcze dźwięki.

Julia zastanawia się, co pomyśleliby ludzie, którzy zobaczyliby ją przy odprawianiu tego pradawnego rytuału? Czy zapytaliby, jak dała się owoładnąć temu szaleństwu? Może wzięliby za obłąkaną? Lecz przecież ona wcale nie wierzy, że ten rytuał ma głębszy, nadprzyrodzony sens. Wierzy tylko, że musi go wykonać, by przejść escape room.

– Widzicie, zrobiłam to – szepcze, rozglądając się po suficie grobowca. –
Widzicie?

Gdy Roman otwiera oczy, wszystko jest czarne. Umarł, pająk wyjadł mu oczy? Nie, po prostu wokół jest tak ciemno. Słyszcć jednak nocne zwierzęta, pachnie lasem, trawą i wodą. Po kilkunastu sekundach wzrok Romana przyzwyczajają się do mroku. Zaczyna dostrzegać gwiazdy przebijające się wśród gałęzi. Gdy jednak mężczyzna próbuje się podnieść, coś go powstrzymuje. Kij, który przyciska mu gardło.

– Leżeć mi tu – mówi wysoki głos, jakby dziecinny.

– To ty, Alex? Udajesz? Nie wygłupiaj się. To były tylko żarty!

– Alex? Jakie żarty? Łapałeś tego gościa z długimi włosami za tyłek? Wpychałeś mu rękę w majtki? – dopytuje dziecięcy głos.

– Ty nie jesteś Alex – konstatuje Falk.

– Nie, frajerze.

– To kim jesteś?

– Nie znasz mnie.

– Może jesteś tym chłopcem, którego spotkała w pobliżu Alex? Mówiła nam o tobie.

– Może. Ale mówimy o tym samym Alexie?

– Alex to dziewczyna – poprawia Haka Roman. Ten odpowiada mu kolejnym chichotem. – A czemu nas prześladujesz? – dopytuje Falk.

– Ja was? – dziwi się Hak.

– A nie? Niszczysz rzeczy. Straszysz nas, nie dajesz spać – odpowiada mężczyzna. Ale rozmyśla już, jak szybko poderwać się z ziemi i schwycić tego małego skurwiela. Tym razem mu nie ucieknie.

– A to jest wasz dom? – pyta Hak jakby z głupia frant.

– Ta chata? – Roman wygląda na zaskoczonego tak sformułowanym pytaniem. – Jesteśmy tam gośćmi.

– Właśnie, gośćmi. Ale nie moimi! A to jest mój dom! – Hak znów dociska szyję Falka kijem.

– Zadusisz mnie – charczy Falk i w końcu odtrąca kij. „Koniec zabawy” – myśli. Kiedy jednak próbuje wstać, dostaje czymś ciężkim między oczy. To chyba młotek, z którym biegł za chłopaczyskiem.

– To jest mój dom, nie wasz. Ukradliście mi go! – słyszy Roman z ciemności, gdy pojękując, masuje czoło poniżej swojej czapeczki. W odpowiedzi bąka tylko, że nic nie rozumie.

– Czego nie rozumiesz? – sapie ze złości dzieciak, kręcąc się nerwowo kilka kroków od Romana. Słysząc, jak ze złości uderza kijem o ziemię. – Że musiałem się stąd wynieść, żeby mogli tu przyjść tacy jak wy? Wszystkie miejsca, które znałem i kochałem, teraz są dla was. Tam, gdzie ja się bawiłem, urządzaacie sobie grilla, chłacie i rzygacie. Tam, gdzie układałem kwiatki na grobach, srają i szczają wasze psy. Ruchacie się w moim pokoju i na mojej plaży.

– Ja nikogo stąd nie wyrzucałem i nic nie wiem o żadnych grobach – mówi Roman. Nie może dostrzec w mroku sylwetki Haka. Na szczęście ma w kieszeni swoich ogrodniczek zapalniczkę, tuż obok zawilgoconego skręta.

Wyciąga ją i trzask. Już po pierwszym pociągnięciu zapala się płomień.

Hak jest zaskoczony, ale ani nie ucieka, ani nie atakuje. Dzieciak wygląda na pewnego siebie. W prawej ręce ma drąg, w lewej – młotek. Jest umorusany, a na jednej z rąk widać krew.

„To chyba nie moja”. Roman odruchowo przeciąga dłonią po twarzy, sprawdzając czoło, nos i usta.

– Co ci się stało w rękę? – pyta.

– Musiałem jakoś dostać się do pradziadka, żeby z nim pogadać – odpowiada Hak, zerkając na zakrzepłe rany. – Rozłupałem kłódkę kamieniem. Wystarczyło walnąć kilka razy. Ale raz źle wycelowałem i się załatwiłem.

– Do pradziadka? – powtarza Falk. – Do grobowca, jak rozumiem? I co ci powiedział?

– Że obcy to zło. Trzeba ich wyrwać jak chwasty. Wtedy tu wrócę, do siebie.

Julia odstawia siekiere pod ścianę mauzoleum i szuka w plecaczku zapalek. Tylko takie światło jej pozostanie. Sama skomplikowała sobie zadanie. „Chyba się

starzeję, skoro robię takie błędy. Jeszcze trochę, a zacznę mylić testy ciążowe z testami na covid”. Uśmiecha się. Ma poczucie wygranej, ale czeka na fanfary. Może czegoś tu nie dostrzega?

Grzebie i grzebie w plecaczku w poszukiwaniu zapalek, które sama tam wrzuciła, i nagle jej dłoń natrafia na dziwny podłużny kształt. Nie do wiary. Na samym dnie leży jeden z powerbanków. Dlaczego Romeo tam go wcisnął? Po co? „Dziwne, chyba głowa szwankuje Romciowi od upałów”. Julia kręci głową. Jest zadowolona ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, podpiną powerbank do komórki. Teraz jej latarka będzie hulać do końca świata i o jeden dzień dłużej. „Szkoda, że nie zauważyłam tego powerbanku wcześniej, oszczędziłoby mi to trochę nerwów – wzdycha. – Ale mniejsza już z tym. Gdzie te fanfary, gdzie nagroda?”

Julia znów rozgląda się po grobowcu. Czeka na jakiś znak, na jakikolwiek sygnał, że wygrała. Bo to już chyba koniec? Nikt wprawdzie jej nie powiedział, jaki jest dokładnie cel w tym escape roomie – co zrozumiałe, bo przecież trzymano ten pomysł przed nią w tajemnicy – ale najwyraźniej chodziło o wyeliminowanie upierca z piramidy von Celtiusów, potomka czarownicy, dzieciobójczyni z uroczyska. To przecież logiczne, prawda?

– Hej, Agnieszka! – woła w powietrze. – No dalej, zakryj się, teraz ty jesteś duchem i przez pięć minut siedzisz cicho!

A jednak nawet po kolejnych pięciu minutach nic się nie dzieje. Żadnych oznak zwycięstwa. Ani śladu Romana. Albo Alex, bo też mogła być w to zamieszana. Albo Agnieszki. Co, nie zdążyła dojechać? Powinna. Przecież zapierdalała autem jak szalona, strach z nią gdziekolwiek się zabrać.

„Może po prostu nie wypełniłam wszystkich zadań?” – zastanawia się Julia. Przypomina sobie zdjęcie z wydrapanymi twarzami, dzięki któremu przyszło jej do głowy, że wokół toczy się jakaś zaimprovizowana gra. Był tam mężczyzna ze strzelbą, czyli Roman i jego pukawka. Kobieta z kluczem, czyli Julia i jej odkrycie w zegarze. A także dziecko ze świecami, czyli Alex ze swoim lękiem przed ciemnością. Wszystko Julii pasuje, ale... A jeśli coś pominęła? „Może to przez tę strzelbę, którą rozwaliłam? A jeśli powinnam z niej w coś strzelić? I to dziecko. Może wcale nie chodziło o Alex, tylko o tego spotkanego po drodze chłopca, o którym wspominała? Może to on chodził tu i straszył na zawołanie?”

Poirytowana Julia wychodzi z grobowca. Mimochodem oświetla kłódkę leżącą w trawie. Dopiero teraz zauważa, że jest poplamiona krwią. Prawdziwą? Tylko

dlaczego? Czyżby Roman był ranny?

Julia pochyła się nad kłódką i przygląda jej uważnie. Widać na niej rysy i wgnięcia, ślady po uderzeniach. Po co Roman miałby ją rozbijać, skoro znaleźli klucz? Coś tutaj nie pasowało. I gdzie w ogóle jest Roman? Te wielkie ślady w ziemi, po butach jak kajaki, to jego? Gdzie on polazł?

„To nie jest dobry escape room. Ani LARP, ani gra terenowa, jakkolwiek byśmy to nazwali. – Julia kręci głową. – Sama wymyśliłabym coś lepszego”.

Roman i Hak mierzą się wzrokiem. Jeden wygląda jak wielki krasnal, drugi – jak dziecko rodem z „Władcy much”.

– Będziemy tu mieszkać do końca miesiąca – mówi dorosły. – Masz nam już więcej nie przeszkadzać. Potem rób sobie, co chcesz.

– Bo co, stary minciarzu? – krzywi się Hak.

– Bo wiele rzeczy. Pójdę na policję. Pójdę do twoich rodziców. Będziesz miał przejebane.

– Bardziej niż w tej chwili?

– Na razie nic jeszcze się nie stało. O wszystkim można zapomnieć – tłumaczy Roman.

– Nic nie rozumiesz. Ja nie zamierzam zapominać. To wy macie się wynieść! – Hak podnosi głos.

– Bo co? – prychnął Roman.

Hak wpatruje się w niego z furią na twarzy. Roman zerka na zapalniczkę. Raz, że lekko go parzy, dwa – może zaraz zgasnąć, bo płomień zaczyna się kurczyć.

– Bo jestem demonem tego miejsca – syczy Hak.

– Demony nie krwawią – drwi Roman.

W jego stronę leci młotek. Na szczęście Hak musiał wziąć zamach, żeby go rzucić, więc Falk zauważył, co się święci. Odchyła głowę, bo w nią celował szczeniak. Mężczyzna obrywa tylko trzonkiem w ramię. Nawet nie boli.

Dzieciak naciera na niego z drągiem. Jest dużo słabszy od dorosłego, aczkolwiek nie tak słaby, by nie wytrącić Romanowi zapalniczki z rąk. A potem, wykorzystując

ciemność, dźgnąć go w brzuch. Gdy Falk się odruchowo kuli, trafia go kilka ciosów wymierzanych na oślepa przez chłopaka. Na ustach czuje krew.

– Stój! – Na twarz Haka pada promień światła z komórki. To Julia oślepia go i krzyczy.

Zaskoczony chłopak odruchowo zasłania oczy. To wystarczy Romanowi, by wytrącić mu kij i wykręcić rękę. Nie wie, co ma robić. Przecież nigdy nie bił się z dzieckiem. Spogląda na Julię, jakby oczekiwał, że żona mu doradzi.

Ten moment nieuwagi wystarczy, żeby Hak zdołał się wyrwać. Nim Roman jest w stanie zareagować, dzieciak znika za jego plecami. Julia podąża za nim snopem światła. Widzą, jak chłopak wbiega do wody i nurkuje.

– Nie każ mi go już ganiać – ciężko oddycha Roman.

– Istny topich – szepcze Julia.

– Co takiego?

– Nieważne. Siadaj. Musisz mi wszystko opowiedzieć, Romeo. Wszystko. Bo nic nie rozumiem.

GODZINA 3:00

Wojtek zerka na zegarek. Niepokoi się, jak mają się sprawy z Alex, a nie może się dodzwonić ani do Łukasza, ani do Ewy, ani do Janka i Anki po politechnice. Czyżby już wszystko załatwili i poszli spać? A może wręcz przeciwnie? Może sprawy szły aż tak źle?

„A może sam zadzwonię do Alex?” – waha się. W końcu jest jej ojcem chrzestnym. Wkręcili go w to dwadzieścia lat temu. Religijny nie był, ale przekonało go to, że będzie mógł trzymać małą razem z Janką, w której skrycie się podkochał, chociaż była kilka lat starsza. Tyle że ona z nikim nie chciała być, nawet gdyby jej adorator miał się okazać szachem perskim – a przynajmniej nie tak, jak kiedyś chciała być z Piotrkim, starszym bratem Łukasza. Dziś Wojtek jest sam, po rozwodzie. Ona została singielka. Ale stara miłość zarzewiała. Na dodatek Wojtek nabrał przekonania, że zbyt wiele łączy Jankę z Alex. Było w tym coś niepokojącego, jakieś granice zostały przekroczone – jak przy zbyt bliskiej relacji nauczyciela z uczniem. Rozmawiał nawet o tym z Jaśkiem. „Co takiego sugerujesz?!” – usłyszał. Skończyło się na kłótni.

Lecz to już nieważne. „Teraz liczy się tylko Alex” – mówi sobie Wojtek. Sam się dziwi, że nie ma jej wpisanej w kontaktach, aczkolwiek szybko odszukuje SMS-a sprzed paru dni, gdy wypytywał ją o ewentualny prezent dla rodziców. Wybiera numer. Odpowiedź jest szybka. „Abonent jest niedostępny”.

Może naoglądał się w życiu za dużo horrorów, ale działają na niego historyjki, które przeczytał na rozmaitych forach internetowych o „chacie nad jeziorem Fącelty”. Ludzie wspominają, że poprzedni właściciel sprzedał to niby z biedy, a tak naprawdę dlatego, że nie mógł znieść towarzystwa jakiejś zmory z niemieckiego grobowca, która nawiedzała regularnie jego rodzinę. Inni donoszą, że dom kupiła jakaś biznesmenka z Warszawy, która chciała tam kręcić dokumentalną telenowelę o grzybiarzach! Jednak zrezygnowała, bo ciężko rozchorowała się główna bohaterka, podobno na covid. Jeszcze inni przysięgają, że nikt z miejscowych nie pływa po jeziorze Fącelty kajakiem, bo wierzą, że w wodzie czai się wodnik, zwany topichem. Ktoś inny zaś donosił, że gdy na jeziorze pojawiał się czarny łabędź, był to zwiastun śmierci dla tego, kto go zobaczy. Działo się tak, dopóki miejscowy gospodarz nie zabił pechowego ptaszora z dubeltówki, w której kolbie miał ukrytą Hostię.

Najstraszniejsza była jednak historia o zagubionych turystach, którzy spędzili noc w domu przez nikogo niezapraszani. Przez tych kilka godzin stracili pamięć. Co działo się

w nocy, nie wiedzieli. Coś jednak się działo, skoro zniszczyli w obcym domu wszystkie zdjęcia z widocznymi twarzami.

„Czego to ludzie nie wymyślą” – wzdraga się Wojtek. Aż dziwne, że Janek i Anka po politechnice nigdy nie wspominali, że mieszkają kilkanaście kilometrów od takiego bieguna grozy. Może sami też nie wiedzą?

ROZDZIAŁ 23

BYLE DO ŚWITU

Droga do samochodu niby nie jest daleka, jednak Alex musi co parę kroków odpoczywać. Noga boli okrutnie. „Fajne mam urodziny, nie ma co. I w ogóle fajne lato, super wakacje – które spędzam w pracy i w jakimś syfie” – narzeka w myślach. Przypominają się jej anegdoty rodziców z dzieciństwa. Podczas kolejnych nudnych wakacji ojciec zaczął w oknie mówić do siebie: „Kurde, co ja dzisiaj będę robił?”. Wtedy nagle odpowiedział mu z ulicy głos miejscowego pijaczka: „Dzisiaj nic nie będziesz robił, dzisiaj będziesz pił!”.

Alex uśmiecha się. Prawie przez łzy, tak ją boli. Czy to właściwy moment, by stwierdzić, że nie chce już pracować w plotkarskim portalu strojącym się w dziennikarskie piórka? Przecież wcale nie o to jej w życiu chodzi. Zaczęło się od tego, że chciała coś napisać o swoim mieście. Zawsze chciała coś o nim napisać. Wcale nie dlatego, że widziała dookoła tyle rzeczy urzekających czy łatwo wpadających w oko. Nie, raczej dlatego, że tak wielu z mieszkańców czuło się tam i zachowywało jak przyjezdni. I że z pozoru tyle pozostało do odkrycia, jak gdyby grupa ludzi znienacka wylądowała na obcej planecie. A przynajmniej takie Alex miała wrażenie. „Teraz i tak jest nieźle. Pomyśl, co było za naszych czasów. W historii było tyle białych plam, o których nie wypadało mówić. Teraz możesz eksplorować wszystko, wystarczy chcieć” – mówiła jej matka.

Tylko co mogło napisać dziecko, którym była lata temu? Nic ekscytującego jej nie wychodziło. Jakieś poetyckie opowieści, w których przechodzące ulicą psy ciekawsze były od ludzi. Lecz to właśnie ślęcząc nad kartkami papieru, Alex postanowiła, że w przyszłości tak pokieruje swoim życiem, że będzie spełniać własne marzenia i plany, a nie realizować ambicje i pomysły na zarabianie pieniędzy innych osób. Tak, była płatkiem śniegu – jak nazwano jej pokolenie – jedynym w swoim rodzaju i kruchym. Lecz nie miała zamiaru się stopić.

I co zostało z tych planów? Wypadła na pierwszym zakręcie swojej życiowej drogi. Nawet tego zakrętu nie zauważyła, taka była podekscytowana, że wysyłają ją do niezwykłych, tajemniczych Falków.

– Co za popaprańcy – mruczy Alex. – Aż trudno uwierzyć.

Nagle znów słyszy podejrzany szelest za plecami. Odwraca się. To, co widzi, odbiera jej mowę.

Agnieszka Orbik parkuje swoim lexusem na parkingu pod Centrum Nauki Kopernik. Stąd tylko krok do baru na nadwiślańskich warszawskich bulwarach, w którym się umówiła.

O trzeciej w nocy. Masakra.

Wychodzi z auta i zakłada lustrzanki. To idiotyczne, bo prawie nic przez ciemne okulary nie widać, ale Agnieszce zależy przede wszystkim, żeby nikt nie zobaczył jej oczu – podkrążonych, z workami i zmarszczkami. Bez kurzych łapek wygląda dwa razy młodziej. „I wear my sunglasses at night” – nuci pod nosem przebój z czasów nastoletnich i idzie w stronę rzeki. W stronę rozświetlonych pylonów mostów i migającego pod drugiej stronie Wisły koszyka Stadionu Narodowego. Ku pulsującej muzyce, wibrującemu tłumowi, roześmianym i rozbawionym twarzom.

Brzęczy komórka. Agnieszka właśnie dostała SMS. „Już wyszłam. Czekam pod Syrenką”.

Czyli musi trochę zmienić kierunek. Agnieszka odbija bardziej na prawo. Mija rozochoczone pary i trójki, singłów zatopionych w aplikacjach randkowych na komórkach. Na niejednym młodzieńcu zawiesiłaby tutaj wzrok. Lecz nie dzisiaj.

Pod pomnikiem Syreny stoi Baśka. Jej koleżanka, ale przede wszystkim szefowa portalu, tak istotnego dla promocji geniuszy z Falk Rulez. Wygląda na zniecierpliwioną.

– Orbik, co ty nawywijałaś z tym Romanem? – pyta Baśka zamiast powitania.

Wygląda jak przybysz z innego świata. Obserwuje ją. Tutaj, w środku nocy.

– Kim jesteś? – woła Alex do drona unoszącego się nad jej głową. Ma przynajmniej cztery śmigła, jakieś lampki i porusza się, jakby był rozumną istotą, a nie maszyną. – To ty za mną latałeś? Czego chcesz?

– Nie bój się, Alex – wydobywa się nagle głos z maszyny.

Lecz Alex nie chce słuchać. „No tak, kolejna sprawka Falków – myśli i ciska w dron swoim kijem. – Odpierdolcie się już ode mnie!” Maszyna jakimś karkołomnym manewrem unika uderzenia w śmigła, lecz i tak zostaje trafiona. Z drona odpada jakaś niewielka część i roztrzaskuje się na drodze. Jednak maszyna wcale nie odlatuje, tylko wzbija się wyżej. Najwyraźniej nie ma zamiaru uciekać.

Alex podnosi kij i ponownie wygraża dronowi. Nie ma już jednak siły, ochoty i czasu, by na niego polować.

– Skoro mi nie pomagasz, to chociaż nie przeszkadzaj! – woła Alex i rusza w drogę.

Dron leci powoli za nią. Milczy.

– Co ty znowu wymyślasz, Baśka? – Agnieszka nie wierzy własnym uszom. – Najpierw dzwoni do mnie Helcia, że chyba czymś się przytruła, ale przecież grzybów nie jadła, a teraz ty z czymś takim. Umawiasz się ze mną w środku nocy, żeby pogadać o moim szwagrze?

– O, dobrze, że tak to ujęłaś – odpowiada z przekąsem koleżanka.

– Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

– Nie udawaj, *please*... – Baśka macha ręką. – Szkoda naszego czasu.

– Basia, ja nic nie rozumiem. – Orbik rozkłada dłonie.

– Ponoć poczuł się obrażony, że wywiad ma być tylko z twoją siostrą – wyjaśnia Baśka. – A on sam potraktowany został jak kwiatek do kożucha.

– Bzdura. Skąd masz takie informacje? Od swojej reporterki? – Agnieszka wyjmuje z kieszeni paczkę cameli.

– Nie. Od naszego fotografa, który kilka dni temu robił z nimi sesję zdjęciową. Powiedział, że Roman zachowywał się dosyć dziwnie.

– Serio? – Błyska ogień zapalniczki. – I to jest powód, żebyśmy traciły tu czas w środku nocy? Wystarczyłoby wysłać maila, nie sądzisz?

– I byś Falka poskromiła?

– Właśnie.

– Rozumiem, że wiesz, jak to się robi? – Baśka uśmiecha się.

– Aha, jednak o to ci chodzi! – Agnieszka wypuszcza kłąb papierosowego dymu.

– Uważaj, żebyś nie zarznęła kury znoszącej złote jajka.

– Ty zaraz o rżnięciu – prycha Agnieszka. – Przecież to mój szwagier, trochę młodszy.

Obie zaczynają chichotać.

– Ale słuchaj, ja mówię poważnie. Ten fotograf mówił, że momentami Roman zachowywał się jak niepoczytalny. Może odludzie jednak mu nie służy?

– Gdyby cokolwiek się działo, miał kryzys albo co, w domu jest telefon – wzrusza ramionami Agnieszka. „Jeśli nie było burzy, która mogła zerwać linię, wszystko powinno być z nim okej” – myśli jednocześnie. Baśka nie musi o tym wiedzieć.

– No właśnie. A propos telefonu. Dzwoniłam do reporterki, którą do nich wysłałam. Nie odbiera. Cały czas jest poza zasięgiem. Trochę mnie to martwi. – Baśka wyjmuje papierosa z paczki Orbik i sięga po zapalniczkę.

– Sądzisz, że mój szwagier ją porwał? On nie skrzywdziłby nawet muchy! Ten facet jako dziecko zamykał oczy podczas scen seksu w filmach.

– No to mnie, kuźwa, nie uspokoiłaś. – Baśka kręci głową.

– Daj spokój. Co ci chodzi po głowie? Bierzesz znowu jakieś psychotropy? Popatrz na mnie. Co tam jeszcze sobie ubzdurałaś? Może, że Roman wspólnie z Julką ugotowali tę dziewczę i zjedli? Przecież robią grę o seryjnym mordercy. – Agnieszka nie może powstrzymać się od śmiechu.

– Ludzie zdziwaczeli przez lockdown i kwarantannę. Wielu pomieszało się w głowach po tym, jak za dużo czasu spędzili we własnym gronie. Więc tylko chcę się upewnić – tłumaczy Baśka. – Oby nie było z tego jakiegoś dymu.

– Nie ma dymu bez ognia.

– A jest jakiś ogień? – dopytuje Baśka. – Słuchaj, po ostatnich aferach pracowniczych muszę być bardzo ostrożna. To już nie stare czasy. Jeśli wysyłam młodą dziewczynę do jakichś dziwaków, którzy nigdy wcześniej nie pojawiali się

w mediach, a ona potem nie odbiera ode mnie telefonów, chociaż wie, że za mniejsze przewinienia wywalalam ludzi z pracy, to czuję w powietrzu jakąś spaleniznę.

– To tylko fajki – odpowiada Agnieszka poważnym głosem. – Mówisz o mojej rodzinie, do cholery. Jeśli nie chcemy uznać tego wieczoru za stracony, a spotkania za poronione, to lepiej chodź na piwo i omówimy dalszą strategię.

– Jezu, Orbik, przecież jest już grubo po trzeciej. Za godzinę, półtorej zacznie świtać!

– Sorry, ale sama wybrałaś tę porę. Na pocieszenie opowiem ci o nowym sezonie mojego grzybiarskiego show. – Agnieszka bierze koleżankę pod rękę. – Po pierwsze: chyba będę musiała wprowadzić jakąś nową bohaterkę obok Helci, bo ta może kipnąć. Ledwo przeżyła covid, tak ją wzięło. Po drugie: słyszałaś kiedyś o gąsce sosnowej?

– To musi być ona, Aniu – mówi Janek Byś, gładząc się po łysej głowie. Potem sięga po parującą kawę. Inaczej nie dałby rady zrobić czegokolwiek w środku nocy.

– Jesteś pewien? – pyta kobieta, siedząc obok przed monitorem. – Obraz nie jest wyraźny.

– Na pewno. Poznają tę małą rozrabiarę. Zawsze musi narobić jakichś kłopotów, ten typ już tak ma – wzdycha ciężko Janek. – Teraz na dzień dobry rozwalila nam głośnik. I tyle było z nią rozmowy.

– Tak czy owak, daj znać Ewie i Łukaszowi – mówi kobieta za monitorem. – Z pozdrowieniami od Anki po politechnice. Mam nadzieję, że już mnie tak nie nazywają po dwudziestu latach znajomości?

– Oczywiście, że nie, skarbie – odpowiada mężczyzna i wybiera na komórce numer Ewy. – Mamy ją – mówi do słuchawki, a po drugiej stronie słychać okrzyk ulgi. – Wygląda na to, że nic jej nie jest. Kuleje... Chyba idzie w stronę auta. Nie mam pojęcia, co mogło się stać... Lepiej zostać przy niej, niż lecieć do tamtej chałupy i zaglądać komuś w okna, nie? Próbowałem do niej zagadać, ale wściekła się i walnęła drona kijem, zniszczyła głośnik. Nie mam pojęcia dlaczego. Ją zapytaj. Może wzięła nas za jakichś zбочeńców, skąd mam wiedzieć? Nie, nie przejmuj się kosztami. Jak ją namierzylismy? Polecielismy dronem wzdłuż drogi

do Upierza, z włączoną termowizją. No, mamy takie cuda, zasługa Ani... Jesteśmy profesjonalną firmą, co sobie myślisz? No i wypatrzyliśmy na poboczu tego chevroleta. Silnik miał zimny, więc mało go nie ominęliśmy. Na szczęście oczy mam jeszcze zdrowe, w przeciwieństwie do wątroby... No a potem poszło już z górki. Zauważyliśmy sylwetkę na drodze, pewnie z pół kilometra od samochodu. Okazało się, że to Alex.

Choć Roman skończył już opowiadać, on i Julia wciąż siedzą razem na cyplu nad jeziorem. Wtuleni w siebie, trzymający się za dłonie. Nawet światło nie jest im już potrzebne.

– Dobrze, że tu za tobą przyszłam, co? – pyta Julia. – Nie wiadomo, co mógłby ci zrobić ten mały potwór.

– Dałbym sobie radę, to tylko dzieciak – mruczy Roman, ale w jego głosie nie słychać pewności.

– Akurat.

– Dziwne rzeczy tu się dzieją – wzdycha Roman. – Chodźmy już lepiej do domu.

– Boisz się, że ten gówniarz tu wróci?

– Nie wiem. Kto go tam wie, gdzie odpłynął. Może na drugą stronę jeziora, a może gdzieś w pobliskie krzaki. Chodźmy. Rano się tym zajmiemy, gdy przyjedzie Marylka i będziemy mogli z nią pojechać w jakieś cywilizowane miejsce.

– Tak, odłóżmy to wszystko do rana. – Julia ściska dłoń Romana. – To i tak niedługo.

Idą ostrożnie przez las, czujnie rozglądając się na boki i w górę. Roman nie chciałby, żeby Hak znów runął na niego z góry, z zaskoczenia. Gdy mijają grobowiec von Celtiusów, mężczyzna zatrzymuje się.

– Myślałaś, że ja tu przylazłem z kluczem? Nawet nie wiem, gdzie go podziałem.

– Machinalnie uderza się po kieszeniach spodni. – A to przecież robota bachora. Rozwalił kłódkę. Ciekawe, jakich jeszcze szkód narobił w środku.

– Nieważne, to może poczekać. – Julia odciąga Romana. Nie chce, żeby zobaczył, co się dzieje wewnątrz piramidy. Nie teraz. – Chodźmy już do domu, padam z nóg.

Po paru krokach widzą zza drzew poświatę na niebie.

– Już świta? – pyta Julia zmęczonym głosem.

– No nie wiem. To z tej strony jest wschód? – dziwi się Roman.

Po chwili już wszystko wiedzą.

Ta poświata bije od ich chaty.

Lecz to nie światło z okien. To płomienie. Dom stoi w ogniu.

Na tle pożaru widać niewysoką sylwetkę, lekko przygarbioną od wielkiej siekiery w dłoni. Siekiery, którą Julia porzuciła w sprofanowanym grobowcu.

Hak napawa się przez moment swoim dziełem, swoją zemstą. Po czym znika za płonącym budynkiem, gdzieś w wielkim mroku.

GODZINA 3:45

Marylka spogląda na swój budzik. Jest nastawiony na czwartą. Wtedy automatycznie uruchamia się radio. Dzisiaj jednak kobieta nie pośpi sobie aż tak długo. Nie ma sensu. Wstanie kwadrans wcześniej.

Nie potrzebuje dużo snu. Sześć godzin jej w zupełności wystarczy, a kładzie się przecież spać zaraz po serialu, czyli o dwudziestej drugiej. Zwykle śpi dobrze, mocno. Czasem śnią się jej nawet perypetie bohaterów filmu, ale co dokładnie – wstydzi się opowiadać.

Dzisiaj było inaczej, ale przecież miała swoje powody. Za bardzo dręczyły ją sprawy związane z domem na uroczysku. Teraz spokojnie zapomni o wszystkim, rzucając się w wir pracy. Choć większości ludzi wydaje się to nienormalne i niepojęte, Marylce najlepiej idzie praca właśnie o wczesnej porze, o brzasku, o świcie i o poranku. W rękach ma wtedy najwięcej siły, może się skupić i ma święty spokój – bo stary śpi jeszcze długo, dzieci z rana jadą do pracy, zaś wnuki w roku szkolnym biegną do szkoły, a w wakacje chrapią do południa. Pojawiają się, gdy Marylka nie tylko już wszystko upiecze, ale nawet i porozwozi. Wtedy może się wnusiami pozajmować.

A potem już tylko poduszka w oknie, serial i poduszka w łóżku.

Marylka lubi to spokojne i bezpieczne życie. I kocha męża, który nigdy nie chciał jej zmieniać. Marylki też nie interesuje, co on robi całe dnie i gdzie pływa kajakiem, co tropi i czego szuka. Przecież nie śmierci na Fąceltach.

ROZDZIAŁ 24

DROGA DO ZATRACENIA

Alex kuśtyka z trudem. Jeszcze tylko parę minut i powinna być przy samochodzie. Przestała się już zastanawiać, po co leci za nią dron. „Najpewniej to jakiś kolejny pomysł Falków – uznała. – Może wytrzeźwieli, jest im głupio i chcieli przeprosić? Obędzie się”. Nie da rady strącić drona i nie ma siły próbować, więc uznaje, że to jej anioł. Nie wnika, czy to anioł stróż czy upadły anioł z piekła.

W myślach Alex próbuje rozproszyć strach, ból i gniew. Przydałoby się coś śmiesznego. Musi przypomnieć sobie coś śmiesznego. Może to. W ostatnim semestrze w liceum jeden kolega z jej klasy zaczął kolekcjonować coś, co nazwał *dziaders art*, ewentualnie *boomer art*. Chodziło o wszystkie „śmieszne” i „urocze” obrazki – na święta, imieniny i urodziny, a nawet po prostu na dobry początek dnia – jakie wysyłają różnymi komunikatorami starsze osoby. Intencje mają dobre, co nie zmienia faktu, że nastolatkom takie obrazki wydają się straszliwie kiczowate, trącające starymi sucharami. Te wszystkie bukiety i wazony pełne kwiatów, okraszone wierszami. Uśmiechnięte, gadające imbryczki i filiżanki, życzące miłego dnia. Bawiące się i roześmiane dzieci, równie autentyczne jak te z reklam. Krajobrazy o kolorach podkreślonych w Photoshopie. Pieski i kotki w koszyczkach, koniecznie z kokardą. A na każdym obrazku słodki komentarz pisany kilkoma różnymi dekoracyjnymi czcionkami, bez ładu i składu. Przelfajnione, kiczowate lub nieudolne. Na samą myśl Alex się uśmiecha.

Ów kolega chciał nawet założyć na Instagramie profil, na którym pokazywałby te skarby, jednak za bardzo pochłonęły go – jakby to powiedzieć – sprawy osobiste. Startował do różnych dziewczyn, tyle że wszystkie kazały mu spadać, bo wewnątrz miał wprawdzie bogate, ale portfel za chudy. Taka prawda, nie ma co kryć. Może wybierał niewłaściwe panny, w istocie równie napompowane kiczem jak jego okazy *boomer art*? Wtedy facet postanowił zostać raperem. Uwierzył, że kilka zgrabnych strof sprawi, że będzie jeździł lamborghini, obwieszony złotem, a laski

same będą wskakiwać na jego fotel. W rzeczywistości czekała go stara beemka, whisky z Biedronki, Tinder i grube kłopoty. Tak przynajmniej słyszała Alex.

Miała przypomnieć sobie coś śmiesznego, ale to wspomnienie szybko przestało ją bawić. Zwłaszcza że Alex męczyło pytanie: „A co będzie ze mną?”. Zaczęła się zastanawiać, czy widzi przed sobą lepszą życiową i zawodową perspektywę niż stare auto, używki w promocji i przelotne znajomości nawiązane za pośrednictwem aplikacji?

Tak, to już nie było zabawne. Nie w ten sposób miała się pokrzepić w tę fatalną noc, krótko przed świtem, który powinien wstać kilka minut po czwartej. Zmęczona Alex rozgląda się dookoła. Może czas już na brzask, może niebo powinno już robić się jaśniejsze?

Faktycznie, widzi jaśniejszy punkt. Z tyłu, nad lasem, za którym znajduje się chata Falków. Alex wzdryga się na samo ich nazwisko. „Dziwna jakaś ta jasność” – myśli. A to wrażenie potęguje fakt, że w stronę łuny odlatuje nagle dron, który dobre pół godziny śledził Alex.

– To jest coś dziwnego, Jasiek. Czekać, wzniosę się wyżej – mówi Ania, wpatrzona w ekran pokazujący obraz z drona. – Zignorowałam to wcześniej, bo brałam za światła z domu na uroczysku, ale to może być pożar. Pytanie, czy lasu czy zabudowań.

– Słuchajcie – mówi Janek, wciąż na komórce, cały czas w kontakcie z rodzicami Alex. – Musimy szybko podlecieć dronem w stronę tego światła. Jeśli to ogień, trzeba powiadomić służby... A co potem? Potem musimy nim wracać. Za chwilę padnie, nie pociągnie już dłużej. To świetny sprzęt, kosztuje tyle, co pół samochodu, ale nawet on ma swoje ograniczenia. No, mam nadzieję, że córka już sobie poradzi...

Alex wydaje się, że auto musi już być naprawdę niedaleko. Wręcz o krok. Niestety, światło z latarki w komórce nie sięga aż tak daleko. Ale sama pamięta ten fragment drogi, te płaczące wierzby i ogromną wyrwę w jezdni, którą trzeba było ostrożnie ominąć.

Wtedy znów słyszy za sobą szmer. „To pewnie dron wrócił” – myśli. Alex odwraca się od niechcienia, żeby tylko sprawdzić latającego szpiega.

Lecz to wcale nie dron. Alex widzi na drodze niewysoką, znajomą sylwetkę. To Hak. Wygląda na zmęczonego i zdyszanego po biegu, bo aż przykucnął na jezdni.

– Widzę, że wracasz do domu – mówi do niego, lecz chłopiec nie odpowiada. Dyszy i patrzy bez słowa.

– Mamy pokój, Hak? Nie gniewamy się już na siebie? – Alex postanawia dać przykład ugodowego zachowania. – Odprowadzisz mnie do samochodu? To niedaleko. Ciągle bardzo boli mnie noga.

– Kim ty właściwie jesteś? – pyta w odpowiedzi Hak. – Chłopakiem, dziewczyną, pedałem?

– Dobra, spadaj. – Alex pokazuje chłopakowi środkowy palec i rusza własną drogą.

– Nie tak szybko, dziwołagu – woła za nią Hak. – Poczekaj, mam jeszcze coś dla ciebie.

Alex zerka. „W końcu nie wiadomo, co może przyjść do głowy temu gówniarzowi. Odwalał już takie numery, że lepiej uważać” – stwierdza.

I ma rację, bo na jej oczach Hak wyciąga zza pleców siekiere. Szoruje nią upiornie po asfalcie, a ostrze najwyraźniej jest pokryte czymś ciemnym, co zostaje na jezdni.

„To krew? – Alex drętwieje. – To możliwe, że on...”. Nawet nie ma odwagi dokończyć tej myśli.

Alex nie wie, co robić, a zdaje się, że każda sekunda jest ważna. Czy powinna biec do auta? Czy ma szansę dotrzeć tam przed Hakiem?

Chłopak jest tylko kilka metrów od niej. Chwyta oburącz siekiere, jakby szykował się, by nią rzucić. Alex wyciąga przed siebie kij, który przez półtora kilometra służył jej za kulę. Lecz zdaje sobie sprawę, że nie odbije nim lecącego ciężkiego ostrza. Wtedy chwyta kij oburącz. Lecz czy to coś zmieni? Waha się. To nie średniowiecze, nigdy nie ćwiczyła się w walce wręcz. Nawet takich filmów nie ogląda. Ostatecznie bierze kij w jedną rękę jak włócznię.

Hak podnosi siekiere nad głowę i przymierza. W jego oczach czai się coś upiornego.

Wtedy Alex jedną ręką ciska w niego kijem, a drugą wyłącza latarkę. Zaskoczony chłopiec traci równowagę. Zaczyna bluzgać. Tymczasem Alex nawet się nie ogląda za krzyczącym wyrostkiem, tylko ze wszystkich sił biegnie przed siebie, w stronę auta. W ciemność, która znów ma jej dać osłonę przed niebezpieczeństwem. W ciemność, która nie wydaje się już tak groźna.

Słyszy jakieś szmery, ale nie wie, czy to biegnący za nią Hak czy tylko jej się wydaje. Po może stu metrach Alex w końcu przystaje i włącza telefon. Z ulgą widzi w blasku światła swojego chevroleta. Wyciąga z kieszeni łańcuszek z kluczem. Naciska przycisk, a samochód w odpowiedzi miga światłami. Głośne kliknięcie sygnalizuje, że drzwi są otwarte.

„Udało się” – uznaje Alex, ale nawet się nie uśmiecha. Ciężko oddycha.

Kiedy zmęczona, ale uradowana, zbliża się do drzwi, nagle słyszy złowieszczy śmiech. Zza chevroleta wychodzi Hak z siekierą.

– Nawet polem cię wyprzedziłem, kulawy pedale. Myślisz, że sobie tak odjedziesz? – Chłopak z rozmachem uderza siekierą w tylną szybę samochodu. Sypią się drobiny pokruszonego szkła.

Alex nie ma siły walczyć, ledwie potrafi zrobić krok obolałą nogą. Musi przykłęknąć, przysiąść. Opiera się o przedni zderzak swojego aveo.

– Będziesz mnie prosić na kolanach? Co takiego możesz mi zaproponować, dziwolągu? – Hak śmieje się obleśnie. – Chyba nie swojego smartfona? Ta bryka też już nic nie warta.

Alex zdejmuje z szyi aparat i chwyta go za pasek. Słaba to broń. Do wywijania? Do rzucania? Do niczego.

Hak śmieje się jeszcze głośniej.

– Możesz wyłączyć latarkę, już nie będę miał kłopotów z wycelowaniem. Widzisz? Świta! – Jedną ręką pokazuje na rozjaśniające się niebo, a drugą potrząsa siekierą z szerokim ostrzem, wyglądającą niczym narzędzie kata. – Szykuj się – syczy wyrostek i zbliża się o krok.

Naraz między Haka i Alex zlatuje dron. Nachyla się w stronę Haka, jakby był wielkim insektem, który zamierza zaatakować.

– Co robimy? – pyta Ania nad monitorem podzielonym na ekran kontrolny i widok z kamery drona.

– Odstraszyć go jakoś, powstrzymaj. Odciągnij od auta. – Janek ściska ją za ramię.

Wiedzą, że i tak niedługo maszynie wyczerpie się akumulator. Nieważne, czy spadnie w jezioro czy strąci je siekierą ten gówniarz. Nieważne, ile kosztował sprzęt. Nie w takiej sytuacji.

Dron śmiga nad głowę Haka, jakby miał zamiar na niej wylądować. Chłopak opędza się przed nim siekierą, ale jest na tyle ciężka, że nie może trafić zwinnej maszyny. Przy którymś zamachu dron jednak zaczyna się chwiać w powietrzu i opadać. Krzywo, sadząc w powietrzu żabie skoki, ląduje kilka metrów za autem.

– Mam cię, diable – sapie chłopak. Gdy ucieszony podbiega, by dokończyć dzieła zniszczenia, dron podrywa się i odlatuje jeszcze kilkanaście metrów dalej.

– No dalej, Alex, wykorzystaj to – szepcze błagalnie nad monitorem Janek. Obok Anna, zadowolona ze swojego wybiegu, dalej wodzi Haka za nos.

Alex dostrzega okazję. Zrywa się i dociera do drzwi. Otwiera je, jeszcze ułamek sekundy i jest w środku. Wcisną kluczyk do stacyjki. Zatrząskuje drzwi i...

Siekiera z trzaskiem rozłupuje szybę w drzwiach, zasypując Alex gradem odłamków. Hak nie dał się wodzić za nos zbyt długo.

– Nie ze mną te numery, peda!ku! – wrzeszczy. Bierze kolejny zamach. Nim ostrze siekiery przetnie powietrze nad kierownicą, Alex przeciska się na siedzenie pasażera. Siekiera wbija się w klakson, który buczy rozpaczliwie. Alex chwytą za ostrze, próbując wyrwać broń wyrostkowi, ale ten w szale ma zadziwiająco dużo siły. Wyciąga siekierę i szykuje się do kolejnego ataku.

– Stąd już nie wyjdiesz, cwelu – sapie, patrząc prosto w twarz Alex.

Jakiś rozpędzony samochód hamuje z piskiem, omal nie uderzając w tył chevroleta. Siłujący się Alex i Hak nawet nie zauważyli, gdy wyjechał z za zakrętu. Z auta wybiegają dwie osoby. Jedna pędzi wprost na Haka, druga – naokoło chevroleta, do przednich drzwi od strony pasażera, gdzie siedzi skulona Alex.

To jej ojciec i matka.

Hak wcale nie wygląda, jakby bał się dorosłego mężczyzny. Zamierza się na niego siekierą. Tyle że Łukasz jest przygotowany. Odpala ręczną gaśnicę. Piana momentalnie oblepia głowę i ręce Haka. Chłopak zaczyna wrzeszczeć. Rzuca siekierę, by oczyścić z piany oczy, a gdy tylko mu się udaje, bierze nogi za pas. Nie myśli już o siekierze. Ucieka na leżące odłogiem pole.

Łukasz rusza za nim. Ostatnimi siłami mknie za nimi dron.

– Już się bałem, że nie zdążą! – Janek całuje Annę nad ekranem monitora.

Tymczasem Ewa wyciąga roztrzęsioną córkę z samochodu. Ciężko jej sobie poradzić z niemal bezwładną Alex. Krzyczy za mężem. Woła rozpaczliwie, że potrzebuje pomocy. Łukasz rezygnuje z pościgu i zawraca.

Kiedy wspólnie z Ewką wyciąga Alex z chevroleta, ta uśmiecha się leciutko.

– Spóźniliście się – mówi. – A tort gdzie? I świececzki?

W dali, na drodze rozbłyskują światła straży pożarnej. Słychać syreny.

GODZINA 6:01

Zmęczona Boguszowa zagląda do pokoju dziecka. Zbiera ze stołu talerz z okruchami po rogalach.

„Ech, znowu okno otwarte. Przecież ile robactwa tu się zleci! I jak to dziadostwo potem wyłapać i rozpędzić?” – narzeka. Zamyka okno. W padających przez szybę porannych promieniach dobrze widzi twarz swojego synka. Chyba spocił się w nocy. Wygląda na mokrego. Boguszowa dotyka ręką czoła i sprawdza, czy dzieciak nie złapał jakiejś gorączki. „No, na szczęście wszystko w porządku”. Kobieta się uspokaja.

Chłopak śpi zakryty kocem pod sam nos. Matka chętnie by z niego ściągnęła ten pled, ale dziecko zawinęło się w niego jak mumia. „Mój kochanieńki”, Boguszowa całuje go w skroń. Potem kładzie się na łóżku obok synka i delikatnie przytula. Wącha jego włosy pachnące lasem, wiatrem i czymś jeszcze. Spalenizną.

Zaskoczona Boguszowa zaczyna się zastanawiać, czy to nie efekt uboczny koronawirusa, o którym tyle mówiono. Ponoć nawet najprzyjemniejsze rzeczy potrafią po chorobie czymś śmierdzieć. „Tak, to na pewno koronawirus – mówi sobie kobieta. – Na szczęście to przejdzie” – pociesza się, jeszcze bardziej wtulając w syna, swój jedyny skarb.

„Pośpij jeszcze sobie ze dwie godziny. Korzystaj z wakacji. Ciesz się latem, bo nie wiem, jak my zimę przetrwamy”. Z oczu kobiety spływają łzy. Syn to jedyny skarb, jaki pozostał w jej życiu. Resztę roztrwonił mąż. Sprzedał, przepił, przegrał. Stracili najpierw Upierz, a potem pieniądze. Starczyło pięć lat, by ten stary drań to przepuścił.

Była zbyt słaba i bezradna, by temu zapobiec. Nikt Boguszowej na to nie przygotował. Ona sama też nie sądziła, że życie złamie jej serce.

ROZDZIAŁ 25

NOWY DZIEŃ

Straż pożarna znajduje Falków siedzących pod piramidą von Celtiusów i wpatrujących się w jezioro. Jakby nie mogli znaleźć lepszego miejsca, by schronić się przed ogniem. Albo żeby opowiedzieć sobie nawzajem, co jedno przed drugim ukrywało. On wtula się w jej farbowane włosy i gładzi ją nieporadnie po brzuchu. Ona chwyta jego drżącą dłoń, jakby chciała zapewnić, że nigdy go nie zostawi, choćby miał z samym sobą jeszcze większe kłopoty niż dotychczas.

Gdy pojawia się policja, aby zbadać, co właściwie zaszło, Roman i Julia szczegółowo relacjonują wydarzenia z minionej nocy. Ta opowieść brzmi – delikatnie mówiąc – dość nieprawdopodobnie. „Pijani, zjarani?” – zastanawiają się na uboczu policjanci, oglądając to Falków, to zdewastowany i sprofanowany grobowiec. „Ona naprawdę myślała, że to atrapa, przerobiona betonowa piwnica z manekinem wewnątrz?” Stróże prawa skrobią się po głowach.

Dlatego postanawiają zrobić parze badania toksykologiczne. Zwłaszcza, że Roman ma w kieszeni mokry, rozpadający się skręt z trawką. A stojąca na uboczu Julia wygląda, jakby rozmawiała z niewidocznym dla kogokolwiek innego... no właśnie, czym lub kim? Duchem, obiektem, energią? Kto ją tam wie.

Orbik ma trudny poranek. Jeszcze boli ją głowa po nieprzespanej nocy, gdy dowiaduje się od dzwoniącej z posterunku siostry o rzekomym escape roomie w Upierzu, który – w mniemaniu Julii – Agnieszka sama wymyśliła. Jeśli to jej nie obudziło, to na pewno dokonała tego informacja o zniszczeniu wszystkich materiałów do „Minotaura”.

– A co z wami, do cholery? – pyta Orbik. – Jesteście cali?

– Tak. Ale wszystkie obliczenia zniszczone, robotę przy grze będzie trzeba zacząć prawie od początku – wyjawia Julia i zaczyna płakać. – O ile nas nie zapuszczają...

Agnieszka nie bierze tego pod uwagę. Zastanawia się natomiast nad delikatnym „problemem wizerunkowym” marki Falk Rulez, jaki może pojawić się przy tej okazji. Dzwoni do Baśki, równie zdziwionej tym, co zaszło.

– A może trzeba się jakoś dogadać? – zastanawia się głośno Agnieszka. – Może trupa z odciętą głową wzięłyby na siebie ten chłopak, który spalił dom?

– Ja o niczym nie wiem – odcina się Baśka. – I nie chcę wiedzieć.

– Do jednego wariactwa dopisze sobie drugie i tyle. Dlaczego mają cierpieć niewinni? – sugeruje Agnieszka, aczkolwiek po chwili zaczyna się już wstydić tego, co powiedziała.

– Poważnie mówisz?

– Nie, no skąd, żartuję sobie – wycofuje się Agnieszka. – Ciekawa jestem, co przekażą mi właściciele chaty, jak już dodzwonię się do nich do Niemiec. Oby byli ubezpieczeni.

Ustala z Baśką strategię medialną. Postanawiają, że najlepiej będzie udawać, że nigdy nie było żadnego wywiadu ani artykułu z Falkami. „Im mniej szumu w mediach, tym lepiej. Może nikt nie zauważy, w końcu są wakacje” – stwierdzają.

Dzięki temu rozwiązaniu Baśka wraca w miarę spokojnie do bieżących obowiązków. Jest historia z jakimś młodym raperem, który wymazał szkolne korytarze sztuczną krwią, żeby zaistnieć w mediach. Teraz jego piosenka stała się hitem na YouTube. Chłopak zapowiada, że zrobi rap-musical o Kościuszcze, takiego polskiego „Hamiltona”. Baśka zastanawia się, czy to nie z jego miejscowości pochodzi Alex? „Nie, to byłby zbyt duży zbieg okoliczności – mówi sobie. – Byłaby wielka szkoda, bo przecież właśnie zrezygnowała z dalszej współpracy”.

Alex nie miała żadnych roszczeń ani pretensji, prosiła tylko Baśkę o dobre referencje. Dzień urodzin spędza z rodzicami, tak jak marzyła. Łukasz bierze udział w jednym jedynym, ostatnim zebraniu sztabu kryzysowego w szkole.

Zastanawia się, co by powiedziała tropiąca okultystów i satanistów katechetka, gdyby usłyszała, co przytrafiło się jego córce.

Ewa dowiaduje się od kolegów z policji, że chłopiec, przedstawiający się jako Hak, wciąż jest poszukiwany. Prawdopodobnie to syn gospodarzy, którzy sprzedali chatę na uroczysku na pensjonat i przeprowadzili się do wioski położonej bliżej zurbanizowanych, „cywilizowanych” rejonów. Jak sąd go potraktuje, trudno przewidzieć. Pewnie skończy się na dozorze kuratorskim. Lecz co z gniewem, który targa tym chłopcem? Jak go uśmierzyć? Na razie Ewa nie ma czasu się nad tym zastanawiać. Nie taka zresztą jest jej rola.

Wtedy dzwoni do niej Janka Byś, kierowniczka policyjnego laboratorium. Chodzi o badania toksykologiczne. Powtarza coś Ewie kilka razy, nim ta w końcu uwierzy. Chociaż i tak nie do końca. Ewa sprawdzi jeszcze kilka stron w Internecie, na wszelki wypadek. To znaczy na wypadek, gdyby Janka miała gorszy dzień, co czasem jej się zdarza.

– Słyszeliście kiedyś o epidemii tańca w Europie, kilkaset lat temu? – pyta Ewa Łukasza i Alex przy kolacji.

– No jasne, przecież uczę historii – sarka mąż. – Ludzie rzucali się w wir tańca, potrafili płaść do upadłego, przez wiele dni. Nikt nie wie dlaczego.

– A ja nie słyszałam. Ni hu hu – odpowiada córka, pociągając łyk piwa.

– To inny przykład. – Ewa bierze oddech. – Czarownice z Salem.

– No tak, te znam.

– Wiadomo dziś, że żadnych czarów nie było. Ludzie mieli urojenia, zwiady, halucynacje – tłumaczy Ewa, a Łukasz lekko kiwa głową, jakby potwierdzał jej słowa.

– No i? – dopytuje Alex, nakładając na talerz kolejny kawałek tortu.

– Niewykluczone, że i przy epidemii tańca, i w Salem doszło do zbiorowego zatrucia. – Ewa zawiesza głos. – Sporyszem zbożowym. To przetrwalnik pasożytniczego grzyba, bodajże buławinki czerwonej. Są w nim toksyczne alkaloidy. Powodują u ludzi chorobę, której skutkiem są z jednej strony mrowienie i uszkodzenia naczyń krwionośnych, a z drugiej halucynacje.

Mąż i córka przestają przeżuwać. Patrzą na Ewę pytająco.

– Właśnie ślady zatrucia sporyszem znaleźli nasi chemicy we krwi Falków – puentuje Ewa.

– Ale skąd? – Zdziwiony Łukasz mruga oczami. – W naszych czasach? Przecież nie jedli ziaren z pola, a we wszystkich piekarniach są chyba jakieś kontrole jakości.

– A ja chyba wiem skąd – wtrąca Alex z miną pokerzysty.

– No?

– Stawiam na domowej roboty rogaliki tajemniczej pani Marylki, którymi Falkowie zajadali się od dłuższego czasu. Roman nie mógł się ich nachwalić.

– Ciekawe. Muszę dać znać kolegom. – Ewa chwyta za telefon. – Może jeszcze na to nie wpadli.

– Spokojnie. – Łukasz ją powstrzymuje. – Na pewno już to wiedzą, nie odchodźmy od stołu – mówi, po czym nagle sam chwyta za telefon, który właśnie zaczął brzęczeć. To dzwonią, sądząc po wyświetlonym obrazku, Jasiek i Anka po politechnice. – O, ciekawe, może naprawili drona i wypatrzyli tego biednego nastoletniego furiata.

– Wszystkie nastolatki to, jak powiedziałaś, furiaci. Tak to już jest – mówi Alex. Zastanawia się, czy właśnie teraz nie powiedzieć rodzicom o lęku przed ciemnością, którego kiedyś się przez nich nabawiła i który chyba udało się jej właśnie zwalczyć. Tylko że przecież wszyscy siedzą już w komórkach, nie mają ani czasu, ani podzielnej uwagi.

Sama więc też sięga po aparat. Widzi, że w międzyczasie posypały się życzenia urodzinowe od przyjaciół, kolegów i jej ulubionych dinozaurów: Janki i Wojtka. Lecz na razie sama musi wykonać ważny telefon.

– Zadzwonię jeszcze raz do Baśki, póki mnie pamięta. Niech powie Agnieszce Orbik, że ma kolejnego bohatera „Wiedźmy od grzybów”: panią Marylkę od halucynogennych rogalik.

KONIEC

PRZYPISY

[1] Z ang. *fear of missing out* – strach przed tym, że coś ważnego nas ominie, że wypadniemy z obiegu informacji.

[2] W slangu młodzieżowym „Rozum i Godność Człowieka”.

[3] Dawne slangowe określenie na osoby kulejące

[4] Rezerwat przyrody, miejsce walk partyzanckich

[5] Konstanty Ildefons Gałczyński, „Zaczarowana dorożka i inne wiersze”, Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM, 1999, s. 46–47

[6] Oskar Kolberg, „Mazury pruskie”, Polskie Wydawnictwo Muzyczne LSW, 1966, s. 382–383

[7] Świdnica

[8] Ziemia Lubuska

[9] Wschowa

[10] Zbytowa

[11] (łac.) O czasy, o obyczaje!

[12] Regionalne określenie na wino owocowe, charakterystyczne dla części Mazur i Podlasia.

[13] Regionalizm. Znaczy tyle, co „bez sensu”.